

Conan barbarzyńca

Howard Robert



calibre 0.9.27

CONAN BARBARZYŃCA

DEMON Z ŻELAZA — CZARNY KOŁOS — CZERWONE ĆWIEKI

Opuściwszy Zambulę, Conan podążył na wschód ku zielonym łąkom Shemu. Kroniki nic nie mówią o dalszych losach Gwiazdy Khorala, nie wiadomo, czy Conanowi udało się dotrzeć z klejnotem do Ophiru i otrzymać obiecaną górę złota, czy też utracił go po drodze na korzyść sprytnego złodzieja lub dziewczyny lekkich obyczajów. W każdym razie zysk, jaki osiągnął — jeżeli w ogóle osiągnął — nie starczył mu na długo.

Odbył kolejną krótką podróż do rodzinnej Cymmerii. Niestety, jego kompani z lat młodości byli już martwi, a stare kąty nudniejsze niż poprzednio.

Słyszając, że kozacy odzyskali dawną siłę i znów uprzykrzają życie królowi Yezdigerdowi, Conan wsiada na koń i wraca do Turanu. Samo jego pojawienie się tam stwarza mu licznych sojuszników wśród kozaków i korsarzy z Krwawego Bractwa Morza Vilayet. Pomimo tego, iż przybywa z pustymi rękoma, w krótkim czasie gromadzi pod swoją komendą znaczne siły i zdobywa większe niż kiedykolwiek łupy.

DEMON Z ŻELAZA

Rybak kurczowo chwycił rękojeść swojego noża. Zrobił to zupełnie odruchowo, bowiem tego, czego się podświadomie obawiał, nie zdołałby zabić nożem — nawet zębata, zakrzywioną klingą Yuetschów, która z łatwością rozplatałaby dorosłego mężczyznę. Tutaj, w murach opuszczonej twierdzy Xapur, przybyszowi nie zagrażał ani człowiek, ani zwierzę.

Dostawszy się na spadziste, nadbrzeżne skały, dotarł przez dżunglę, otaczającą fortyfikacje do pozostałości zaginionej cywilizacji. Między drzewami jaśniały potrzaskane kolumny, szczątki spękanych murów biegły chwiejnymi zakosami w cień, a szerokie niegdyś chodniki skruszały i ustąpiły pod naporem olbrzymich korzeni.

Rybak był typowym przedstawicielem swojej rasy, dziwnego ludu, o pochodzeniu ginącym w mrokach dziejów, który od niepamiętnych czasów zamieszkiwał proste chaty osad położonych nad brzegami Morza Vilayet. Krępy mężczyzna o długich, małych ramionach i chudych łukowatych nogach, miał szeroką twarz, niskie czoło, zmierzwione włosy i olbrzymi tors. Pas z nożem i prosta przepaska była całym jego strojem. To, że rybak dotarł do tego miejsca, było dowodem na to, że w przeciwieństwie do większości swych współplemieńców nie był całkowicie pozbawiony ciekawości. Ludzie rzadko odwiedzali Xapur, opuszczoną, prawie zapomnianą wyspę, jedną z tysięcy rozsianych po tym wielkim, śródlądowym morzu. Nazywano ją Fortecą Xapur, ze względu na

ruiny — pozostałości jakiegoś prehistorycznego królestwa, o którym zapomniano na długo przed nadejściem Hyborian z północy. Nikt nie wiedział, kto obrobił te głazy, chociaż przekazywane wśród Yuetschów z pokolenia na pokolenie, na wpuł niezrozumiałe opowieści wspominały o pradawnym powiązaniu rybaków i wymarłych mieszkańców wyspy. Jednak Yuetshowie od ponad tysiąca lat nie rozumieją sensu tych opowieści. Teraz powtarzali je jak pozbawione znaczenia, tradycyjne formułki, które zgodnie ze zwyczajem przekazywał ojciec synowi. Od wielu pokoleń nikt z ich plemienia nie postawił nogi na Xapur. Niedalekie wybrzeże było niezamieszkałe. Porośnięte trzcina bagna i dzikie bestie czyniły je niedostępnym.

Wioska rybaka leżała na południu od wyspy. Nocny sztorm zagonił jego kruchą łódź tutaj, daleko od zwykłych łowisk, a olbrzymia fala rozbiła ją o stromy, skalisty brzeg wyspy. Teraz, rankiem, niebo było błękitne i przejrzyste, a wschodzące słońce zamieniało krople rosy na liściach w skrzące się diamenty.

W czasie szalejącej burzy, kiedy jeden, szczególnie mocny piorun trafił w wyspę, przez odgłosy zmagającej się natury przebił się huk i łoskot spadających gładów. Hałasu tego nie mogło wywołać walące się drzewo. Rybak, po nocy spędzonej u podnóża skał, wspiął się w świetle wschodzącego słońca na ich szczyt. Gdy dotarł do celu ogarnął go niepokój, a instykt ostrzegał przed niebezpieczeństwem.

Poprzez drzewa widać było ruiny budowli wzniesionej z gigantycznych bloków tego jedyne go, twardego jak stal kamienia. Kamienia znajdowanego tylko na wyspach Morza Vilayet. Zdawało się nieprawdopodobnym, aby ludzkie ręce dały radę obrobić te głazy i zbudować z nich mury, a już na pewno zniszczenie ich nie leżało w mocy człowieka. Piorun rozbił wielotonowe bloki jak szkło, topiąc niektóre z nich w zieloną masę i roztrzaskał olbrzymią kopułę budowli.

Rybak wspiął się po gruzach, zajrzał do środka i krzyknął z wielkiego zdumienia. Uderzenie pioruna odsłoniło złoty katafalk, na którym leżał w kurzu i odłamach skalnych olbrzym.

Odziany był jedynie w krótką spódniczkę z rekiniej skóry. Wąska, złota opaska przytrzymywała mu na skroniach prosto przycięte, czarne włosy. Na nagiej, muskularnej piersi leżał dziwny sztylet, o szerokiej zakrzywionej klindze i rękojeści wysadzonej klejnotami. Broń, mimo iż nie miała zębatego ostrza, przypominała nóż, jaki rybak nosił u pasa. Wykonano ją jednak z nieskończone większą starannością.

Rybak pożądliwie spojrział na sztylet. Jego właściciel spoczywał od wielu wieków w swym grobowcu i był równie martwy jak otaczające go głazy. Rybak nie zastanawiał się zbyt długo nad tajemniczymi umiejętnościami starożytnych, dzięki którym umarli zachowali pozory życia, a jego ciało przetrwało przez lata nietknięte. Wszystkie jego myśli skupiły się na wspaniałym nożu, zdobionym lekkimi falistymi liniami, biegnącymi wzdłuż chłodno lśniącego ostrza.

Zszedł do grobowca i wziął do ręki sztylet leżący na piersi mężczyzny. W chwili, gdy to uczynił, stało się coś niepojętego i strasznego. Czarne muskularne dłonie zacisnęły się kurczowo, powieki otworzyły się, odsłaniając wielkie ciemne źrenice, których magnetyczne spojrzenie trafiło przerażonego rybaka jak uderzenie pięścią. Cofnął się i wypuścił z ręki sztylet. Jednocześnie, jeszcze do niedawna martwy, olbrzym podniósł się i siadł. Zaskoczony rybak otworzył usta ze zdziwienia. Siedzący był

gigantycznej budowy. Patrzył teraz przez zwężone powieki oczyma, w których nie było śladu wdzięczności. Wzrok jego, obcy i wrogi, płonął chęcią mordy.

Nagle wstał i pochylił się nad swoim ozywicielem. Prymitywnego umysłu rybaka nie ogarnął strach, przynajmniej nie wzbudziło go pogwałcenie praw natury. W momencie, gdy olbrzymie dłonie zaciskały się na jego barkach, chwycił za swój wielki nóż i pchnął sprawdzonym wiele razy ruchem. Klinga pękła po zetknięciu się z olbrzymem, jakby trafiła w ukryty pod skórą żelazny pancerz. Jednocześnie kark rybaka trzasnął w uścisku giganta niczym spróchniała gałąź.

Pan Kwaharizmu oraz strażnik morskich granic, Jehungir Aga, spojrział jeszcze raz na zwój pergaminu opatrzony wielką pieczęcią króla Turanu. Po chwili zaśmiał się krótko i nerwowo.

— Co nowego? — bezceremonialnie odezwał się Ghaznawi, jego doradca.

Jehungir, który był przystojnym mężczyzną, dumnym ze swych osiągnięć i szlachetnego urodzenia, skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Król ponagla mnie — powiedział. — Sam kreśli do mnie słowa swego niezadowolenia z powodu mojego, jak to nazywa, braku umiejętności w obronie granic. Na Tarima! Jeżeli nie zniszczę tych stepowych rabusiów, Kwaharizm będzie miał nowego pana.

Doradca w zamyśleniu skubał swą siwą brodę. Yezdigerd, król Turanu, był najpotężniejszym władcą na świecie. Ciemnoskórzy Zamorianie płacili mu haracz, podobnie jak wschodnie prowincje Koth. Również Shem złożył mu hołd. Wszystkie kraje, aż po leżący na zachodzie Sushani oddały się pod jego władzę. Jego wojska grabiły pogranicze Stygii na południu i ośnieżone ziemie Hyperborejskie na północy. Jego konnica niosła ogień i miecz na zachód, do Brythunii, Ophiru, Korynthii, a nawet do granic Nemedii. Z rozkazu króla Thuranu wojownicy w połączonych zbrojach tratowali kopytami swych koni mieszkańców tych krain i puszczali z dymem ich domy. W jego wspaniałym pałacu, w wielkim portowym mieście Aghrapurze, znajdowały się nieprzeliczone bogactwa. Flotyle jego okrętów, wielkich galer wojennych o czerwonych żaglach, panowały na Morzu Hyrkańskim i Vilayet. Na ogromnych targowiskach niewolników w Aghrapurze, Sultanapurze, Kwaharizmie, Shahpurze i Khorusunie handlowano pojmanymi mieszkańcami sąsiednich krain. Za trzy sztuki srebra (nie największe) można było kupić kobietę: ciemnowłosą Zamoriankę, brunatnoskórą Stygijkę, jasnowłosą Brythunkę, hebanową Kushitkę i Shemitkę o oliwkowej skórze.

Mimo tych wszystkich zwycięstw jego szybkiej jazdy nad obcymi armiami, daleko od granic Thuranu, pod jego bokiem zuchwały wróg szarpał królestwo, niosąc śmierć i zniszczenie. Na rozległych stepach, między Morzem Vilayet a dalekimi granicami hyboreańskich królestw, powstało w ciągu niecałego pięćdziesięciolecia nowe społeczeństwo złożone ze zbiegłych niewolników, złoczyńców i dezertów. Ich przestępstwa były tak rozmaite jak kraje, z których pochodzili. Jedni urodzili się na stepie, inni przybyli z królestw zachodu. Całą tą zbieraninę zwano kozakami.

Zamieszkując rozległe, dzikie równiny, nie uznając żadnych praw poza swoistym kodeksem, umieli stawić czoła nawet wojskom wielkiego władcy. Wciąż najeżdżali pograniczne prowincje Thuranu, chroniąc się w razie porażki w stepie. Razem z piratami Krwawego Bractwa Morza Vilayet grasowali na wybrzeżu, łupiąc statki kupieckie zawijające do portów Hyrkani.

— Jak mam zgnieść to wilcze plemię? — dopytywał się Jehungir. — Jeżeli ruszę za nimi w step, ryzykuję, że okrążą mnie i rozbiją, a jeżeli będę przeważał, wymkną się i w czasie mojej nieobecności spalą pogranicze. Ostatnio poczynają sobie coraz śmielej.

— To za sprawą nowego wodza — rzekł Ghaznawi. — Wiesz kogo mam na myśli.

— Tak! — warknął wściekle Jehungir. — To ten szatański Conan. Jest jeszcze dzikszy od kozaków i waleczny jak górski lew.

— Raczej dzięki instynktowi niż inteligencji. Inni kozacy są przynajmniej potomkami cywilizowanych ludzi. On jest barbarzyńcą. Gdybyśmy go usunęli, skończyłyby się nasze kłopoty z kozakami.

— Ale jak? — pytał Jehungir. — Raz po raz wychodzi nietknięty z, wydawałoby się, śmiertelnych opresji. Poza tym, dzięki instynktowi czy rozwadze, uniknął wszystkich zastawionych na niego pułapek.

— Na każde zwierzę i na każdego człowieka istnieje przynęta, trzeba tylko umieć ją znaleźć — rzekł sentencjonalnie Ghaznawi. — Kiedy układaliśmy się z kozakami w sprawie okupu za jeńców, obserwowałem Conana. Nie stroni od mocnych trunków i kobiet. Sprowadź tu swoją niewolnicę Oktawie.

Jehungir klasnął w dłonie i Kushita, eunuch o kamiennej twarzy i hebanowej barwie skóry, oddalił się w pokłonie, aby wykonać rozkaz. Po chwili wrócił, wiodąc za rękę wysoką, przystojną dziewczynę, której jasne włosy, oczy i skóra mówiły o miejscu urodzenia. Krótka, związana w pasie tunika, podkreślała jej wspaniałe kształty. Jasne oczy wyrażały żywą niechęć, a pełne wargi zaciskały się uparcie, lecz długie miesiące niewoli nauczyły ją posłuszeństwa. Stała ze spuszczoną głową przed swym panem, dopóki skinieniem ręki nie nakazał jej usiąść obok na dywanie.

Jehungir spojrzał pytająco na doradcę.

— Musimy sprowokować Conana, by sam opuścił obóz. Obecnie znajduje się on w pobliżu dolnego biegu rzeki, której leniwe wody porośnięte trzcina płyną przez bagnistą dżunglę. To właśnie tam ostatnia ekspedycja karna wyginęła co do jednego żołnierza.

— Nie mogę o tym zapomnieć — powiedział przez zaciśnięte zęby Jehungir.

— Niedaleko leży bezludna wyspa — ciągnął dalej Ghaznawi — zwana Fortecą Xapur z powodu starych ruin, które się na niej znajdują. Jedna istotna rzecz czyni ją cenną dla naszego zamierzenia. Otóż jej strome brzegi wznoszą się wprost z morza, tworząc nieprzebyte urwiska, wysokie na sto pięćdziesiąt stóp. Nawet małpa nie wspięłaby się po nich. Jedyne droga, którą można dostać się na wyspę, istnieje na zachodnim brzegu: są to strome, wyciosane w skale schody. Jeżeli uda nam się zwabić Conana na wyspę w pojedynkę, nasi łucznicy będą mogli ustrzelić go jak lwa w klatce.

— Pobożne życzenia — przerwał niecierpliwie Aga. — Mamy posłać do niego człowieka z prośbą, aby przyплыł na wyspę i poczekał na nas?

— Dokładnie tak! — widząc zdumienie Jehungira, doradca mówił dalej — rozpoczniemy rokowania z kozakami na skraju stepu, niedaleko twierdzy Ghori. Jak zawsze udamy się tam zbrojnie i rozbijemy obóz pod murami. Oni pojawią się w równej sile, po czym rozmowy będą przebiegały jak zazwyczaj: w atmosferze podejrzliwości i braku zaufania. Jediną różnicą będzie to, że zabierzemy ze sobą, jakby przypadkiem, naszego ślicznego więźnia — doradca wskazał głową dziewczynę.

Dziewczyna pobladła i zaczęła słuchać ze zdwojoną uwagą.

— Ona użyje całego sprytu, jaki ma, by zwrócić na siebie uwagę Conana. To nie powinno być trudne. Jej temperament i jędrne ciało powinny przyciągnąć go mocniej niż wdzięki lalkowatych piękności z twojego seraju, Panie.

Oktawia zerwała się na równa nogi, zaciskając pięści, ciskając gromy z oczu i trzęsąc się z wściekłości.

— Chcecie zmusić mnie do łajdaczenia się z tym barbarzyńcą? — krzyknęła. — Nigdy! Nie jestem tanią dziwką, żeby uwodzić jakiegoś stepowego rabusia. Jestem córką nemediańskiego szlachcica i ...

— Byłaś nemediańską szlachcianką, dopóki nie wzięli cię moi jezdni — przerwał ostro Jehungir. — Teraz jesteś tylko niewolnicą i zrobisz to, co każę.

— Nie zrobię tego!

— Ależ zrobisz — powiedział powoli i z okrucieństwem Jehungir — zrobisz. Podoba mi się plan Ghaznawiego. Mów dalej, mój wspaniały doradco.

— Conan najprawdopodobniej zechce ją od ciebie odkupić. Oczywiście odmówisz mu, a także nie wymienisz za naszych jeńców. Być może spróbuje ją porwać lub odebrać siłą. Nie sądzę jednak, by chciał naruszyć zawieszenie broni. Musimy być przygotowani i na taką ewentualność. Po zakończeniu rokowań, nim o niej zapomni, wyślemy do niego posła z zarzutem porwania dziewczyny i żądaniem jej oddania. Możliwe, że poseł straci życie, ale Conan będzie przypuszczał, że dziewczyna uciekła. Później dotrze do niego yuetshański rybak, nasz szpieg, który powie o tym, że Oktawia ukrywa się na Xapur. O ile go znam, wiadomość ta skieruje go tam natychmiast.

— Aby na pewno samego? — powątpiewał Jehungir.

— Czy mężczyzna bierze żołnierzy, gdy udaje się do kobiety, której pragnie? — odparł doradca. — W dużym stopniu możliwe jest, że przybędzie sam. Mimo to uwzględnimy i tę drugą sytuację. Nie będziemy czekać na niego na wyspie, ryzykując, że stanie się ona dla nas pułapką, lecz ukryjemy się w szuwarach, które dochodzą na tysiąc jardów do Xapur. Jeżeli przybędzie z większym oddziałem, wycofamy się i spróbujemy czegoś innego. Natomiast gdy będzie sam lub z garstką ludzi — będzie nasz! Na pewno przyplynie pamiętając uśmiechy i znaczące spojrzenia twojej czarującej niewolnicy, panie.

— Nic z tego! Nie dam się pohańbić! — Oktawia szalała w gniewie i upokorzeniu.

— Prędzej umrę!

— Nie umrzesz, moja piękna buntowniczo, — powiedział Jehungir — ale poznasz coś bardzo przykrego i bolesnego.

Klasnął w dłonie i Oktawia zbladła ponownie. W wejściu stanął muskularny Shemita — krępy mężczyzna z kędzierzawą, czarną bródką.

— Jest dla ciebie zajęcie, Gilzan — rzekł Jehungir. — Weź tę krnąbrną niewolnicę i pokaż jej część swoich umiejętności. Tylko uważaj, aby nie straciła urody.

Shemita mruknął z zadowoleniem i chwycił Oktawie za rękę. Uścisk jego żelaznych palców i okrutny wyraz twarzy sprawił, że opuściła ją cała odwaga. Krzycząc żałośnie wyrwała się oprawcy i padła na kolana przed bezlitosnym Agą, łkając o litość.

Jehungir gestem odprawił zawiedzionego kata i zwrócił się do Ghaznawiego:

— Jeżeli twój plan się powiedzie, ozłocę cię!

W ciemnościach przedświt, ogarniających morze falujących trzciny i mętne wody bagna, dał się słyszeć dziwny szmer, nie powodował go leniwie płynący strumień, ani skradające się zwierzę. Przez gęste, wysokie szuwary przedzierała się ludzka istota.

Gdyby ktoś tam był, zobaczyłby kobietę — wysoką i jasnowłosą. Jej bujne kształty podkreślała przemoczona, oblepiająca ciało tunika. Oktawia rzeczywiście uciekła, nawet teraz wstrząsały nią wspomnienia, jednak nie upokorzeń, jakich zaznała w niewoli. Wystarczająco okropnym było mieć Jehungira za pana, lecz on z rozmyślnym okrucieństwem podarował ją szlachcicowi, którego imię nawet w Kwaharizmie było synonimem zwyrodnienia. Na samą myśl o tym po jedwabistych plecach Oktawii przebiegały dreszcze. Przerażenie i rozpacz dodały jej sił w ucieczce z zamku Jelal Chana. Nocą spuściła się po linie zrobionej z podartych gobelinów, a przypadek pomógł jej w znalezieniu spętanego konia. Jechała przez całą noc, rano zastała ją z ochwaconym wierzchowcem na bagnistym brzegu morza. Trzęsąc się z odrazy na myśl o powrocie do zamku Jelal Chana i czekającym ją tam losie, zdecydowanie weszła w moczary, szukając schronienia przed spodziewanym pościgiem. Kiedy otaczające ją szuwary stały się rzadsze, a woda sięgała do pasa, przed oczami dziewczyny ukazały się mroczne kontury wyspy. Od jej brzegu oddzielał ją szeroki pas wody, ale nie powstrzymało to Oktawii. Posuwała się dalej aż do chwili, gdy ciemna woda nie sięgnęła jej piersi, po czym odbiła się silnie od dna i popłynęła w sposób świadczący o nieprzeciętnej wytrzymałości. Gdy już dopływała, zobaczyła, że brzegi wyspy wznoszą się niczym mury obronne, stromo ponad wodę.

Po dotarciu do ich podnóża nie znalazła ani uchwytu, ani występu, na którym mogłaby stanąć. Popłynęła dalej wzdłuż brzegu, poddając się powoli zmęczeniu. Niecierpliwie obmacując skały, trafiła niespodzianie na półkę. Z westchnieniem ulgi wciągnęła się na skałę i leżała ciężko oddychając. Ociekająca wodą w bladym świetle gwiazd podobna była do białej bogini. Znalazła się

na czymś, co wyglądało na wykute w skale schody. Ruszyła po nich w górę. Nagle przywarła do głazów, słysząc przytłumione skrzypnięcie owiązanych szmatami wiosła. Wyteżyła wzrok i wydało jej się, że dostrzega rozmazany kształt poruszający się w kierunku zarośniętego półwyspu, z którego tu przypląnęła. Jednak mrok był jeszcze zbyt gęsty, by mogła być tego pewna. W końcu ledwo słyszalne skrzypienie ustało i Oktawia ruszyła ponownie w górę. Jeżeli był to pościg, nie miała innego wyboru jak ukryć się na wyspie. Wiedziała, że większość wysp tego bagnistego wybrzeża była niezamieszkała. Ta mogła być piracką kryjówką, ale wolała nawet piratów niż Jelal Chana — bestię w ludzkiej skórze. Podczas wspinaczki bezwiednie porównała swojego właściciela z wodzem kozaków, którego przymuszona bezwstydnie uwodziła w obozie przy twierdzy Ghor, gdzie hyrkańczycy układali się ze stepowymi wojownikami. Jego gorące spojrzenia napełniały ją lękiem i wstydem, lecz czysta barbarzyńska natura stawiała go wyżej od potwora, jakiego mogła zrodzić jedynie zbyt wyrafinowana cywilizacja.

Wdrapała się na skraj urwiska i rozglądnęła się z lękiem. Gęsta dżungla, tworząca zwartą ścianę ciemności, sięgała prawie do samego skraju wyspy. Coś przeleciało nad jej głową. Skuliła się mimo woli, wiedząc, że to tylko nietoperz.

Choć przerażał ją mrok wszechobecnej gęstwiny, zacisnęła zęby i próbując nie myśleć o jadowitych wężach, skierowała się ku środkowi wyspy. Jej bosa stopy poruszały się bezszelestnie po miękkim poszyciu. Kiedy weszła między drzewa, zamknęła się wokół niej nieprzenikniona ciemność, napełniając jej serce trwogą. Nie przeszła jeszcze tuzina kroków, a już nie mogła dostrzec morza i skał. Po kilku następnych straciła orientację i zgubiła się zupełnie. Przez splątane korony drzew nie dostrzegała ani jednej gwiazdy. Po omacku, z wyciągniętą ręką brnęła na oślep. Nagle zatrzymała się. Gdzieś przed nią rozlegało się monotonne dudnienie bębna. Nie był to dźwięk, jakiego można by się spodziewać w tym miejscu i czasie. Zapomniała o nim natychmiast, gdy poczuła czyjąś obecność w pobliżu. Niczego nie widziała, ale była pewna, że ktoś stoi obok niej w ciemności.

Ze zdławionym krzykiem rzuciła się do tyłu i w tej samej chwili coś, w czym mimo paniki poznała ludzkie ramię, chwyciło ją w pasie. Wrzeszczała i wrywała się ze wszystkich sił, lecz napastnik porwał ją w ramiona jak dziecko, z łatwością tłumiąc gwałtowny opór. Milczenie, z jakim spotkały się jej protesty i błagania, przerażyły ją jeszcze bardziej. Poczowała, że ktoś niesie ją w stronę odległego, wciąż monotonna uderzanego bębna.

W chwili gdy pierwsze promienie świtu zaczerwieniły morze, do brzegu wyspy zbliżała się mała łódź z samotnym żeglarzem. Mężczyzna ten był niepospolitą postacią. Na głowie miał purpurową opaskę, obszerną jedwabną koszulę w jaskrawym kolorze podtrzymywała szeroka szarfa, na której wisiała krótka szabla w pochwie z rekiniej skóry. Nabijane złotem skórzane buty świadczyły o tym, że ich posiadacz był jeźdźcem, a nie żeglarzem. Mimo tego z dużą wprawą sterował łodzią.

W wyciętej i szeroko otwartej, jedwabnej koszuli ukazała się muskularna, spalona od słońca pierś. Pod brązową skórą przybysza grały potężne mięśnie, kiedy bez wysiłku poruszał wiosłami. Jego rysy zdradzały dziką, barbarzyńską naturę, a jednak twarz nie była odpychająca, chociaż płomienne, błękitne oczy zdradzały, że łatwo jest wzbudzić jego gniew. Był to Conan, który trafił do warowni kozaków — nie mając nic prócz sprytu i miecza. A mimo to został ich wodzem.

Przybił do brzegu obok wyciosanych w skale stopni, jak ktoś dobrze znający wyspę. Potem

uwiązał łódź u skalnego występu i bez wahania ruszył w górę po skruszałych schodach. Rozglądał się uważnie dookoła, nie dlatego, że spodziewał się ukrytego niebezpieczeństwa, lecz ponieważ czujność była częścią jego osobowości wyostrzoną przez lata niebezpiecznego życia, jakie wiódł. To, co Ghaznawi uważał za jego szósty zmysł lub zwierzęcy instynkt, było w rzeczywistości nabytą poprzez lata długotrwałego ćwiczenia wprawą i wrodzonym sprytem barbarzyńcy. Żaden instynkt nie podpowiadał Conanowi, że obserwują go ukryci w przybrzeżnych szuwarach ludzie.

W czasie gdy wchodził po schodach, jeden z zaczajonych ludzi wziął głęboki oddech i powoli naciągnął cięciwę swego łuku. Jehungir chwycił go za ramię i z wściekłością syknął mu do ucha:

— Głupcze! Chcesz wszystko zaprzepaścić? Nie widzisz, że jest za daleko? Niech wejdzie na wyspę i poszuka dziewczyny. My poczekamy tu jeszcze jakiś czas. Mógł wyczuć naszą obecność lub podejrzewać zasadzkę. Może ukrył w pobliżu swoich kozaków. Poczekamy. Za godzinę — jeżeli nic nam nie przeszkodzi — podpłyniemy do schodów i zaczaiemy się przy nich. Jeśli nie wróci szybko, wejdziemy na wyspę i zapolujemy na niego. Nie chciałbym jednak tego robić, gdyż wielu z nas zginie. Chcę go zaskoczyć, kiedy będzie schodził do łodzi i przeszyć strzałami z bliska.

W tym samym czasie niczego nie podejrzewający przywódca kozaków wszedł w zarośla. Stał cicho na miękkich, skórzanych podeszwach, przeszukując wzrokiem każdy zakamarek. Z niecierpliwością oczekiwał widoku wspaniałej, jasnowłosej piękności, której pragnął od pierwszego spotkania w namiocie Jehungira Agi przy twierdzy Ghori. Pożądałby jej nawet wówczas, gdyby okazywała mu jawną niechęć. Jednak jej znaczące spojrzenia i uśmiechy rozgrzały mu krew i teraz, z całą odziedziczoną, dziką gwałtownością pragnął owej białoskórej, jasnowłosej kobiety.

Był już kiedyś na Xapur. Miesiąc wcześniej odbyło się tu potajemne spotkanie zpiratami. Wiedział, że zbliża się właśnie do zagadkowych ruin, którym wyspa zawdzięcza swoją nazwę. Zastanowił się przez chwilę, czy dziewczyna może ukrywać się wśród nich. Nagle stanął jak skamieniały.

Zobaczył coś, co kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem — ogromny, ciemnozielony mur, za blankami którego strzelały w niebo potężne wieże.

Przez chwilę Conan stał jak zaczarowany, targany wątpliwościami, jakie ogarniają każdego, kto staje wobec rzeczy nieprawdopodobnych i kolidujących ze zdrowym rozsądkiem. Conan był pewny swoich zmysłów, a jednak coś się tu nie zgadzało. Jeszcze przed miesiącem między drzewami wznosiły się tylko ruiny.

Czy ludzkie ręce mogą postawić tak ogromne mury w przeciągu kilku tygodni?

Czy jest możliwe, że wszędobylscy piraci z Krwawego Bractwa nie zauważyli prac przy tak gigantycznej budowie? Gdyby coś przyciągnęło ich uwagę, to na pewno zawiadomiliby o tym kozaków.

Nie sposób było wytłumaczyć tego faktu, a jednak oczy nie myliły barbarzyńcy. Był na Xapur i te wysokie, fantastyczne, kamienne budowle stały na wyspie. Całość zdawała się fatamorganą, szaleństwem lub niemożliwością, a mimo tych wszystkich wątpliwości była prawdą.

Odwrócił się, by uciec przez dżunglę po kamiennych schodach i błękitnym morzem do dalekiego obozu przy ujściu rzeki. W tej jednej, krótkiej chwili, porażonemu paniką Conanowi nawet myśl o pozostaniu w pobliżu wyspy zdała się być odrażającą. Najchętniej rzuciłby wszystko — warowne obozy, step, kozaków — i odjechał na tysiące mil z tego tajemniczego Wschodu, gdzie niewyobrażalne, szatańskie moce czyniły rzeczy przeciwne prawom natury.

W tej krótkiej chwili przyszłość królestw, zależna od losów nieświadomego tego barbarzyńcy, była niepewna. Jeden, jedyny szczegół przeważał szalę: Conan zobaczył strzępek jedwabiu na ciemnym krzewie. Pochylił się nad nim i wyczuł delikatny zapach. Bardziej dzięki dalekiemu skojarzeniu niż czułemu węchowi poznał woń, jaką roztaczała wokół siebie piękna, jasnowłosa dziewczyna, którą widział w namiocie Jehungira. Zatem rybak nie kłamał, była tu! Po chwili spostrzegł w ziemi odcisk bosej stopy: długi i wąski — ślad mężczyzny, nie kobiety. Ślad był nienaturalnie głęboki. Wniosek nasuwał się sam: mężczyzna coś niósł, a cóż to mogło być innego, niż poszukiwana dziewczyna? Conan stał przez moment bez ruchu i patrzył na czarne wieże, groźnie mające między drzewami. W jego niebieskich oczach pojawił się złowieszczy błysk. Pożądanie dziewczyny i ponura, dzika nienawiść do jej porywacza, złąły się w jedno przemożne uczucie. Namiętność przewyciężyła przesądny strach i Conan — przyczajony jak lew, który szykuje się do skoku, korzystając z osłony drzew i krzewów, ruszył w kierunku murów fortecy.

Stwierdził, że zarówno mur jak i forteca, do niedawna leżące jeszcze w ruinie, zostały zbudowane z tego samego zielonego kamienia, z którego korzystali ich dawni budowniczy. Doznał dziwnego wrażenia, jakby patrzył na coś dobrze znanego. Czuł, że ma przed sobą coś, co widział wcześniej we śnie.

Wreszcie zrozumiał. Mury, wieże i wszystkie budynki stały na miejscu dawnych ruin; tak, jakby z rozpadających się szczątków odbudowano starożytne budowle.

Nic nie zakłócało ciszy poranka, gdy Conan podkładał się pod mur wznoszący się pionowo wśród bujnej roślinności, która tu, na południowym krańcu wielkiego, śródziemnego morza, dorównywała tropikalnej. Na blankach nie zobaczył nikogo, niczego też nie usłyszał. W pobliżu widoczna była brama, lecz nie przypuszczał, by mogła być otwarta lub niestrzeżona. Wiedziony przekonaniem, że kobieta, której szukał, znajduje się za murami, postąpił w typowy dla siebie, zuchwały sposób.

Porośnięte pnączami gałęzie sięgały niemal do blanków. Conan wspinał się po drzewie jak kot, po czym dostawszy się niewiele ponad górną krawędź muru, chwycił obiema rękoma gruby konar, rozkołysał się i w odpowiedniej chwili puścił. Przeleciał w powietrzu i z kocią zwinnością wylądował na blankach. Przyczaiwszy się między krenelażem, spojrzął w dół na ulice miasta.

Mur zamykał niedużą powierzchnię, lecz ilość budynków znajdujących się wewnątrz była zdumiewająca. Trzy i cztery piętrowe budowle z zielonego kamienia miały płaskie dachy i przedstawiały sobą wyrafinowany styl architektoniczny. Ulice zbiegały się promieniście na ośmiokątnym placu, będącym centrum miasta. Tam też wznosił się olbrzymi gmach o wielu kopułach i basztach górujących nad miastem.

Sprawiło ono wrażenie wymarłego. Chociaż słońce weszło już dawno, Conan nie zobaczył nikogo. Wszzechobecna martwa cisza na ulicach i w oknach zdawała się świadczyć o opuszczeniu

miasta.

Barbarzyńca trafił na wąskie, kamienne schody i ruszył nimi w dół. Domy były tak blisko muru, że znalazłszy się w połowie drogi, najbliższe okno miał na wyciągnięcie ręki. Stał i zaglądnął do środka. Okno nie miało okiennic ani krat, tylko rozchylone szeroko, jedwabne zasłony. Za nimi dostrzegł komnatę o ścianach pokrytych ciemnymi, aksamitnymi gobelinami. Podłogę zalegały grube dywany, a ławy z polerowanego hebanu i łoże z kości słoniowej pokryte były stertami futer.

Conan zamierzał schodzić dalej, gdy dotarł do niego z ulicy odgłos czyichś kroków. Nim nadchodzący zdążył wyjść z za rogu i zobaczyć na schodach Cymmerianina, ten jednym skokiem znalazł się obok w komnacie i gdy miękko wylądował, dobył szabli. Przez chwilę stał nieruchomy jak posąg, po czym, gdy nic się nie wydarzyło, skierował się ku drzwiom, idąc po miękkich dywanach. Nagle jedna z zasłon odchyliła się, ukazując wyłożoną poduszkami alkowę, z której ciemnowłosa dziewczyna spoglądała na niego sennym wzrokiem.

Conan stanął w napięciu spodziewając się, że zaskoczona zaraz podniesie alarm. Jednak dziewczyna przysłoniła tylko ziewające usta delikatną dłonią i wstała, niedbale opierając się o zasłoniętą gobelinem ścianę.

Bezsprzecznie należała do białej rasy, chociaż jej skóra była bardzo ciemna. Miała prosto przycięte, czarne jak noc włosy, a jedynym jej strojem był skrawek jedwabiu, owinięty wokół bioder. Po chwili odezwała się, ale w nieznanym mu języku i Conan wzruszył ramionami. Dziewczyna ziewnęła ponownie, przeciągnęła się i bez strachu czy zdziwienia przemówiła w języku, który był mu znany: dialektem Yuetschów, brzmiącym jednak bardzo archaicznie.

— Szukasz kogoś? — zapytała z taką obojętnością, jakby obecność uzbrojonego męża w jej komnacie była najzwyczajszą rzeczą w świecie.

— Kim jesteś? — spytał Conan.

— Jestem Yateli. Chyba biesiadowałam wczoraj do późnej nocy, jestem bardzo senna. A kim ty jesteś?

— Nazywam się Conan, jestem wodzem kozaków — odpowiedział, przyglądając się bacznie. Uważał jej zachowanie za grę i sądził, że dziewczyna spróbuje uciec z komnaty lub zaalarmować domowników. A jednak, mimo że aksamitny sznur, z pewnością używany do przyzywania służby, wisiał w zasięgu jej ręki, dziewczyna nie próbowała go użyć.

— Conan — powtórzyła niepewnie. — Nie jesteś Dagonianinem. Myślę, że jesteś najemnikiem. Czy ściałeś głowy wielu Yuetschan?

— Nie walczę ze szczurami! — warknął Conan.

— Ale oni są straszni — powiedziała z lękiem. — Pamiętam jeszcze czasy gdy byli naszymi niewolnikami. Potem zbuntowali się, palili, mordowali. Tylko czary Khosatrą trzymają ich z dala od murów.

Przerwała i na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

— Zapomniałam — wyszeptała. — Oni przeszli przez mury zeszłej nocy. Wszędzie słychać było krzyki i trzask płomieni, a ludzie na darmo wzywali Khosatral Khela...

Potrząsnęła głową, jakby chcąc odsunąć wspomnienie ubiegłej nocy.

— Ależ to niemożliwe! — wykrztusiła. — Ja żyję, a wydawało mi się że jestem martwa. Do diabła z tym!

Przeszła przez komnatę i biorąc Conana za rękę pociągnęła go na łóżko. Pozwolił jej na to, wciąż spodziewając się podstępu. Dziewczyna uśmiechnęła się jak senne dziecko. Długie, jedwabne rzęsy opadły zasłaniając ciemne, zamglone oczy. Przesunęła dłoń po jego gęstych włosach, jakby sprawdzała czy jest rzeczywisty.

— To był sen — ziewnęła. — Z pewnością to mi się tylko śniło. Teraz też czuję się jakbym śniła. Nieważne. Nic nie pamiętam... Zapomniałam... jest coś, czego nie rozumiem, ale kiedy próbuję o tym myśleć, ogarnia mnie senność... To na pewno bez znaczenia.

— O czym myślisz? — spytał Conan. — Mówisz, że przeszli przez mury? Kto?

— Yuetschowie. Tak sądzę. Dym zasłonił wszystko, a potem — nagi, zakrwawiony potwór chwycił mnie za gardło i wbił nóż w pierś. Och, jak bolało! Ale to był tylko sen, bo — widzisz? — wcale nie mam blizny!

Wolno oglądnęła swoją gładką pierś, potem usiadła Conanowi na kolanach i objęła ramionami jego potężny kark.

— Nie pamiętam — mruzczała, tuląc ciemną główkę do jego potężnej piersi. — To wszystko wydaje mi się takie odległe i rozmyte. To nic. Ty nie jesteś snem. Jesteś silny. Radujmy się życiem póki możemy. Kochajmy się!

Conan ułożył puszystą głowę w zgięciu ramienia i z nieskrywaną przyjemnością pocałował pełne, czerwone usta.

— Jesteś silny — powtórzyła słabnącym głosem. — Weź mnie, teraz...

Senne mamrotanie urwało się. Długie rzęsy opadły, ciemne powieki zamknęły się i dziewczyna bezwładnie opadła w ramiona Conana.

Popatrzył na nią marszcząc czoło. Ona i całe to miasto zdawało się być ułudą, jednak ciepło, miękkość jej ciała świadczyły dobitnie, że ma w objęciach żywą istotę a nie senną zjawę. Pomimo tego zakłopotany Conan pośpiesznie złożył ją na zasłane futrami łóżko. Jej sen był zbyt głęboki, by mógł być naturalny. Przypuszczał, że dziewczyna musiała być pod wpływem narkotyku, być może podobnego do czarnego lotosu z Xutul.

W pewnym momencie zobaczył coś, co go zdziwiło. Wśród futer na łóżku znajdowała się piękna,

złota skóra w czarne cętki. Conan wiedział, że zwierzę noszące ją wymarło przed wiekami — był to bowiem wielki leopard, zajmujący poczesne miejsce wśród hyboriańskich legend, jego też starożytni artyści chętnie przedstawiali na freskach. Mrucząc z niedowierzania Conan wyszedł przez łukowato sklepione drzwi na korytarz. W budynku panowała cisza, lecz na zewnątrz czułe ucho barbarzyńcy pochwyciło odgłos ludzkich kroków. Ktoś schodził z muru po tych schodach, z których Conan skoczył do komnaty.

W chwilę później z niepokojem usłyszał, jak coś wylądowało z potężnym hukiem na podłodze komnaty, którą dopiero co opuścił. Conan zawrócił i pobiegł krętym korytarzem, aż zatrzymał się na widok leżącego człowieka. Mężczyzna leżał w przejściu ukrytych, a teraz uchylonych drzwi. Szczupłe i ciemne ciało okrywała tylko przepaska. Leżący miał ogoloną głowę, a na jego twarzy malowało się okrucieństwo.

Conan pochylił się nad nim szukając przyczyny śmierci — śladu zabójczego ciosu — i stwierdził, że mężczyzna jest pogrążony we śnie, podobnie jak ciemnowłosa dziewczyna w komnacie. Tylko dlaczego obrał sobie takie miejsce na drzemkę?

Zastanawiającego się nad tym Conana dobiegł zza pleców jakiś hałas. Ktoś zbliżał się korytarzem. Rozejrzał się wokoło i zobaczył, że sień kończy się dużymi drzwiami. Mogły być zamknięte. Jednym pociągnięciem wyciągnął mężczyznę z ukrytego przejścia i przekroczył próg, zamykając za sobą drzwi. Stał w ciemności słuchając; odgłos kroków zamilkł przed jego kryjówką i lekki dreszcz przebiegł mu po plecach. Tak stąpać nie mógł ani żaden człowiek, ani też żadne znane barbarzyńcy zwierzę.

Krótką chwilę ciszy przerwało słabe trzeszczenie drewna. Conan wyciągnął rękę i poczuł, że metalowe drzwi wyginają się tak, jakby z przeciwnej strony napierała na nie olbrzymia siła. Sięgnął po szablę, gdy nagle napór ustał, usłyszał dziwne, obrzydliwe ciamkanie, od którego włosy stanęły mu dęba. Trzymając szablę w dłoni, zaczął się wolno cofać, aż trafił na schody i niedużo brakowało, a spadłby z nich. Stopnie były wąskie i prowadziły w dół. Ruszył w ciemność, próbując bez skutku znaleźć jakieś drzwi. Kiedy zorientował się, że nie znajduje się już w budynku, ale głęboko pod nim, schody przeszły w tunel.

Szukając drogi w ciemnościach, Conan podążał milczącym tunelem, będąc narażonym w każdej chwili na runięcie w jakąś niewidoczną przepaść. Wreszcie stopy jego natrafiły znów na stopnie. Wszedł po nich i znalazł się przed drzwiami. Po chwili trafił błędzącymi palcami na metalowy rygiel. Wyszedł z tunelu i stanął w mrocznej, ale przestronnej sali o ogromnych rozmiarach. Pod marmurowymi ścianami biegły szeregi dziwnych kolumn, podtrzymujących sklepienie, które jednocześnie czarne i przezroczyste wyglądało jak zachmurzone nocą niebo, dając złudzenie nieprawdopodobnej wysokości. Światło wsączało się do pomieszczenia i rozlewało weń upiornie.

Conan ruszył przez panujący półmrok po pustej, zielonej posadzce. Wielka sala miała owalny kształt. Jedną ze ścian dzieliły wielkie podwoje spiżowych wrót. Naprzeciw nich znajdowało się podwyższenie, do którego wiodły szerokie, kręte schody. Stał na nim miedziany tron i Conan, gdy zobaczył, co na nim siedzi, cofnął się gwałtownie, unosząc szablę.

Wstrzymując oddech, wszedł po szklanych stopniach, żeby przyjrzeć się temu z bliska. Był to

gigantyczny wąż, najprawdopodobniej wyrzeźbiony z kamienia przypominającego nefryt. Każda łuska odrażającego cielska wyglądała jak prawdziwa, również tęcze kolory oddano z niezwykłą dokładnością. Olbrzymia, trójkątna głowa schowana była do połowy w splotach — tak więc ślepią i paszcza pozostały niewidoczne. W umyśle Conana powoli kiełkowało zrozumienie. Ten wąż był podobizną jednego z tych ponurych stworzeń, jakie w minionych wiekach zamieszkiwały bagniste brzegi południowych krańców Morza Vilayet. Jednak, podobnie jak złoty lampart, węże te wyginęły przed setkami lat. Conan widział ich niezdarne rysunki w świętych chatkach Yuetschów. O stworzeniach tych czytał również w Księdze ze Skelch, która opierała się na apokryfach.

Teraz, podziwiając pokryte łuskami cielsko, grubsze od jego uda i z pewnością niespotykane długie, wyciągnął rękę i dotknął węza. W tej samej chwili szarpnął się gwałtownie, a serce skoczyło mu do gardła. Krew w jego żyłach zmroził lód i wszystkie włosy zjeżyły się, bowiem nie dotknął gładkiej, delikatnej powierzchni z metalu, szkła czy kamienia, lecz elastycznej skóry. Pod palcami poczuł leniwie tętniące życie...

Z obrzydzeniem cofnął rękę. Z najwyższą ostrożnością zszedł tyłem po krętych schodach, nie spuszczać oka z przerażającego władcy, wylegującego się na swym miedzianym tronie. Z gardłem ściśniętym strachem i odrazą dotarł do wielkich drzwi i spróbował je otworzyć. Stwór nie poruszył się. Conana ogarniała panika na myśl, że nie uda mu się otworzyć wrót i pozostanie tu dłużej z potwornym gadem. Jednak drzwi uchyliły się i wysliznął się z sali, zamykając je za sobą.

Znalazł się w obszernej komnacie o ścianach pokrytych gobelinami. I tutaj panował półmrok, w którym bardziej odległe przedmioty były trudne do rozróżnienia. Conan zaniepokoił się na myśl o ewentualnym spotkaniu z pełzającymi w ciemnościach gadami. Oświetlenie sprawiało, że drzwi na końcu sali wydawały się oddalone o całe mile.

Wiszący na ścianie gobelin maskował jakieś ukryte przejście. Odchyliwszy go ostrożnie, Conan odkrył wąskie schody wiodące w górę.

Gdy stał i zastanawiał się, z wielkiej sali, którą przed chwilą opuścił, dosłyszał ponownie znajomy odgłos kroków. Czyżby ktoś podążał jego śladem? Conan nie tracąc czasu wbiegł na stopnie. Kiedy schody wreszcie skończyły się, otworzył pierwsze napotkane drzwi. Jego pozornie chaotyczna wędrówka miała dwa cele. Po pierwsze: ucieczkę z tego niezwykłego budynku. Po drugie: odnalezienie dziewczyny, którą — jak czuł, uwięziono gdzieś tutaj. Był przekonany, że wielki gmach zwieńczony wieloma kopułami, znajdujący się w centrum miasta, jest siedzibą władcy i tam właśnie zaprowadzono dziewczynę.

Trafił do pomieszczenia pozbawionego drugiego wyjścia i już chciał zawrócić, gdy usłyszał dochodzący zza ściany głos. Przywarł do niej uchem i słuchał uważnie. Lodowaty dreszcz zaczął wolno przechodzić mu po plecach. Głos nie należał do ludzkiej istoty, mimo iż mówił po nemediańsku.

— Nie było życia w Otchłani prócz tego, jakie ja uosabiałem — dudniąc przemawiał głos. — Nie było światła ani ruchu, ani dźwięku. Tylko siła nakazująca i pchająca mnie w górę, ślepego, pozbawionego zmysłów, bezlitosnego. Wiek po wieku trwała moja wspinaczka poprzez nieogarnięte przestrzenie ciemności.

Conan zauroczony tym dudniącym głucho, niczym dzwon bijący o północy, głosem trwał zasłuchany, zapomniawszy o całym świecie. Jego hipnotyczna moc odjęła mu wszystkie zmysły pozostawiając tylko pojawiające się w umyśle obrazy. Już nie zdawał sobie sprawy z istnienia głosu, odbierał jedynie przytłumione, rytmiczne serie dźwięków. Przeniesiony poza czas i przestrzeń, pozbawiony swego jestestwa, widział przemienienie się istoty, zwanej Khosatral Khelem, która wypelza z Otchłani i Mroku przed wiekami i przybrała materialną postać.

Jednakże ludzkie ciało było zbyt ułomne dla tego straszliwego stworzenia. Tak więc Khosatral Khel przybrał postać mężczyzny, lecz jego ciało nie było ciałem ani krew krwią, ani kości kośćmi. Stał się czymś, co urąga prawom natury, ponieważ pierwotna, niematerialna siła przybrała w jego postaci żywą, myślącą formę.

Niczym bóg przemierzał świat, bowiem nie miała się go żadna broń, a wiek był dla niego tylko chwilą. Podczas swoich wędrówek natrafił na prymitywny lud zamieszkujący wyspę Dagonia. Podarował im kulturę i mądrość, bo sprawiło mu to przyjemność. Dzięki jego pomocy zbudowali miasto, w którym mieszkali i oddawali mu boską cześć. Dziwni i straszni byli jego słudzy, zwoływani z najmroczniejszych zakamarków kontynentów, na których wciąż jeszcze egzystowały ponure stwory z minionych epok. Siedziba Khosatral Khela łączyła się ze wszystkimi domami w mieście korytarzami, którymi kapłani o ogolonych głowach znosili mu ludzkie ofiary. Po wiekach, na brzegu morza wylądowało dzikie, wędrujące plemię. Nazywali się Yuetschami. Po niezwykle zacieklej bitwie zostali zwyciężeni, by przez następne lata służyć Khosatralowi jako niewolnicy i umierać na jego ołtarzach. Czarami zmuszał ich do posłuszeństwa, lecz mimo tego dziwny i ponury Yuetschański kapłan umknął na pustkowia, a gdy powrócił, przyniósł ze sobą sztylet z nieziemskiej materii. Wykuto go z meteorytu, który przeciął niebo jak ognista strzała i spadł w odległej dolinie. Niewolnicy powstałi. Zębatymi klingami swoich noży zarzynali Dagonian jak owce. Czary Khosatrala nie miały bowiem mocy wobec magicznego sztyletu kapłana.

Mord i płomienie rozszalały się na ulicach miasta, a ostatni akt krwawego dramatu rozegrał się w krypcie — o ścianach zdobionych na podobieństwo skóry węża, ukrytej za salą tronową.

Z krypty kapłan wyszedł sam. Nie zabił swego wroga gdyż chciał go użyć w razie potrzeby przeciwko swoim zbuntowanym poddanym. Pozostawił Khosatral Khela leżącego bez zmysłów na złotym katafalku — z magiczną klingą na nagiej piersi. Mijały wieki. Kapłan umarł, a wieże Dagonii legły w gruzach. Opowieści o tych wydarzeniach stworzyły legendę, a Yuetschowie z powodu głodu, zarazy i wojen stali się nielicznym ludem zamieszkującym brudne i nędzne nadmorskie wioski. Jedynie ukryta krypta oparła się działaniu czasu, aż przypadkowy piorun i ciekawość rybaka podniosły magiczny sztylet z piersi nieziemskiej istoty, zdejmując tym samym zaklęcie. Khosatral Khel ożył i odzyskał dawną potęgę. Z jego rozkazu odrodziło się miasto — takie, jakim było przed upadkiem. Czarnoksięską sztuką podniósł z prochu minionych stuleci budowle i zamieszkujący w nich lud. Jednak ludzie, którzy poznali pośmiertny spokój, nie są w pełni żywi. Na dnie duszy i umysłu kryje się wciąż nieprzewyciężona martwota. Nocą lud Dagonii bawi się i ucztuje, nienawidzi i kocha, wspominając swą śmierć i zagładę miasta jak niewyraźny, nocny koszmar. Krążą w kręgu złudzeń, czując niezwykłość swego istnienia, lecz nie dociekają jego przyczyny.

O świecie zapadają w głęboki sen, aby zbudzić się znów z nastaniem nocy — siostry śmierci.

Wszystko to przemknęło przez świadomość Conana, gdy stał zasłuchany przy ścianie. Zamroczony czuł, że opuszcza go pewność własnych zmysłów, pozostawiając wizję świata, gęsto zamieszkałego przez ponure istoty o nieobliczalnych zdolnościach. Poprzez dudniący głos, głoszący swój triumf nad wszelkimi prawami przyrody i wszechświata, przebił się ludzki krzyk, sprowadzając Conana do rzeczywistości, gdzie histerycznie szlochała kobieta.

Conan odruchowo zerwał się do czynu.

Jehungir Aga z rosnącą niecierpliwością czekał w swojej łodzi między trzciniami. Minęła już przeszło godzina, a Conan nie pojawił się ponownie. Z pewnością przeszukiwał wyspę myśląc, że dziewczyna ukrywa się na niej. Jednak Aga zaczął obawiać się czegoś innego. A jeżeli ten kozacki wódz pozostawił swoich ludzi w pobliżu? Czy nie nabiorą podejrzeń i nie nadejdą, by sprawdzić przyczynę tak długiej nieobecności Conana? Jehungir wydał rozkaz wioślarzom. Długa łódź wynurzyła się z szuwarów i popłynęła ku wykutym w skale schodom.

Pozostawiwszy pół tuzina ludzi na pokładzie. Aga zabrał pozostałych ze sobą, dziesięciu tęgich łuczników z Kwaharizmu, ubranych w płaszcze z tygryziej skóry i w spiczaste hełmy. Jak myśliwi podążający tropem lwa, skradali się między drzewami, trzymając strzały na cięciwach. W lesie panowała absolutna cisza. Tylko duże, zielone stworzenie przeleciało im z głośnym łopotem skrzydeł nad głowami i zniknęło w mroku. Wtem Jehungir gwałtownym ruchem zatrzymał oddział. Z niedowierzaniem patrzył na widoczne w oddali wieże.

— Na Tarima! — wyrwało mu się z gardła. — Piraci odbudowali fortecę, Conan na pewno jest w środku. Trzeba to sprawdzić. Twierdza tak blisko naszego brzegu! Idziemy!

Ze zdwojoną ostrożnością przemykali wśród drzew. Gra stawała się coraz bardziej ryzykowna, z tropicieli i myśliwych stali się szpiegami. Podczas gdy czołgali się przez splątany gąszcz, mężczyzna, którego szukali, stawiał czoła niebezpieczeństwu o wiele groźniejszym niż ich smukłe strzały.

Z dreszczem niepokoju Conan stwierdził, że głos dochodzący zza ściany umilkł. Przez chwilę stał nieruchomo jak posąg, ze wzrokiem utkwionym w zasłoniętych drzwiach, spodziewając się, że zaraz ukaże się w nich straszny Khosatral Khel. W komnacie panował mglisty półmrok. Mimo to barbarzyńca dostrzegł gigantyczną postać przeciwnika. Nie słyszał kroków, ale olbrzym zbliżył się na tyle, że Conan mógł rozróżnić szczegóły. Mężczyzna odziany był w sandały, spódniczkę i szeroki, skórzany pas. Złota opaska przytrzymywała mu na skroniach prosto przycięte, czarne włosy. Zobaczył potężne ramiona, szeroką pierś i bary z piętrzącymi się mięśniami. Z twarzy o ostrych rysach spoglądały na Cymmeryjczyka bezlitosne, okrutne oczy. Conan wiedział, że stoi przed nim Khosatral Khel, istota z Otchłani i Mroku, bóg Dagonii.

Nie padło nawet jedno słowo. Nie było to konieczne. Khosatral rozwarł szerokie ramiona, a Conan — przyklękając, ciął w brzuch giganta. Jednak natychmiast cofnął się gwałtownie, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. Klinga zadźwięczała jak na kowadle i odskoczyła nie zostawiając śladu. Olbrzym uderzył na niego jak burza. Starli się gwałtownie. Conan z najwyższym trudem wyrwał się z uścisku przeciwnika. Krew pokazała się w miejscach, gdzie żelazne palce rozorały mu skórę. Podczas tego krótkiego pojedynku Conan doznał szoku, gdyż dotarło do niego, że spotkał się nie ze zwyczajnym ludzkim ciałem, lecz z ożywionym, myślącym metalem.

Kkosatral atakował go w półmroku. Conan wiedział, że jeżeli te ogromne dłonie zamkną się raz jeszcze wokół jego szyi, to nie rozluźnią uścisku, dopóki nie wyda ostatniego tchnienia. W ciemnościach wydawało mu się, że walczy z sennym koszmarem.

Odrzuciwszy bezużyteczną szablę, dźwignął ciężką ławę i cisnął nią z całej siły. Niewielu ludzi zdołałoby choćby podnieść taki ciężar, jednak na piersi Khosatral Khela roztrzaskała się w kawałki, nie odnosząc żadnego skutku. Po tym nieudanym ataku twarz giganta utraciła ludzki wyraz i nad jego głową zajaśniała złocista poświata. Z impetem ruszył na Cymmerianina.

Jednym szybkim ruchem Conan zerwał ze ściany olbrzymi gobelin i zakręciwszy nim młyńca, co wymagało większego wysiłku niż ciśnięcie ławą, zarzucił go na głowę przeciwnika. Przez chwilę Khosatral plątał się, przyduszony i oślepiony przez materię opierającą się jego nieludzkiej sile mocniej niż drewno czy stał. W tym czasie Conan podniósł szablę i wybiegł na korytarz. Nie zwalniając kroku, przemknął przez drzwi przyległej komnaty, zamknął je i zasunął rygiel.

Odwróciwszy się, stanął jak zamurowany i krew uderzyła mu do głowy. Wśród jedwabnych poduszek, z kaskadami złotych włosów opadających na ramiona i przerażeniem w oczach kulila się kobieta, której pożądał. Niemal zapomniał o deptającym mu po piętach potworze, kiedy donośne dźwięki za plecami przywróciły mu rozsądek. Chwycił dziewczynę i skoczył ku drzwiom po drugiej stronie komnaty. Jasnowłosa była zbyt wystraszona by mu w tym przeszkodzić lub pomóc. Jedynym dźwiękiem, jaki była w stanie z siebie wydać, był cichy jęk.

Conan nie marnował czasu na otwieranie drzwi. Niesamowitym uderzeniem szabli rozbił zamek i wybiegając na schody, zobaczył kątem oka tors Khosatrala, który z trzaskiem druzgotał zamknięte drzwi po przeciwnej stronie. Kolos rozerwał je jakby były z papieru.

Conan popędził schodami w górę, z dziecinną łatwością trzymając przerzuconą przez ramię dziewczynę. Nie miał pojęcia dokąd podąży. Schody doprowadziły go do owalnego pomieszczenia o łukowym sklepieniu. Olbrzym gnał za nimi po schodach szybko i cicho jak śmierć. Komnata miała żelazne ściany i drzwi. Conan zatrzasnął je i zamknął zasuwę — wielkie stalowe sztaby. Przyszło mu na myśl, że trafili do pomieszczenia, w którym Khosatral zamykał się na odpoczynek, by zabezpieczyć się przed monstrami, przyzwanymi z Otchłani i Mroku dla zaspokojenia jego kaprysów.

Ledwie zamknął drzwi, gdy zadrżały pod gwałtownymi ciosami. Conan wzruszył ramionami. Oto koniec jego drogi. Z komnaty nie było wyjścia. Powietrze i nienaturalnie przyćmione światło dochodziło przez szczeliny w sklepieniu. Bez śladu podniecenia sprawdził wyszczerbione ostrze swojej szabli. Zrobił, co mógł. Jeżeli kolos rozbije drzwi. Conan znów rzucił się na niego z bezużyteczną bronią w ręku — nie dla spodziewanego sukcesu, lecz dlatego, że w jego naturze leżała walka do ostatniego tchnienia. Na razie nie miał nic do roboty. Jego opanowanie nie było wymuszone czy udawane. W spojrzeniu, jakim zmierzył swoją urodziwą towarzyszkę, był tak niekłamany zachwyt, jakby miał przed sobą sto lat spokojnego życia.

Kiedy zamykał drzwi, pchnął ją bezceremonialnie na podłogę. Podnosiła się na nogi, odruchowo poprawiając falujące loki i skąpe szaty. Conan przyglądał się jej pełen aprobaty, zatrzymując wzrok na gęstych złocistych włosach, pełnych piersiach i wielce obiecującym zarysie bioder.

Krzyknęła cicho, gdy uderzenie szarpnęło drzwiami i zasuwa pękła ze zgrzytem. Conan nie obejrzał się. Wiedział, że drzwi wytrzymają jeszcze przez pewien czas. — Doniesiono mi że uciekłaś — powiedział. — Yuetschański rybak powiedział mi, że się tu ukrywasz. Jak ci na imię?

— Oktawia — wyszeptała bezwiednie i natychmiast wybuchnęła lawiną słów, trzymając kurczowo Conana za rękę. — O Mitro! Czy to koszmar? Jeden z tych ciemnoskórych ludzi pochwyił mnie w dżungli i przyniósł mnie tutaj. Powiedli mi do tego... tego... tego potwora. Powiedział mi, że... powiedział... Czyja oszalałam? Czy to sen?

Conan popatrzył na drzwi, które wygięły się jak pod uderzeniem tarana i rzekł:

— Nie. To nie sen. Zawiasy puszczają. Dziwne, że ten demon musi wyłamywać drzwi jak zwyczajny śmiertelnik. Pomimo to jego siła jest potworna.

— Nie możesz go zabić? — jęknęła. — Jesteś silny.

Conan był zbyt uczciwy, by ją okłamywać.

— Gdyby zwykły śmiertelnik mógł go zabić, byłby już martwy — odpowiedział.

— Wyszczерbiłem szablę na jego brzuchu.

Jej oczy pociemniały.

— Więc musimy umrzeć, o Mitro! — krzyknęła nagle w największym przerażeniu i Conan pochwyił ją za ramię, obawiając się, że zrobi sobie krzywdę. — On mi powiedział, co ze mną zrobi!

— Zabij mnie! Zabij! Zanim tu wejdzie! — krzyczała dysząc ciężko.

Conan spojrział jej w oczy i pokręcił głową.

— Zrobię, co będę mógł — powiedział. — To będzie bardzo mało, ale da ci szansę wyrwać się z komnaty. Biegnij do brzegu. Mam tam łódź uwiązaną przy schodach. Jeżeli wydostaniesz się z pałacu, może uda ci się uciec. Wszyscy mieszkańcy miasta śpią.

Ukryła twarz w dłoniach. Conan podniósł szablę, podszedł do dudniących pod uderzeniami drzwi i stanął przy nich. Patrząc na niego trudno było uwierzyć, że czekał na nieuchronną, w swoim przekonaniu, śmierć. Może oczy jaśniały mu bardziej niż zwykle i silniej trzymał broń w muskularnej dłoni — to wszystko.

Zawiasy ustąpiły pod piekielnymi ciosami giganta i drzwi zachwiały się gwałtownie, przytrzymywane tylko przez zasuwy. Te solidne, stalowe sztaby gięły się i łamały, jakby były z miękkiej miedzi. Conan przyglądał się temu z prawie beznamiętnym zainteresowaniem. Podziwiał nieludzką siłę potwora. Nagle, bez żadnych wcześniejszych oznak, dudnienie ustało. Wyczulony słuch barbarzyńcy pochwyił za drzwiami dziwne dźwięki: trzepot skrzydeł i skrzeczący głos, podobny do wycia wiatru o północy. Po tym wszystkim nastąpiła cisza — lecz nieco inna niż poprzednio. Conan

wiedział, że władca Dagonii odszedł.

Cymmerianin spojrział przez szparę między drzwiami a futryną, po czym odsunął pogięte sztaby i ostrożnie odstawił wyłamane drzwi na bok. Khosatrała nie było na schodach, jedynie gdzieś z dołu doszedł hałas zamykanych drzwi. Nie wiedział, czy gigant knuł jakiś podstęp, czy też wzywał go tajemniczy rozkaz, ale nie tracił czasu na zastanawianie się. Krzyknął na Oktawie, co sprawiło, że dziewczyna poderwała się i stanęła u jego boku.

— Co się stało? — cicho spytała.

— Nie traćmy czasu na dyskusje. Idziemy!

Conan zmienił się całkowicie. Z błyskiem w oczach powiedział stanowczym głosem:

— Pójdziemy po sztylet, po magiczne ostrze Yuetschów! Zostawił je w krypcie!

W szalonym pośpiechu pociągnął dziewczynę za sobą. Po drodze przypomniał sobie ukrytą kryptę, przylegającą do sali tronowej i oblał się potem. Jedyna droga do grobowca wiodła obok miedzianego tronu stworzenia, które na nim spoczywało. Jednak nie wahał się ani trochę. Zbiegli po schodach, przeszli przez komnatę, zostawili za sobą następne schody i stanęli przed drzwiami wielkiej, mrocznej sali. Nigdzie nie dostrzegli obecności kolosa. Zatrzymując się przed spiżowymi podwojami, Conan chwycił Oktawie za ramiona i potrząsnął nią silnie.

— Słuchaj teraz! — warknął. — Wejdę do tej sali i zamknę za sobą drzwi. Stój tu i czekaj! Jeżeli usłyszysz kroki Khosatrała, zawołaj mnie. Natomiast jeśli usłyszysz mój krzyk — biegnij tak, jakby goniły cię wszystkie demony — zresztą tak będzie. Uciekaj przez drzwi na końcu korytarza, bo ja ci już wtedy nie pomogę. Idę po sztylet Yuetschów!

I zanim zdążyła zaprotestować, przecisnął się przez uchylone skrzydła i zamknął je cicho za sobą. Ostrożnie zasuważąc sztabę, nie zauważył, że można odsunąć ją z drugiej strony. Odszukał wzrokiem pograżony w gęstym mroku miedziany tron. Tak jak poprzednio, oślizły gad leżał na nim oplatając go swym cielskiem. Conan zobaczywszy drzwi za tronem, domyślił się, że prowadzą do tajemniczej krypty. Jednak, aby tam dotrzeć, musiał przejść przez podwyższenie, kilka stóp od odrażającego stworzenia.

Wietrzyk wiejący po zielonej posadzce uczyniłby więcej hałasu, niż bezszelestnie stąpający barbarzyńca. Z wzrokiem utkwionym w śpiącym gadzie dotarł do podium i wszedł na szklane stopnie. Bestia nie poruszyła się. Conan dochodził do drzwi...

Trzasnęła brązowa zasława przy wielkich drzwiach i Cymmerianin stłumił wściekle przekleństwo, widząc wchodzącą do sali Oktawie. Rozejrzała się, nie widząc nic w gęstym mroku. Conan stał w miejscu, nie mogąc jej ostrzec. Dziewczyna dojrzała go i podbiegła w jego kierunku wołając:

— Chcę iść z tobą! Boję się stać tam sama! Och!

Z przenikliwym krzykiem uniosła ręce w górę, gdy wreszcie zobaczyła zwiniętego na tronie węża. Trójkątna głowa podniosła się i skierowała ku Oktawii. Płynnym ruchem gad spełzał z tronu, powoli,

zwój po zwoju, paraliżując dziewczynę spojrzeniem nieruchomych oczu. Jednym rozpaczliwym skokiem Conan przesadził odległość dzielącą go od tronu i ciął z całej siły szablą. Jednak gad był od niego szybszy. Schwycił Conana w pół skoku i otoczył swoimi splotami. Szabla uderzyła bez rozmachu przecinając łuski, ale nie raniąc poważnie węża.

Conan miotał się rozpaczliwie w morderczym uścisku, wyciskającym dech z piersi i łamiącym żebra.

Prawe ramię miał wciąż jeszcze wolne, ale nie mógł nabrać rozmachu, by uderzyć śmiertelnie, a wiedział, że musi pokonać węża jednym ciosem. Wyteżył wszystkie siły czując, że mięśnie zamieniają się w skłębione bryły, a żyły niemal pękają z wysiłku. Stał na nogi, podnosząc prawie całe czterdziestostopowe cielsko. Chwilę chwiał się na szeroko rozstawionych nogach, wreszcie wznosił błyszczącą klingę nad głową.

Szabla opadła ze świstem, tnąc łuski, ciało i kręgosłup gada. Zamiast jednego węża były teraz dwa, wijące się i bijące w posadzkę w spazmach agonii. Conan chwiejnie osunął się na bok. Kręciło mu się w głowie, z nosa wypłynęły strumyki krwi i ogarnęły go mdłości. Szukał wokół siebie Oktawii. Chwycił ją i potrząsnął, aż zaszczekała zębami.

Był zbyt oszołomiony by usłyszeć jej odpowiedzi. Chwyciwszy ją za rękę jak krnąbrnego dzieciaka, podszedł do drzwi, szerokim łukiem omijając wciąż drgające, odrażające szczątki. Wydawało mu się, że w oddali słyhać jakieś krzyki, ale w uszach mu jeszcze szumiało, więc nie był tego pewny.

Silnym pchnięciem otworzył drzwi. Jeżeli to Khosatral pozostawił węża na straży magicznego sżyletu, widocznie uważał go za wystarczające zabezpieczenie. Conan był niemal pewny, że z otwartych drzwi zaatakuje go następny potwór, lecz w ciemnym świetle ujrzał jedynie tajemniczy zarys sklepienia, matowy blask złotego postumentu i półksiężycową klingę, lśniąca wśród klejnotów.

Porwał ją z westchnieniem ulgi, po czym nie tracąc czasu na oglądanie krypty, odwrócił się i pobiegł do odległego wyjścia, które jak przypuszczał, wyprowadzi ich na zewnątrz. Nie mylił się. W kilka minut wyszedł na ulicę, przez większą część drogi niosąc swoją towarzyszkę. Nikogo nie zobaczyli, chociaż na zachód od nich, za murem, rozlegały się okropne wrzaski i jęki, które na nowo napełniały Oktawie przerażeniem. Conan pociągnął ją do południowej bramy i bez trudu odnalazł kamienne stopnie prowadzące na blanki. Z wielkiej sali wziął gruby sznur i dotarłszy na górę, związał mocno talię dziewczyny i opuścił ją na ziemię. Następnie zamocował koniec liny wokół krenelażu i sprawnie po niej zjechał. Z wyspy prowadziła tylko jedna droga ucieczki — schodami na zachodnim brzegu. Ruszyli w tym kierunku, omijając z daleka miejsce, z którego dobiegały krzyki i odgłosy miażdżących ciosów. Oktawia czuła czające się niebezpieczeństwo. Oddychała ciężko i trzymała się blisko swego wybawcy. Jednak w dżungli panował spokój. Nie dostrzegli śladu zagrożenia, dopóki nie wyszli na otwartą przestrzeń i nie zobaczyli stojącego na nadbrzeżnych skałach człowieka.

Jehungir Aga uniknął losu swoich żołnierzy, których żelazny olbrzym rozerwał na strzępy, wypadłszy niespodziewanie z twierdzy. Gdy zobaczył, jak miecze jego łuczników kruszą się na ciele

olbrzyma o ludzkiej postaci, zrozumiał, że ich przeciwnik nie jest człowiekiem i czym prędzej umknął, kryjąc się w dżungli, aż odgłosy nierównej walki nie ucichły. Później przekradł się do schodów, lecz... jego załoga nie czekała na niego.

Słyszając dzikie wrzaski mordowanych towarzyszy, a później widząc na schodach zbroczonego krwią kolosa, groźnie wymachującego potężnymi ramionami, nie czekali dłużej. Kiedy Jehungir dopadł schodów, właśnie znikali w trzcinach po drugiej stronie przesmyku. Khosatral odszedł — powrócił do miasta albo zajął się pogonią za niedobitkami.

Jehungir gotował się właśnie do tego, by zejść schodami i odpłynąć łodzią Conana, gdy zobaczył Cymmerianina wychodzącego z dżungli. Wstrząsające wydarzenia, które zmroziły mu krew i niemal pozbawiły zmysłów, nie zmieniły jego zamiarów wobec wodza kozaków. Widok człowieka, którego chciał zgładzić, napełnił go zadowoleniem. Zdziwiło go nieco pojawienie się dziewczyny, ale nic marnował czasu na rozmyślanie. Chwycił łuk, napiął cięciwę i wypuścił strzałę. Conan jednak uskoczył i grot trafił w pień drzewa.

— Psie — zaśmiał się barbarzyńca. — Nigdy mnie nie trafisz! Nie urodziłem się po to, by zginąć od hyrkańskiego żelaza! Spróbuj jeszcze raz, turańska świnió!

Jehungir nie próbował — to była jego jedyna strzała. Dobył szabli i natarł na wroga, ufając swojemu spiczastemu hełmowi i kolczudze z małych kółek. Conan spotkał go w pół drogi, tnąc zawzięcie. Krzywe klingi starty się z brzękiem, odskakując, zataczając lśniące łuki, sypiąc iskrami. Obserwująca walkę Oktawia nie zauważyła ciosu. Usłyszała tylko głucho uderzenie i zobaczyła jak Jehungir pada zalany krwią z przerąbanego boku, gdzie stał cymmerianina przecięła kolczugę i kręgosłup.

Jednak to nie sam widok śmierci swego dawnego pana wyrwał z gardła dziewczyny przeszywający krzyk. Z trzaskiem łamanych gałęzi z dżungli wypadł Khosatral Khel. Oktawia nie była w stanie uciekać — krzyknęła tylko przenikliwie, kolana się pod nią ugięły i osunęła się na trawę.

Pochylający się nad ciałem Agi Conan, nie zamierzał ustąpić. Przerzucił zakrwawioną szablę do lewej dłoni i wyciągnął wielki, zakrzywiony sztylet Yuetschów. Kolos podążał ku niemu z wyciągniętymi, potężnymi ramionami, lecz gdy ostrze załśniło jasno w promieniach słońca, zatrzymał się gwałtownie. Conan nie poprzestał na tym. Zaatakował go sztyletem. Pod jego ciosem metal ciała Khosatral Khela poddawał się jak kark wołu pod uderzeniem topora. Z głębokiej rany chlusnęła ciemna posoka i olbrzym ryknął głosem przypominającym pogrzebowy dźwięk dzwonu. Straszliwe ramiona opadły błyskawicznie, lecz Conan był szybszy od turańskich łuczników, którzy zginęli w ich morderczym uścisku. Uchylił się i uderzył dwukrotnie, Khosatral zachwiał się i zatoczył do tyłu. Jego ryki były nie do zniesienia. Wydawało się, że żelazo obdarzone ludzką mową rzezi i wyje pod pchnięciami. Jednocześnie gigant odwrócił się i chwiejnie popędził w dżunglę, potykając się, łamiąc drzewa i tratując krzewy. Conan, który ścigał go z prędkością zdwojoną przez wściekłość, dopadł go dopiero wtedy, gdy zamajaczyły przed nimi mury i wieże Dagonii.

Khosatral odwrócił się i waląc na oślep ramionami próbował powstrzymać rozjuszonego przeciwnika. Jak pantera atakująca łosia Conan skoczył pod opadające ramiona i wbił zakrzywiony

sztylet po rękojęść w miejsce, gdzie u człowieka znajduje się serce.

Khosatral zatoczył się i upadł. Stojąc miał jeszcze ludzką postać, ale na ziemię upadł już jako coś nieludzkiego. Tam, gdzie przed chwilą była twarz człowieka, nie można było się doszukać podobieństwa do ziemskiej istoty, żelazo topiło się i rozlewało...

Conan, którego nie przerażał widok żywego Khosatral Khela, z odrazą odskoczył od martwego wroga, bowiem w agonii olbrzym powrócił do postaci, jaką miał w chwili, gdy wyłonił się z Otchłani i Mroku przed tysiącami lat. Dygocząc z obrzydzenia. Conan odwrócił się i zobaczył, że wieże Dagonii nie wznoszą się już między drzewami. Rozwiały się jak dym: baszty, krużganki, strzelnice, potężna brama z brązu, aksamity i jedwabie, złoto i kość słoniowa, kobiety i mężczyźni — wszystko na powrót obróciło się w proch. Jedynie szczątki potrzaskanych kolumn sterczały wśród gruzów powalonych ścian, potrzaskanego bruku i rozłupanych murów. Conan znów widział ruiny Xapur takie, jakimi je pamiętał.

Cymmerianin stał przez dłuższy czas w milczeniu, niejasno zdając sobie sprawę z istoty odwiecznego konfliktu pomiędzy efemerycznym tworem w postaci ludzkości, a mrocznymi produktami Otchłani i Mroku.

Później dotarło do niego, że ktoś woła go ze strachem w głosie. Ocknął się, spojrział raz jeszcze na leżące obok truchło, wzdrygnął się i ruszył z powrotem.

Czekając dziewczyna ze strachem wpatrywała się w dżunglę. Pojawienie się Conana wyrwało z jej piersi westchnienie ulgi.

Cymmerianin otrząsnął się z przerażających wizji i znów był sobą.

— Co z nim jest? — spytała z lękiem.

— Wrócił tam, skąd przypełził — do Piekła — odparł powoli z zadowoleniem.

— Dlaczego nie zesłaś na dół do łodzi i nie uciekłaś nią?

— Nie zostawiłabym... — zaczęła, po czym zmieniwszy zdanie, skończyła nieskładnie — nie mam dokąd iść. Hyrkanie znów uczynią ze mnie niewolnicę, a piraci...

— A co z kozakami? — podpowiedział.

— Czyżby byli lepsi od piratów? — zapytała z pogardą.

Zachwyty Conana wzrósł, gdy zobaczył, jak szybko wróciła jej dawna hardość mimo tak dramatycznych przeżyć. Jej arogancja rozbawiła go.

— Wydawało mi się, że tak sądziłaś, będąc w obozie przy twierdzy Ghor.

Ze wzgardą skrzywiła się w uśmiechu.

— Myślisz, że zadurzyłam się w tobie? Wyobraziłeś sobie, że okryłabym się hańbą, flirtując z takim obżartuchem i piwochlejem? Mój pan — ten, którego zwłoki tam leżą — zmusił mnie do tego.

— Taa... — Conan wyglądał na speszonego, ale zaraz roześmiał się głośno.

— Nieważne. Teraz jesteś moja. Pocałuj mnie.

— Masz czelność prosić — zaczęła z oburzeniem, lecz niespodzianie poczuła, że unosi ją w powietrze i przyciska do swej muskularnej piersi. Opierała się zawzięcie, wyężdżając wszystkie siły, ale Conan tylko śmiał się coraz głośniej, rozgrzany bliskością tego wspaniałego ciała. Bez trudu przełamał jej opór i z niepohamowaną gwałtownością zaczął czerpać słodycz jej ust, aż przestała się szamotać i objęła go za szyję.

Później zajął jej w oczy i powiedział:

— Dlaczego wódz Wolnych Ludzi nie miałby być lepszy od turańskiego kundla?

Odrzuciła w tył faliste włosy, wciąż czując każdym kawałkiem swego ciała żar jego pocałunków. Nie wypuszczając go z objęć, zapytała prowokująco:

— Czy uważasz się za równego Adze?

Roześmiał się i ruszył ku schodom, niosąc ją w ramionach.

— Sama osądzisz — rzekł z przechwałą. — Podpalę Kwaharizm jak pochodnię, by oświetlić ci drogę do mojego namiotu.

Zainteresowanie okazywane przez Rufie Conanowi wygasło, gdy skończyły mu się łupy zdobyte w Asgalunie. Być może zamienił ją na dobrego wierzchowca, nim zaciągnął się pod rozkazy Amalryka Nemedyskiego, najemnika w służbie królowej regentki Jasmeli, rządzącej małym królestwem Khoraji.

Cymmerianin szybko awansuje do rangi kapitana. Brat regentki Jasmeli, król Khoraji jest więźniem w Ophirze, a hordy nomadów pod wodzą tajemniczego czarownika, Natohka, zagrażają królestwu.

„Oto noc władzy; Los przemierza korytarze świata niczym kolos, który właśnie wstał z wiecznego, granitowego tronu...”

Wśród tajemniczych ruin Kutchemesu zalegała martwa cisza, nad którą panował strach. To on właśnie złapał za gardło złodzieja Shevatasu sprawiając, że oddychał gwałtownie i głośno przez zaciśnięte zęby.

Stał między ruinami jak drobny okruch życia wobec olbrzymich pozostałości zniszczenia i rozkładu. Nieskazitelnego błękitu nieba, rozpalonego słońcem nie zakłócał nawet samotny sęp. Wokół królowały ponure szczątki dawno minionych wieków: potężne kolumny wznoszące się ku górze strzaskanymi wierzchołkami, skruszałe ściany szykujące się do upadku, olbrzymie bloki gigantycznych murów i rozbite posągi, których przerażające rysy niemal zatarły niezliczone dni piaskowych burz i gwałtownych wiatrów. Jak okiem sięgnąć ani śladu życia — jedynie zapierający dech w piersi bezmiar pustyni, podzielony falującą wstęgą wyschniętej rzeki. Pośród tego bezmiaru białe ruiny, kolumny sterczące niczym maszty zatopionych okrętów i górująca nad otoczeniem kopuła, przed którą stał trzęsący się Shevatas.

Podstawę tej kopuły tworzył olbrzymi postument z marmuru, wznoszący się na terasowatym zboczu, opadającym ku brzegowi wyschniętej rzeki. Szerokie stopnie prowadziły do wielkich spiżowych wrót w gładkiej ścianie budowli podobnej do połowy jajka. Ściany kopuły wykonano z kości słoniowej, lśniące tak mocno, jakby właśnie wypolerowały je jakieś nieznane ręce. Podobnie świeciła się złota pokrywa wierzchołka i złote, półmetrowej wielkości hieroglify inskrypcji pokrywających kopułę. Żaden żyjący człowiek nie potrafił odczytać tego pisma. Mimo to na ich widok Shevatasem targnęły dreszcze. Pochodził z pradawnej rasy, której mity mówiły o rzeczach, z których istnienia inne ludy nie zdawały sobie sprawy.

Shevatas, jak przystało na mistrza zamorańskich złodziei, był zwinny i żyłasty. Jego mała okrągła głowa była dokładnie ogolona, a jedynym odzieniem była przepaska ze szkarłatnego jedwabiu. Jak każdy Zamorańczyk był ciemnej skóry, a bystre, czarne oczy osadzone były w wąskiej twarzy o orlich rysach. Jego długie, smukłe palce potrafiły poruszać się z szybkością i delikatnością skrzydeł motyla. Przypasał sobie krótki i wąski miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści. Shevatas obchodził się nadzwyczaj troskliwie ze schowaną w ozdobnej, skórzanej pochwie bronią. Zadawało się, że stara się, by miecz nie dotknął jego ciała. Nie bez powodu.

Shevatas był pierwszym wśród złodziei. Jego imię wymawiano z szacunkiem w knajpach Maul i ciemnych, podziemnych labiryntach świątyń Bala. Był człowiekiem, o którym pamięć miała przetrwać w pieśniach i podaniach.

Mimo to, stojąc przed olbrzymią kopułą. Kutchemes drżał cały ze strachu.

Nawet całkowity głupiec zauważyłby, że w tej budowli jest coś nienaturalnego. Trzy tysiące lat smagały ją wichry i paliło słońce, a jednak błyszczała srebrem i złotem jak w dniu, w którym

nieznani budowniczo wie wznieśli ją nad brzegiem bezimiennej rzeki.

Wrażenie to potęgowała atmosfera niepokoju i grozy panująca w ruinach. Rozciągająca się wokół pustynia była zagadkowym, nieprzebytym obszarem, położonym na południowy wschód od Shemu.

Shevatas był świadom tego, że kilka dni jazdy na grzbiecie wielbłąda pozwoliłoby mu dotrzeć do wielkiej rzeki Styx w miejscu, gdzie skręcała na zachód, by zakończyć swój bieg w odległym morzu. Tam gdzie kierowała swoje wody, na zachód, zaczynała się Stygia — ponura, południowa kraina, której miasta wznosiły się nad brzegami rzeki, wśród rozciągającej się wokół bezkresnej pustyni.

Shevatas był świadom i tego, że na wschodzie pustynia przechodziła w step ciągnący się aż do hyrkańskiego królestwa Thuranu, rosnącego w siłę państwa położonego nad wielkim, wewnętrznym morzem. Tydzień jazdy pustynią na północ kończył się pasmem jałowych gór, za którymi rozciągała się żyzna wyżyna Koth — wysuniętego najdalej na północ królestwa hyboriańskiego. Na zachód pustynia przechodziła w zielone łąki Shemu ciągnące się aż do brzegu oceanu.

Shevatas był świadom tych wszystkich rzeczy, nie zdając sobie z tego sprawy — tak jak człowiek zna ulice swojego miasta. Bardzo dużo podróżował, wykonując swój zawód w wielu krajach. Mimo tego wszystkiego wahał się teraz i drżał ze strachu, stojąc u progu największej tajemnicy i największego bogactwa.

W tej kopulastej świątyni z kości słoniowej spoczywały śmiertelne szczątki Thugry Khotana — czarnoksiężnika władającego Kutchemesem trzy tysiące lat temu, kiedy królestwa Stygii i Acheronu sięgały daleko na północ, aż do łąk i wyżyn Shemu. Po tym przyszedł czas, gdy Hyborianie ruszyli lawiną z kolebki swojej cywilizacji — dalekiej północy. Była to olbrzymia migracja, trwająca stulecia. Za panowania Thugry Khotana, ostatniego czarnoksiężnika Kutchemesu, siwoocy i brunatnowłosi barbarzyńcy w skórach i płytkowych kolczugach przybyli ze swych siedzib, by swoimi żelaznymi mieczami stworzyć podstawy królestwa Koth. Niczym powódź przelali się przez Kutchemes siejąc śmierć i zniszczenie, grzebiąc królestwo Acheronu.

Podczas gdy miecze barbarzyńców krwawo pracowały wśród łuczników Thugry Khotana, on sam wypił tajemniczy, trujący kordiał, a zakryci kapłani schowali jego ciało w grobowcu, który sam wybudował. Jego wyznawcy zostali straceni, lecz barbarzyńcy nie potrafili przekroczyć wrót grobowca ani zniszczyć jego murów taranami i ogniem. Odjechali, zostawiając zrujnowane miasto, a potężny Thugra Khotan trwał, spoczywając w pokoju w błyszczącym sarkofagu. Mijały lata; czas kruszył marmurowe kolumny, a życiodajna rzeka wsiąkła w piasek i wyschła.

Wielu rzezimieszków próbowało zdobyć skarby, które według słów legendy leżały sami wokół zmurszałych kości władcy Kutchemesu. Wielu u nich zginęło u wrót grobowca, a inni dręczeni koszmarami skonali z pianą na ustach i szaleństwem na twarzy. Z tych to powodów Shevatas drżał stojąc przed świątynią. Jego strach potęgowała myśl o zmi, która według podań strzegła szczątków czarnoksiężnika. Wszystkie legendy o Thugrze Khotanie przesiąknięte były tajemnicą i grozą. Z miejsca w którym stał, widział ruiny olbrzymiej sali, w której przed wiekami setki skutych łańcuchami więźniów klękały w czasie świąt, aby król–kapłan ściął im głowy ku czci Seta — stygijskiego boga–węża. Gdzieś w pobliżu znajdował się otwór, w który strącano krzyczące ofiary, aby pożywił się nimi ohydny, wyłazący z koszmarnych czeluści potwór. Legendy mówiły o Thugrze

Khotanie jako o istocie obdarzonej nadnaturalną mocą. Ślad jego kultu przetrwał w zwyczaju zostawiania przy zmarłych monety z jego podobizną, jako opłaty za przewóz przez Wielką Rzekę Ciemności, której materialnym cieniem był Styx. Shevatas widział głowę czarnoksiężnika na monetach skradzionych umarłym i zapamiętał tę twarz na zawsze.

W końcu pozbył się obaw i podszedł do spiżowej bramy. Jej gładka powierzchnia pozbawiona była zasuw, rygli i uchwytów. Jednak złodziej nie na próżno uprawiał tajemne praktyki, słuchał szeptów kapłanów Skelosa i czytał oprawione w żelazo zakazane księgi Vathelosa Ślepego.

Kłęcząc przed bramą dotknął zręcznymi palcami progę, znajdując delikatnymi opuszkami przyciski, zbyt małe, by niepożądane oczy mogły je odnaleźć, a mniej czułe palce wyczuć. Nacisnął je ostrożnie w odpowiedniej kolejności, mrucząc jednocześnie na wpół zapomniane zaklęcia. Nacisnąwszy ostatni przycisk, poderwał się na nogi i uderzył otwartą dłoń w sam środek wrót.

Bez zgrzytu sprężyn czy zawiasów płyta bramy wsunęła się w ścianę, a Shevatas szybko wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Stał na końcu krótkiego, podobnego do tunelu wąskiego korytarza. Całe to przejście wyłożone było kością słoniową. Z bocznego wejścia bezgłośnie wypełzał obrzydliwy stwór: sześciometrowy wąż pokryty opalizującymi łuskami. Podniósł łeb i spojrzał na niepożądanego gościa jarzącymi się ślepiami.

Złodziej nie marnował czasu na domysły, z jakich to przepastnych otchłani przybył ten obrzydliwy potwór. Ostrożnie wyjął z pochwy miecz, którego klinga ociekała zieloną cieczą, taką samą, jaka kapłała z zakrzywionych zębów gada. W istocie, jego oręż zatruto jadem żmii, którego zdobycie w rojących się od dzikich bestii bagnach Zingary jest tematem na osobną opowieść.

Poruszając się czujnie na czubkach palców, z lekko ugiętymi w kolanach nogami Shevatas gotów był w każdej chwili do ucieczki lub uniku. Musiał jednak użyć do całej swej zręczności, by uniknąć błyskawicznego ciosu śmiertelnych zębów. Pomimo nieprawdopodobnego refleksu i niebywałej zwinności tylko przypadek uratował Zamoranina od śmierci. Natychmiastowy atak węża udaremnił plan Shevatas, zamierzającego uskoczyć w bok i uderzeniem miecza odciąć głowę gadowi. Ledwo zastawił się mieczem, gdy gad uderzył na niego jak grom. Złodziej wbrew własnej woli zamknął oczy i krzyknął ze strachu. Niesamowita siła wytrąciła mu broń z dłoni, po czym usłyszał przerażający syk i łomot.

Zaskoczony faktem, że żyje, Shevatas otworzył oczy i ujrzał skręcającego się i zwijającego na posadzce potwora, z pyskiem przebitym mieczem. Ślepym trafem gad nadział się na nastawioną klingę. W chwilę później lśniące, lekko opalizujące zwoje przestały się wić i zaczęły konwulsyjnie drgać. Trucizna na mieczu zadziałała.

Ostrożnie przekroczył zwinięte szczątki i pchnął drzwi, które tym razem otwarły się w bok, odsłaniając wewnątrz kopuły. Shevatas mimowolnie krzyknął. Zamiast spodziewanych nieprzenikniętych ciemności zobaczył wewnątrz zalane szkarłatnym światłem, pulsującym i drgającym w sposób trudny do zniesienia przez człowieka. Blask dochodził z wielkiego czerwonego klejnotu, umieszczonego wysoko pod łukowym sklepieniem.

Mimo iż Zamoranin obyty był z widokiem zgromadzonych bogactw, rozdziawił usta ze zdziwienia,

gdy ujrzał stopy niedbale usypanych klejnotów — kopce diamentów, szafirów, rubinów, opali, szmaragdów i turkusów. Sterty jaspisu, agatu i lazurytu, piramidy sztab złota i srebra. Miecze wysadzane klejnotami w złotych pochwach, złocone hełmy bojowe, pancerze ze srebrnych łusek, zbroje noszone przez królów—wojowników sprzed trzech tysięcy lat, rżnięte ze szlachetnych kamieni puchary, pozłacane czaszki z księżycowymi kamieniami zamiast oczu, naszyjniki z ludzkich zębów. Całą posadzkę zalegała wielocalowa warstwa złotego piasku, który świecił i lśnił milionami błysków w szkarłatnej poświacie. Złodziej trafił do czarodziejskiej krainy nieprzebranego bogactwa, tratując nogami miliony złotych gwiazd.

Jednak nie tracił wzroku ze stojącego wśród tych wszystkich kosztowności kryształowego podium, na którym powinny spoczywać spróchniałe kości czarnoksiężnika, rozsypujące się w miarę upływu stuleci w proch. Shevatas patrzył, a krew powoli opuszczała jego śniadą twarz zastygając w żyłach. Dreszcz targnął jego plecami, a usta rozwarły się w niemym krzyku. W końcu z jego gardła wyrwał się przeraźliwy wrzask, który odbił się stłumionym echem od kopuły grobowca. Po chwili w tajemniczych ruinach Kutchemesu królowała odwieczna cisza.

Wśród mieszkańców hyboriańskich miast i zielonych równin krążyły tajemnicze plotki. Podróżowały z karawanami, z długimi rzędami brnących przez piaski wielbłądów, poganianych przez smukłych sokolookich mężczyzn w białych kaftanach. Przekazywali je sobie pasterze, mieszkańcy namiotów i niskich kamiennych budynków w miastach, których królowie o kręconych i kruczoczarnych brodach oddawali cześć dziwnym, spasionym, brzuchatym bóstwom. Wieść przemknęła przez górskie pasma, gdzie naczelnicy pobierali myto drogowe od wędrowców. Dotarła do żyznych wyżyn, gdzie okazałe miasta wznosiły się nad błękitnymi rzekami i jeziorami. Rozchodziła się szerokimi białymi drogami, wypełnionymi oślimi zaprzęgami, ryczącym bydłem, kupcami podróżującymi w interesach, wojownikami, łucznikami i kapłanami. Plotki docierały z pustyni położonej na południe od wyżyny Koth i na wschód od mrocznej Stygii.

Pomiędzy narodami pojawił się nowy prorok.

Mówiono o walkach plemiennych, o sępach gromadzących się na południu, o straszliwym wodzu, który prowadzi szybko rosnące w siłę pustynne szczepy do zwycięstwa. Zawsze zagrażający swym sąsiadom Stygijczycy nie mieli z tym nic wspólnego. Sami zbierali wojska u wschodniej granicy, a ich magowie rzucali zaklęcia hamujące czary czynione przez tajemniczego czarnoksiężnika z pustyni — zwanego Natohk, to znaczy zasłonięty, ponieważ nigdy nie ukazał swej twarzy.

Fala najeźdźców parła nieustannie na północ. Czarnobrodzi królowie zginęli na ołtarzach swych spasionych bożków, a ulice ich kamiennych miast spływały krwią. Mówiono, że Natohk i jego sojusznicy zamierzają opanować wyżyny Koth.

Najazdy koczowniczych plemion nie były rzeczą niezwykłą, jednak ostatnie wydarzenia zapowiadały coś innego niż śmiały napad. Wieść niosła, że Natohk podporządkował sobie ponad trzydzieści pustynnych plemion i piętnaście miast oraz że przyłączył się do niego zrewoltowany stygijski książę. To ostatnie nadawało tym wszystkim wydarzeniom charakter prawdziwej wojny.

Jak zawsze — większość hyborian lekceważyła narastające zagrożenie. Jednak w Khoraji —

małym państwie założonym na terenach wyszarpanych Shemowi przez kothyjskich awanturników, nie ignorowano tych niepokojących sygnałów. Leżące na południowy—wschód od Koth państwo przyjęłoby główne uderzenie ewentualnego najazdu. Tymczasem jego młody król był więziony przez podstępного władcę Ophiru, który nie zdecydował jeszcze, czy uwolni go po otrzymaniu wielkiego okupu, czy też wyda go w ręce wroga — skąpego króla Koth, który co prawda nie obiecywał złota, ale proponował zawarcie korzystnego traktatu. Wobec tego faktu rządy w zagrożonym królestwie sprawowała młoda księżniczka Jasmela, siostra króla. Była dumną spadkobierczynią królewskiego rodu, a jej urodę opiewali trubadurzy zachodnich krajów.

Lecz teraz jej duma opuściła ją.

W komnacie o sferycznym sklepieniu z lazurytu, o marmurowej posadzce zasłanej cennymi futrami i o ścianach bogato zdobionych złotymi fryzami stało wielkie łoże, wokół którego na jedwabnych otomanach spało dziesięć dworek — młodych arystrotek z bogatych rodów. Tylko królowa Jasmela nie zajmowała swego łoża. Leżała naga na marmurowej posadzce, jak najędzniejsza ze służących, krzyżując ręce i potrząsając głową tak, że grzywa czarnych jak krucze skrzydła włosów spadała jej na białe ramiona. Leżała i zwijała się z przerażenia, które mroziło jej krew i zasłoniło mgłą oczy. Jej włosy stały dęba, a ciało pokryło się gęsią skórką.

Nad nią, w najciemniejszym miejscu marmurowej komnaty, jawił się ogromny, bezkształtny cień. Nie był to stwór z krwi i kości, lecz czarna plama, mglisty wyziew potwornego koszmaru, który mógłby być wytworem półprzytomnego, zaspanego umysłu, gdyby nie dwa jarzące się żółto ślepia.

Co więcej, zjawa wydobywała z siebie dźwięki — ciche, nieludzkie syki, przypominające odgłosy wydawane przez żmiję, a nie dochodzące z ludzkich ust. Widok ten i dźwięki wprowadziły Jasmelę w paniczne przerażenie, tak potężne, że skręcała się i rzucała jak chłostana biczem, jakby poprzez fizyczny wysiłek chciała uciec od tego koszmaru.

— Jesteś mi przeznaczona, księżniczko — stwór mówił ze straszliwym triumfem w głosie. — Znalazłem cię i zapragnąłem zanim przebudziłem się z wiekowego snu, w który pograżyło mnie pradawne zaklęcie, dzięki któremu uszedłem przed moimi wrogami. Jestem duszą Natohka! Przyjrzyj mi się uważnie księżniczko! Niebawem ujrzysz mnie w cielesnej powłoce... i pokochasz!

Upiorny syk przeszedł w lubieżny śmiech. Jasmela zajęczała i oszalała z przerażenia tłukła pięściami w marmurową posadzkę.

— Teraz śpię w pałacu w Akbitanie — ciągnął dalej. — Tam leży moje ciało, ale jest to tylko pusta powłoka, z której na krótką chwilę uleciał duch. Gdybyś spojrzała z okien mojego pałacu, pojęłabyś bezcelowość wszelkiego oporu. Oświetlona księżycem pustynia wygląda jak ogród, w którym rozkwitły róże ognisk tysięcy wojowników. Jak fala nabierająca siły zaleje ziemię mych odwiecznych wrogów. Z czaszek ich królów każę zrobić kielichy, a ich dzieci i kobiety oddam w niewolę moim niewolnikom. Przez lata snu moja moc powiększyła się... Ty będziesz moją panią księżniczko! Nauczę cię przedwiecznej, zapomnianej sztuki miłości. Razem...

Słuchając obrzydliwych słów, padających z ciemnego naroża komnaty Jasmela wiała się i skręcała, jakby w jej delikatne, nagie ciało trafiały katowskie razy.

— Pamiętaj! — wyszeptała zjawa. — Nie minie kilka dni, a przyjdę po ciebie!

Przyciskając twarz do posadzki i zatykając uszy, Jasmela nie była pewna, ale zdało się jej, że dotarł do niej jakby łopot skrzydeł nietoperza. Po chwili, spojrzawszy z lękiem w górę, zobaczyła tylko księżyc, który świecił w okno i srebrnymi strzałami swych promieni przeszywał miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą czaiła się zjawa. Cała drżąc, księżniczka podniosła się i z trudem dotarła do satynowego posłania, na które padła szlochając spazmatycznie. Jedna ze śpiących dwerek obudziła się, ziewnęła, przeciągając smukłe ramiona i zamrugła. Natychmiast znalazła się przy płaczącej Jasmeli i objęła jej wiotką kibić.

— Czy to był...? — wykrztusiła z szeroko otwartymi, przestraszonymi oczyma.

Jasmela przycisnęła się do niej gwałtownie.

— Och! Vateeso, znów męczył mnie ten koszmar! Widziałam... Widziałam to! To mówiło do mnie! Powiedziało mi swoje imię! Zaraz... Natohk! To Natohk! Nie, to nie był zły sen. To unosiło się nade mną, a wy spałyście jak zabite. Co ja mam robić?!

Vateesa bawiła się w zamyśleniu ciężką, złotą bransoletą, założoną na smukłym nadgarstku.

— Pani — powiedziała. — To jasne, że żadna ludzka siła nie jest w mocy, aby ci pomóc, a amulet, który dali ci kapłani Isztar jest nieprzydatny. Powinnaś poradzić się zapomnianej wyroczeni Mitry.

Jasmela wzdrygnęła się, zapominając o przerażeniu. Wczorajsi bogowie byli teraz demonami. Kothyjczycy już dawno przestali czcić Mitrę, zapomnieli o tym najpopularniejszym wśród hyboriańskich nacji bogu. Jasmela przypuszczała, że skoro jego kult jest tak stary, to sam bóg musi być przerażający. Czczyciele Isztar lękali się swej bogini, podobnie jak i większość wyznawców innych bogów kothyjskich. Kultura i religie Koth uległy wpływom shemickim i stygijskim. Proste wierzenia Hyborian zostały w dużym stopniu zamienione na wyrafinowane, bezwzględne i rozkochane w przepychu religie wschodu.

— Czy Mitra mi pomoże? — zapytała niedowierzająco Jasmela, chwytając Vateesę za rękę. — Tak długo czcimy Isztar...

— Na pewno pomoże! — zapewniła Vateesa, będąca córką kapłana z Ophiru, który uciekając przed wrogami politycznymi schronił się w Khoraji. — Idź do świątyni, pani! Ja pójdę z tobą.

— Pójdę! — Jasmela podniosła się i nie pozwoliła, aby dworka ubrała ją. — Nie uchodzi, żebym szła do świątyni ubrana w jedwabie. Pójdę naga, na klęczkach, tak jak błagalnica. W przeciwnym razie Mitra uzna, że brak mi pokory.

— Bzdura! — Vateesa nie szanowała zbytnio obyczajów związanych z kultem Isztar, uważając ją za fałszywe bóstwo. — Mitra chce, żeby ludzie stali przed nim wyprostowani, a nie czołgali się na brzuchach jak robaki i nie pragnie krwi zwierząt na swoich ołtarzach.

Tak pouczona, Jasmela pozwoliła ubrać siebie w jedwabną koszulę bez rękawów, na którą

nałożyła luźną tunikę i przepasała się szeroką, atłasową szarfą. Na małe stopy łożyła satynowe pantofelki, a Vateesa zręcznymi ruchami różowych palców ułożyła jej czarne, falujące włosy. Potem księżniczka stanęła za dworką, która odsunęła na bok gruby, tkany złoty nicią gobelin i odryglowała ukryte za nim drzwi. Weszły do wąskiego i krętego korytarza, którym szybko dotarły do następnych drzwi i szerokiej sieni. Stał tam strażnik w połączanym hełmie, srebrnym napierśniku i ozdobionych złotem nagolennikach. Na ramieniu jego spoczywał na długim trzonie ciężki topór bojowy.

Jasmela uciszyła gestem okrzyk jego zdumienia. Strażnik zaprezentował im broń i stanął nieruchomo jak posąg z brązu obok drzwi. Dziewczyny przeszły przez sień, której ciemne kąty bezskutecznie próbowały oświetlić pochodnie tkwiące w żelaznych uchwytach. Jasmela z niepokojem patrzyła na cienie panujące w kątach. Trzy piętra niżej stanęły przed wejściem do wąskiego korytarza. Jego łukowo sklepiony strop wysadzany był klejnotami, podłogę stanowiły płyty z kryształu, a ściany pokrywał złoty fryz.

Trzymając się za ręce, poszły tym korytarzem i wkrótce zatrzymały się przed szerokimi, złożonymi podwojami.

Vateesa pchnęła wrota, które rozwarły się, ukazując wejście do dawno zapomnianego chramu. Świątynię odwiedzali nieliczni wyznawcy Mitry i królewscy goście, przybywający na dwór króla Khoraji. Jasmela nie była w niej nigdy wcześniej, mimo że urodziła się w pałacu. Skromna i pozbawiona ozdób w porównaniu z pełnymi przepychu świątyniami Isztar, ta była urządzona z prostotą i godnością właściwą religii Mitry.

Ściany, posadzka i wysoko sklepiony sufit wykonane były ze zwykłego białego marmuru, jedyną ozdobą ścian był cienki złoty fryz. Na ołtarzu z czystego zielonego nefrytu, niesplamionego krwią ofiar stał piedestał, na którym spoczywał posąg wyobrażający boga. Jasmela z lękiem patrzyła na potężne bary, jasną twarz o szeroko —Otwartych oczach, brodę patriarchy i gęste włosy przytrzymywane na skroniach przez wąską opaskę. Księżniczka była nieświadoma tego, że patrzy na sztukę w najczystszej postaci — dzieło niezwykle subtelnej rasy, nieskrępowanej konwencjonalnym symbolizmem.

Zapomniawszy o pouczeniu Vateesy, padła na kolana, a potem na posadzkę. Dworka uczyniła zresztą tak samo, gdyż widok bóstwa wywarł na niej duże wrażenie. Nie mogła się jednak powstrzymać, by nie szepnąć księżniczce do ucha:

— To tylko symbol boga. Nikt nie wie, jak naprawdę wygląda Mitra. Ta rzeźba pokazuje go w idealnej ludzkiej postaci, tak bliskiej doskonałości, jak tylko można sobie wyobrazić. On nie mieszka w martwym kamieniu, tak jak mówią o swojej bogini kapłani Isztar. Mitra jest wszędzie, nad nami i wokół nas. Śpi wiecznym snem pośród gwiazd, ale widzi i słyszy. Odezwij się do niego.

— Co mam powiedzieć? — wyszeptała sparaliżowana ze strachu Jasmela.

— Mitra zna twoje myśli, zanim je wypowiesz... — urwała Vateesa.

Obie dziewczyny drgnęły gwałtownie, słysząc głęboki, spokojny głos. Niskie, podobne do uderzeń dzwonu dźwięki mogły dochodzić z ust posągu lub z każdego innego miejsca w świątyni. Powtórnie

tej nocy Jasmela zadrżała, słysząc przemawiający do niej bezcielesny głos. Jednak tym razem nie spowodował tego strach czy odraza, nic nie mów, córko — przemówił głos przypominający melodyjny szum fal, nieustannie zalewających złote plaże. — Wiem, z czym przysłaś. Jest tylko jeden sposób na ocalenie twojego królestwa, a ratując je uratujesz cały świat od żmii, która wypełzła z wiekuistych ciemności. Wyjdź dziś w pojedynkę na ulice miasta i złóż los królestwa w ręce pierwszego napotkanego człowieka.

Głos zamilkł i obie dziewczyny spojrzały na siebie. Po chwili podniosły się i poszły z powrotem, milcząc do chwili, gdy znalazły się w komnacie Jaśnieli. Księżniczka spojrzała poprzez zakratowane złotymi prętami okno. Na niebie świecił blado księżyc. Było już sporo po północy. W ogrodach i pałacach Khoraji umilkły odgłosy zabaw. Miasto było pogrążone we śnie, a pochodnie migoczące w ogrodach, na ulicach i w oknach uśpionych domów zdawały się być lustrzanym odbiciem gwiazd.

— Co uczynisz pani? — spytała roztrzęsiona Vateesa.

— Podaj mi płaszcz — zdecydowała Jasmela.

— Sama o tej porze na ulicy?!

— Mitra przemówił — odpowiedziała księżniczka. — Może to był głos boga, a może ukrytego gdzieś kapłana. Nieistotne. Pójdę!

Owinięta obszernym jedwabnym płaszczem i z założonym aksamitnym fezem, z którego spływał przezroczysty welon, przeszła szybko korytarzami i stanęła przed bramą z brązu, przy której uzbrojeni we włócznie wartownicy zdumieli się na jej widok. To skrzydło pałacu przylegało bezpośrednio do ulicy, zaś w pozostałych miejscach pałac otaczały wspaniałe ogrody, chronione wysokim murem. Jasmela wyszła na ulicę oświetloną regularnie rozmieszczonymi pochodniami.

Zawahała się, jednak zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą bramę, zanim zdążyła opuścić ją odwaga. Zadrżała lekko, widząc cichą i pustą ulicę. Będąc córką szlacheckiego rodu nigdy jeszcze nie wyszła sama poza mury pałacu. Zebrawszy całą odwagę, ruszyła szybko ulicą. Jej stopy w satynowych cizmach stąpały cicho po trotuarze, ale nawet ten cichy odgłos sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Była pewna, że jej kroki rozbrzmiewają w całym mieście, budząc obdarte, szczurookie postacie, kryjące się w brudnych i ciemnych zaułkach. Każdy cień wydawał się być zaczajonym mordercą. Każda brama skrywała przemykające się ukradkiem stwory mroku.

Raptownie księżniczka drgnęła. Przed nią, na upiornie pustej ulicy, zamajaczyła jakaś postać. Jasmela natychmiast ukryła się w gęstym mroku, który teraz był dla niej niebiańskim azylem. Serce waliło jej jak opętane. Nadchodzący człowiek nie skradał się jak złodziej czy zalekniiony przechodzień. Podążał ciemną ulicą jak ktoś, kto nie musi — czy nie chce — ukrywać swojej obecności. Poruszał się swobodnie i zuchwale. Gdy mijał uchwyt z pochodnią, Jasmela miała okazję przyjrzeć mu się dokładniej. Był to wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w krótkiej kolczudze najemnika. Księżniczka opanowała roztrzęsienie i wyskoczyła z mroku szczelnie zakryta obszernym płaszczem.

— Ha! — krzyknął nieznajomy, błyskawicznie dobywając miecza.

Widząc, że ma przed sobą tylko bezbrodną dziewczynę zatrzymał rękę. Szybkim spojrzeniem sprawdził ulicę, nie ściągając jednocześnie dłoni z rękojeści długiego miecza, wystającego spod niedbale zarzuconego szkarłatnego płaszcza. Światło pochodni ledwo odbijało się od gładkiej stali hełmu i nagolenników. Niebieskie oczy nieznanego świeciły ponurym blaskiem. Jasmela natychmiast stwierdziła, że nie jest Kothyjczykiem. Gdy przemówił, pojęła, że nie pochodzi z hyboreańskiego plemienia. Miał na sobie strój kapitana najemników, a w tych wojskach można było znaleźć żołnierzy z wielu krajów, zarówno barbarzyńskich, jak i cywilizowanych. Posępne rysy sugerowały barbarzyńskie pochodzenie. Oczy cywilizowanego człowieka, choćby najbardziej nieokiełzanego i gwałtownego, nie płonęłyby tak intensywnym blaskiem. Jego oddech przesycony był zapachem wina, jednak on sam nie chwiał się ani nie jąkał.

— Wyrzucili cię na ulicę? — spytał po kothyjsku z barbarzyńskim akcentem, wyciągając rękę w kierunku dziewczyny. Jego palce zacisnęły się lekko na jej smukłym ramieniu, ale księżniczka czuła, że bez trudu mógłby ścisnąć je mocniej, łamiąc przy tym kości. — Akurat zamknęli ostatnią winiarnię... A niech Isztar przeklnie tych tchórzem podszytych reformatorów, którzy to wymyślili! „Lepiej żebyś po zachodzie słońca spał, niż całą noc chlał” — piękne hasło. Pewnie po to, żeby lepiej pracować i walczyć za swych panów! Spasione eunuchy! Kiedy służyłem jako najemnik w Korynthi, całą noc piliśmy i bawiliśmy się z dierlatkami, w dzień zaś walczyliśmy. Nikt się nie oszczędzał, a krew płynęła strumieniami. Co z tobą dziewczyno? Odsłoń swoje usteczka...

Zwinnym ruchem księżniczka wymknęła się jego rękom, nie dopuszczając do jego przestachu. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraża się, zadając z barbarzyńcą. Jeżeli przyzna się, kim jest, nieznanemu może ją wyśmiać i zostawić, a możliwe, że nawet poderżnie jej gardło. Barbarzyńcy czynili dziwne i niezrozumiałe rzeczy. Uciszyła narastające obawy.

— Nie tu... — roześmiała się. — Chodź ze mną.

— Dokąd — spytał niecierpliwie. W jego oczach pojawiła się podejrzliwość. — Chcesz mnie zwabić do jakiejś bandyckiej dziury?

— Nie, skądże. Przysięgam, że nie!

Jasmela z trudem uniknęła ręki sięgającej do kwefu.

— A niech cię diabli porwą! — warknął zirytowany. — Jesteś gorsza od hyrkańskich kobiet z ich przeklętymi woalami. No niech przynajmniej zobaczę, jakie masz kształty!

I nim zdołała temu przeszkodzić, zerwał z niej płaszcz i głośno zaklął przez zaciśnięte zęby. Stał nieruchomo, trzymając w ręku odzienie dziewczyny. Widok jej bogatych szat otrzeźwił go. Jego oczy stały się ponure.

— Kim ty jesteś, do pioruna? — mruknął. — Nie jesteś ulicznicą, chyba że twój „opiekun” obrobił królewski harem, żeby cię ubrać.

— To nieważne — Jasmela odważyła się położyć białe dłonie na osłoniętym kolczugą ramieniu. — Chodź ze mną.

Zastanowił się, po czym wzruszył mocarnymi ramionami. Przypuszczała, że wziął ją za bogatą arystokratkę szukającą przygód. Pozwolił jej nałożyć płaszcz i poszedł za nią. Idąc obok obserwowała go ukradkiem. Kolczuga nie kryła potężnych mięśni nieznanego, a każdy jego ruch zdradzał kocią zwinność i pierwotną, nieokiełzaną siłę. W porównaniu z lekkodusznymi dworakami, do których była przyzwyczajona, był obcy jak nieprzebyta dżungla. Jasmela obawiała się go i wmawiała sobie, że gardzi brutalną siłą. Pomimo tego czuła niewytłumaczalny, niepokojący pociąg do tego barbarzyńcy, tak jakby jego pojawienie się potrafiło jakaś schowaną strunę jej kobiecości. Wciąż czuła dotyk jego dłoni na swoim ramieniu i to wspomnienie dziwnie pobudziło jej duszę. Wielu mężów klęczało przed Jasmela, ten jednak nic klęczał. Miała wrażenie, że prowadzi nieoswojonego tygrysa. Była przerażona i zafascynowana własnym strachem.

Stała przed bramą pałacu i pchnęła ją lekko. Uważnie obserwując towarzysza, nie znalazła na jego twarzy choćby odrobiny niepokoju.

— Pałac, taa... — mrucał. — Jesteś dworką?

Jasmela stwierdziła, że poczuła dziwną zazdrość na myśl o tym, że któraś z jej dworek mogła kiedyś wprowadzić tego mężczyznę. Strażnicy udali, że nie widzą, kiedy księżniczka przechodziła obok nich z nieznanym człowiekiem, za to barbarzyńca rzucał na nich czujne spojrzenia, niczym wilk zbliżający się do obcego stada. Jasmela poprowadziła go wąskim korytarzem wprost do swojej komnaty, gdzie patrząc na wspaniałe gobeliny, stanął w cichym podziwieniu do momentu, gdy dojrzał stojący na hebanowym stoliku kryształowy dzban u winem. Z westchnieniem ulgi podniósł go do ust. Nagle z sąsiedniej komnaty wbiegła zdyszana Vateesa.

— Księżniczko...!

— Księżniczko?!

Kryształowy dzban roztrzaskał się o podłogę. Błyskawicznym ruchem, zbyt szybkim, by uchwycić go okiem, wojownik zerwał kwef z twarzy Jasmeli. Odskokzył z cichym przekleństwem i w jego ręce błysnęła szeroka klinga z błękitnej stali. Oczy barbarzyńcy zaiskrzyły się jak u tygrysa schwytanego w pułapkę. Była to chwila pełnego napięcia oczekiwania. Ucichła z przerażenia Vateesa osunęła się na posadzkę, ale Jasmela dzielnie stanęła naprzeciw barbarzyńcy. Wiedziała, że jej życie wisi na włosku. Opętany wściekłością podejrzliwy wojownik mógł w każdej chwili zabić. Mimo to doznała dziwnej ulgi, gdy ujrzała jego błyskawiczną reakcję.

— Nie obawiaj się. Jestem księżniczką, ale nie masz powodu do niepokoju.

— Po co mnie tu przywiodłaś? — wycedził przez zęby, sprawdzając ognistym wzrokiem pomieszczenie. — O co tu chodzi?

— Nic ci nie zagraża — rzekła. — Przyprowadziłam cię tutaj, ponieważ możesz mi pomóc. Poradziłam się bogów. Wyrocznia Mitry nakazała mi wyjść na ulicę i poprosić o pomoc pierwszego spotkanego człowieka.

Tak... To było coś, co mógł zrozumieć. Barbarzyńcy też radzą się swych wyroczni. Opuścił miecz,

jednak nie schował go do pochwy.

— Jeżeli faktycznie jesteś Jasmela, to potrzebujesz szybkiej pomocy — mruknął.

— Twoje królestwo, to jeden wielki bałagan. Tylko jak ja ci mogę pomóc? Jeżeli chodzi o czyjeś gardło...

— Usiądź! Vateeso, przynieś mu wina.

Był posłuszny jej nakazowi, lecz spostrzegła, że siadł plecami do ściany, tak by widzieć całą komnatę. Miecz położył na kolanach. Księżniczka patrzyła urzeczona na tę szeroką, obnażoną klingę, w której widziała zamglone sceny walk i rzezi. Wątpiła, czy uniosłaby ten miecz, będąc jednocześnie pewna, że barbarzyńca bez wysiłku podniesie go jedną ręką. Dopiero teraz zauważyła jego podobieństwo do Hyborian. Szczupła, poznaczona bliznami twarz wskazywała na skłonności do melancholii i choć nie było na niej śladów występku czy zła, to jego gorejące, niebieskie oczy nadawały jej posępny wyraz. Niskie, szerokie czoło otaczała kruczoczarna, gęsta grzywa prosto ściętych włosów.

— Kim jesteś? — spytała nagle księżniczka.

— Conan; jestem kapitanem zacieężnej piechoty — odpowiedział, wychylając jednym ruchem kielich i ponownie go napełniając. — Urodziłem się w Cymmerii.

Ta nazwa niewiele jej mówiła. Domyślała się, że to dzika, posępna i górzysta kraina położona daleko na północy, za najdalszymi hyboriańskimi osiedlami, zamieszкана przez ponurych i gwałtownych ludzi. Jeszcze nigdy nikogo z nich nie spotkała. Podpierając brodę na smukłych dłoniach spozjrzała uważnie na cudzoziemca swymi czarnymi oczami, które zniewoliły wielu mężczyzn.

— Conanie z Cymmerii, stwierdziłeś, że potrzebuję pomocy. Dlaczego?

— No — odpowiedział — przecież to widać. Po pierwsze: twój brat, król, jest w ophirskiej niewoli. Po drugie: Koth spiskuje, by podbić twoje państwo. Po trzecie: zagadkowy czarnoksiężnik sieje śmierć i zniszczenie w Shemie. A co najgorsze, coraz więcej twoich żołnierzy dezerceruje.

Jasmela nie odpowiedziała natychmiast. Takie bezpośrednie postawienie sprawy, bez owijania w bawełnę, było dla niej czymś nowym.

— A dlaczego moi żołnierze dezercerują? — spytała w końcu.

— Jedni dają się przekupić Kothyjczykom — odparł, z rozkoszą opróżniając kielich.

— Inni sądzą, że Khoraja jako samodzielne państwo jest już stracona. Poza tym wielu złąkło się pogłosek o zbliżaniu się tego psa Nathoka.

— Czy zacieężni pozostaną mi wierni? — spytała z niepokojem.

— Tak długo, jak długo będziesz nam płacić — odpowiedział szczerze. — Twoja polityka nas nie interesuje. Możesz polegać na Amalryku, naszym dowódcy, ale reszta to prości żołnierze, którzy lubią pieniądze. Ludzie mówią, że jeżeli zapłacisz okup za brata, to nie będziesz miała czym opłacić wojska. W takim wypadku możemy przejść na służbę u króla Koth, choć osobiście nie przepadam za tym zgrzybiałym kutwą. Być może splądrujemy stolicę. W czasie wojny domowej zawsze znajdzie się coś do złupienia.

— Dlaczego nie przejdziesz na stronę Nathoka?

— A czym to mógłby nam zapłacić? — zachnął się Conan. — Spasionymi bożkami z brązu, które zrabował w shemickich miastach? Jeżeli chodzi o walkę z Nathokiem, to możesz na nas polegać.

— Czy twoi żołnierze pójdą za tobą — spytała niespodzianie księżniczka.

— O co ci chodzi?

— Chcę — odparła z namysłem — ciebie uczynić dowódcą wszystkich wojsk Khoraji!

Cymmerianin znieruchomiał z pucharem dotykającym szeroko uśmiechniętych ust. W jego oczach pojawił się dziwny blask.

— Dowódcą? Na Croma! Tylko co na to powiedzą twoi wyperfumowani ważniacy?

— Będą posłuszni! — Jasmela klasnęła w dłonie, przywołując niewolnika, który wszedł gnąc się w ukłonach. — Natychmiast sprowadź tu księcia Thespidesa, radcę Taurusa, lorda Amalryka i agę Shuprasa.

— Ufam Mitrze — powiedziała, oceniając spojrzeniem Cymmerianina, który zachłannie pożerał mięsiwo postawione przed nim przez złężnioną Vateesę. — Dużo walczyłeś?

— Urodziłem się na polu bitwy — mówił, odgryzając białymi zębami potężny kawał mięsa. — Pierwsze dźwięki, jakie usłyszałem, były krzykami mordowanych i szczękiem oręża. Walczyłem w górach i na równinach, w puszczech i na pustyni...

— Czy potrafisz dowodzić armią i kierować walką?

— No... mogę spróbować — powiedział z niezmaconym spokojem. — To prawie to samo, co walka wręcz — tylko na większą skalę. — Przełamać obronę, a potem ciąć po karkach! Albo on, albo ty!

Niewolnik powrócił, zapowiadając przybycie wezwanych mężczyzn. Jasmela przeszła do sąsiedniej komnaty, zaciągając za sobą aksamitną kotarę. Dostojnicy przyklękli, wyraźnie zaskoczeni tak późnym wezwaniem.

— Przywołałam was, aby oznajmić swoją decyzję — rzekła księżniczka. — Królestwo jest w niebezpieczeństwie...

— To prawda, moja pani, prawda — wtrącił ksiązę Thespides, wysoki mężczyzna o trefionych i pachnących lokach. Jedną białą dłonią gładził zadbanego wąsa, a w drugiej trzymał aksamitny kapelusz z karmazynowym piórem, przypiętym doń złotą szpilą. Nosił satynowe ciżmy o zawiniętych noskach i aksamitny kubrak wyszywany złotem. Zachowywał się nieco egzaltowanie, niemniej pod jedwabnym strojem kryły się stalowe mięśnie. — To dobrze, że zgadzasz się dać Ophirowi większy okup za uwolnienie twego brata.

— Całkowicie się z tym nie zgadzam — przerwał mu Taurus, wiekowy doradca w podbitej gronostajami todze. Twarz miał pooraną troskami, których nie brakowało mu w czasie długich lat służby na dworze. — Zaproponowaliśmy im tyle, że po zapłaceniu okupu skarbiec będzie pusty. Jeżeli teraz zaoferujemy więcej, to tylko jeszcze bardziej zwiększymy pazerność Ophiru. Księżniczko! Powtarzam to, co mówiłem wcześniej: Ophir niczego nie uczyni, dopóki nie dojdzie do konfrontacji z Nathokiem. Jeśli przegramy, to wyda króla Khossusa Kothyjczykom, natomiast w razie zwycięstwa wypuści go po zapłaceniu okupu.

— A tymczasem — wtrącił Amalryk — codziennie dezertują żołnierze wojsk królewskich, a najemnicy niecierpliwiają się, nie wiedząc, dlaczego odwlekamy wymarsz.

— Dowódca zaciężnych był potężnie zbudowanym Nemedianinem o lwiej grzywie jasnych włosów. — Jeżeli mamy coś zrobić, to musimy się spieszyć..

— Jutro pomaszerujemy na południe — rzekła Jasmela. — A oto człowiek, który poprowadzi nasze wojska!

Jednym pociągnięciem odsunęła aksamitną kotarę i dramatycznym gestem wskazała Cymmerianina. Chyba nie była to najszcześniejsza chwila do prezentacji. Conan rozwalony w fotelu obżerał się ogromnym, podtrzymywanym oburącz wołowym udźcem, trzymając nogi na hebanowym stole. Spojrzał beznamiętnie na oniemiałych dworaków i z nieukrywaniem zapałem opychał się dalej.

— Chroń nas Mitro! — wykrzyknął Amalryk. — To przecież Conan Barbarzyńca, najgorszy z moich zabijaków!. Już dawno bym go powiesił, gdyby nie był najlepszym żołnierzem, jaki kiedykolwiek nosił kolczugę.

— Wasza wysokość raczy żartować! — podniósł głos Thespides, a jego arystokratyczna twarz pociemniała z gniewu. — Ten człowiek to dzikus bez obycia i wykształcenia! To hańba dla szlachcica służyć pod jego rozkazami! Ja...

— Ksiązę — przerwała mu Jasmela — nosisz na piersi moją rękawiczkę. — Oddaj mi ją i odejdz.

— Odejść — krzyknął w zdumieniu. — Dokąd?

— Do Koth lub do diabła! — odrzekła. — Jeżeli nie chcesz mi służyć tak, jak ja chcę, nie będziesz służył w ogóle!

— Księżniczko, źle mnie zrozumiałaś — powiedział w ukłonie, czując się głęboko dotknięty. — Nie opuszczę cię. Dla ciebie, moja pani, jestem gotów oddać się nawet pod rozkazy tego dzikusa.

— A ty, mój lordzie?

Amalryk zaklął cicho, po czym uśmiechnął się. Jako prawdziwy poszukiwacz fortuny nie dziwił się kaprysom losu, nawet najdziwniejszym.

— Będę służył pod jego komendą. Zawsze to powtarzam: żyć krótko, ale wesoło, a z Conanem Rzeźnikiem jako wodzem zapewnione mamy jedno i drugie. Mitro! Jeżeli ten łobuz kiedykolwiek dowodził czymś większym niż kompania, to zjem własną zbroję!

— A ty? — księżniczka zwróciła się do agi Shuprasa.

Ten z rezygnacją wstrząsnął ramionami. Był typowym przedstawicielem ludu żyjącego przy południowej granicy Koth. Wysoki i chudy, o orlej twarzy, której rysy były ostrzejsze od obliczy rodaków żyjących na pustyni. — Wola Isztar księżniczko — odpowiedział z wrodzonym fatalizmem.

— Zostańcie jeszcze chwilę — poleciła im Jasmela, znikając za kotarą i kłaśnięciem przywołując niewolników. Thespides ze złości gniótł swój kapelusz, Taurus mruczał coś pod nosem, a Amalryk chodził tam i z powrotem, tarmosząc żółtą brodę i szczerząc zęby jak wygłodniały lew.

Niewolnicy przynieśli zbroję, a Conan zdjął stalową kolczugę. Następnie założył hełm, obojczyk, naramienniki i całą resztę. Gdy Jasmela ponownie odsunęła kotarę, oczom zebranych ukazała się zakuta w stal postać. Uniesiona przyłbica odsłaniała smagłą ocienioną pawim czubem twarz. W tym pancerzu barbarzyńca wyglądał naprawdę imponująco, co nawet Thespides musiał niechętnie przyznać. Niedokończony żart zamarł na ustach Amalryka.

— Na Mitrę! — powiedział w końcu. — Nigdy nie spodziewałem się ujrzeć cię w pełnej zbroi Conanie, ale nie masz się czego wstydzić! Przysięgam na moje kości, że widziałem królów, którzy nosili swoje zbroje z mniejszą godnością!

Conan milczał. Jakaś niewyraźna myśl zaświtała mu w głowie, coś na kształt przeczucia. Po latach, kiedy marzenie stało się rzeczywistością, często przypominał sobie słowa Amalryka.

Wczesnym rankiem ulice Khoraji zapełniły się ludźmi, którzy przyszli popatrzeć na wojska wychodzące przez południową bramę. Nareszcie armia wyruszyła w pole. W bogato zdobionych, błyszczących zbrojach z kiwającymi się pióropuszcami, wieńczącymi czerwone hełmy jechali pancerni. Rumaki ich ozdobione jedwabiami, barwioną skórą i złotą uprzężą stąpały dumnie, niosąc swoich panów. Promienie porannego słońca lśniły na grotach lanc, wznoszących się niczym las nad kolumnami jezdnych, a ich proporce powiewały wesoło na wietrze. Każdy szlachcic posiadał dar damy swego serca: rękawiczkę, szarfę lub różę przyczepioną do hełmu lub pasa. Był to kwiat rycerstwa Khoraji. Pięciuset mężów dowodzonych przez księcia Thespidesa, który, jak mówiono, ubiegał się o rękę księżniczki Jasmeli.

Za nimi szła lekka jazda, składająca się z typowych górali, chudych ludzi o ostrych rysach. Na głowach mieli stalowe misiurki. Jechali na smukłych, góralskich koniach, a ich główną bronią były piekielne shemickie łuki, z których można wypuścić strzałę na pięćset kroków. Jezdnych tych było prawie pięć tysięcy, a rozkazywał im ponury Shupras.

Dalej maszerowali oszczepnicy, nieliczni, gdyż tak jak w każdym państwie hyboriańskim i tu za zaszczytną uznawano służbę w jeździe. Oszczepnicy, podobnie jak rycerze, byli potomkami starych, kothyjskich rodów — młodzieńcy bez grosza, których nie było stać na kupno zbroi i konia. Ten oddział liczył pięciuset wojów.

Pochód zamykali zacieźni: tysiąc konnych i dwa tysiące oszczepników. Olbrzymie konie wydawały się równie dzikie jak ich jeźdźcy. Poruszały się dostojnie, bez narowów czy podskoków. Jeźdźcy, zawodowi mordercy, weterani wielu wojen stwarzali wokół siebie ponurą atmosferę śmierci i grozy. Ich tarcze pozbawione były herbów, a długie lance nie nosiły proporców. Chronieni byli przez stalowe kolczugi i hełmy na głowach. Każdy miał przy siodle topór lub maczugę i długi prosty miecz u pasa. Oszczepnicy uzbrojeni byli podobnie, tylko zamiast lanc mieli krótkie piki. Najemnicy byli mieszaniną różnych nacji. Hyperborejczycy — wysocy, chudzi i grubokościści, o gwałtownym temperamencie i ciężkiej wymowie. Jasnowłosi Gundermanii z gór na północnym zachodzie. Pyszałkowaci renegaci z Khoryntii. Smagli, czarnowłosi i zdradliwi Zamorianie, a także Aquilończycy z dalekiego zachodu. Jednak wszyscy oprócz Zingaran byli Hyborianami.

Na samym końcu szedł bogato przystrojony wielbłąd, poprzedzany przez na potężnym ogierze i eskortowany przez oddział doborowych żołnierzy. W palankinie, zamocowanym na grzbiecie, wielbłąd uniósł smukłą, odzianą w jedwabie postać, na widok której oddani królewskiej dynastii mieszczanie podrzucili nakrycia głowy i wzniesli głośnie wiwaty.

Conan Cymmerianin, czując się trochę nieswojo w pełnej zbroi, z dezaprobatą patrzył na palankin i powiedział do jadącego obok Amalryka, który wyglądał naprawdę imponująco w swoim złotym kirysie, złoconej kolczudze i hełmie zdobionym końskim ogonem:

— Księżniczka jedzie z nami? Jest zwinna, ale zbyt delikatna do walki. Będzie musiała zmienić te zwiewne szaty.

Amalryk potarł wąs, by ukryć śmiech. Najwidoczniej Conan spodziewał się, że Jasmela przypasze miecz i weźmie udział w prawdziwej bitwie, tak jak to często czynią barbarzyńskie kobiety.

— Kobiety hyboriańskie nie walczą tak jak wasze — powiedział. — Jasmela jedzie z nami obserwować bitwę. Poza tym — dodał poprawiając się w siodle i ścisząc głos

— tak między nami mówiąc, wydaje mi się, że księżniczka boi się zostać w mieście. Lęka się czegoś...

— Buntu? Może trzeba było powiesić paru krzykaczy przed wymarszem...

— Nie. Jedna z dworek mówiła... bredziła, że coś pojawiała się nocą w pałacu i doprowadzało Jasmelę niemal do szaleństwa. Zapewne były to jakieś diabelskie sztuczki Natohka. No cóż Conanie, nie walczymy ze zwykłym przeciwnikiem.

— Ale i tak — wymamrotał barbarzyńca — lepiej wyjść przeciwnikowi na spotkanie niż czekać.

Popatrzył na długi rząd jeźdźców i taborów, zebrał wodze w pokrytej stalą dłoni i odruchowo

wypowiedział zwyczajowe słowa najemników:

— Śmierć lub łup, bracia — naprzód!

Brama Khoraji zamknęła się za długimi kolumnami wojska i na blankach pojawiły się głowy ciekawskich. Mieszkańcy miasta doskonale wiedzieli, że od maszerującej armii zależy ich los. Jeżeli wojska poniosą klęskę, to strony historii Khoraji zostaną zapisane krwią, bowiem hordy nadciągające z południa nie znały litości.

Wojska maszerowały cały dzień przez łąki przecinane strumieniami, stopniowo wznosząc się ku górze. Przed nimi rozciągało się pasmo niskich wzgórz, sięgających nieprzerwaną linią ze wschodu na zachód. Tej nocy rozbili obóz na północnych stokach tych pagórków. Dzikoocy górale o zagiętych w dół nosach tuzinami przybywali, by sięść przy ogniskach i powtórzyć wiadomości docierające z głębi pustyni. W ich opowieściach imię Natohka przewijało się niczym żmija wśród poszycia. Na jego rozkazanie demony powietrza sprowadzały gromy, wichry i burze, a podziemne monstra wstrząsały z rykiem ziemią. On sam zsyłał z nieba ogień trawiący bramy warowni, a towarzyszyło im pięć tysięcy zbrojnych Stygijczyków w rydwanach, dowodzonych przez zbuntowanego księcia Kutamana.

Conan przysłuchiwał się temu beznamiętnie. Wojna była jego rzemiosłem. Jego życie było nieustanną walką, śmierć była jego towarzyszką od urodzenia. Kroczyła niestrudzenie u jego boku. Zaglądała mu przez ramię przy stoliku do gry, a jej kościste palce podawały mu puchary z winem. Jak zamaskowany i potworny cień stała obok, gdy kładł się spać. Nie zauważał jej tak samo, jak król nie zauważa podczaszego. Pewnego dnia poczuje uścisk jej kościstych palców na gardle i to będzie koniec. Teraz jednak jeszcze żyje.

Inni byli bardziej lękliwi. Obchodząc warty Conan zatrzymał się, gdy stanęła przed nim drobna, owinięta w luźny płaszcz postać.

— Księżniczko! Powinnaś być w swoim namiocie!

— Nie mogę zasnąć — w jej czarnych oczach pojawił się lęk. — Boję się Conanie.

— Obawiasz się kogoś z nas? — spytał chwytając za miecz.

— Nie — odparła drżąc. — Conanie, czy ty niczego się nie lękasz?

— Hmm — zastanowił się. — Owszem, boję się przekleństwa bogów.

Jasmela zadrżała.

— Na mnie chyba spadła taka klątwa. Upatrzył mnie sobie koszmarny potwór. Co noc pojawia się przy moim łożu, sącząc mi do ucha okropne rzeczy. Chce, abym królowała u jego boku. Boję się zasnąć. Boję się tego, że znów przyjdzie do mojego namiotu, tak samo jak przychodził do mojej komnaty w sypialni. Conanie, jesteś taki dzielny... Zostań przy mnie! Boję się!

Na moment przestała być księżniczką, a stała się tylko wystraszoną dziewczyną. Jej дума zniknęła

bez śladu pod wpływem przerażającego strachu, który kazał jej szukać oparcia u tego, kto wydał się jej najsilniejszy. Brutalna siła barbarzyńcy, która niegdyś była dla niej czymś odpychającym, teraz przyciągała ją.

Cymmerianin w odpowiedzi zdjął swój szkarłatny płaszcz i owinał nim dziewczynę. Zrobił to tak gwałtownym ruchem, jakby obce mu były jakiegokolwiek delikatne reakcje. Żelazna dłoń spoczęła przez chwilę na ramieniu Jasmeli, która znowu zadrżała, lecz tym razem nie ze strachu. Dotknięcie jego palców sprowokowało dziwny dreszcz, jakby w ten sposób barbarzyńca przekazał jej część swą niespożytej siły i żywotności.

— Połóż się tutaj — powiedział, wskazując odsłonięte z kamieni wolne miejsce przy ognisku.

Conan zdawał się nie widzieć niczego niewłaściwego w tym, że księżniczka ma leżeć na gołej ziemi, owinięta w żołnierski płaszcz. Jednak usłuchała go bez protestu. Usiadł w pobliżu, kładąc na kolanach obnażony miecz. Jego stalowa zbroja lśniła w blasku ognia i wyglądał jak granitowy posąg, utożsamiający pierwotną siłę. Nie statyczną lecz znieruchomiałą na chwilę w oczekiwaniu na znak do ataku. W migotliwym świetle twarz jego była jakby wykuta z czarnego granitu, twardszego niżli stal. W tej zamarłej twarzy tylko jasno płonące oczy tętniły swoim życiem. Cymmerianin nie tylko żył w dziczy, on sam był jej częścią, stanowiącą całość z nieposkromionymi siłami natury. W jego żyłach tętniła wilcza krew, pamięć przechowywała wspomnienie północnych pustkowi, a serce pulsowało melodią obozowych ognisk.

Pogrążona w myślach i marzeniach Jasmela niepostrzeżenie zapadła w sen, w cudownym poczuciu bezpieczeństwa. Nie umiałaby wyjaśnić dlaczego, ale była pewna, że tej nocy zjawa o płonących oczach nie pojawi się u jej posłania.

Zbudził ją szum ściszonych głosów. Otworzywszy oczy zobaczyła dogasające ognisko. Nadchodził świt. Conan nadal siedział na pobliskim gładzie; Jasmela dostrzegła metaliczny błysk jego długiej klingi. Obok barbarzyńcy przykucnął jakiś człowiek: w słabym świetle dogasającego ogniska zaspana księżniczka dojrzała haczykowaty nos, czarne, błyszczące oczy i biały turban. Mężczyzna mówił szybko po shemicku, tak że z tudem go rozumiała.

— Niech Bel pokręci mi palce! Mówię prawdę! Na Derketę Conanie, jestem księciem łgarzy, ale nie kłamię staremu kompanowi. Przysięgam na pamięć dni, które przeżyliśmy razem jako złodzieje w Zamorze, zanim jeszcze założyłeś kolczugę! Widziałem Natohka. Razem z innymi klęczałem przed nim, gdy wznosił modły do Seta. Jednak nie wsadziłem nosa w piach, tak jak pozostali. Jestem złodziejem z Shumiru i mam sokoli wzrok. Patrzyłem uważnie i widziałem, jak w pewnej chwili wiatr szarpnął jego zasłonę. Na mgnienie oka ukazała się jego twarz i zobaczyłem... zobaczyłem...! Na Bela, Conanie, mówię ci, widziałem! Krew zamarła we mnie i włosy na głowie stanęły mi dęba. Ten widok uderzył mnie jak rozżarzona pięść. Nie zaznałbym spokoju, gdybym się nie upewnił. Pojechałem do Kutchemesu. Brama kopuły z kości słoniowej była rozwarta, a w korytarzu leżała ogromna żmija przebita mieczem. W środku znalazłem ciało mężczyzny, tak skurczone i poskręcane, że z początku go nie poznałem. To był Shevatas z Zamory. Jedyne złodziej na świecie, którego uważałem za lepszego ode mnie. Skarb był nietknięty, a wokół trupa leżały kosztowności. I nic ponadto.

— Nie było kości...? — zaczął Conan.

— Niczego więcej! — gwałtownie przerwał Shemita. — Niczego! Tylko jeden trup!

Zapadło głębokie milczenie. Całkiem już przebudzona Jasmela trzęsa się z przerażenia.

— Skąd przybył Natohk? — usłyszała przenikliwy szept Shemity. — Z pustyni. Przybył nocą, gdy ciemności spowiły świat, a pośród gwiazd mknęły pędzone wiatrem czarne obłoki, którego wycie mieszało się z jękami upiorów na pustkowiu. Tej nocy wampiry krążyły po świecie, wiedźmy latały nago na miotłach, a mrok niósł wycie potępieńców. Przygalopował na czarnym wielbłądzie, gnając jak wichur. Otaczała go błękitna poświata, a ślady wielbłądzich kopyt płonęły na piasku jak ogień. Kiedy zsiadał przed świątynią Seta w oazie Aphaka, jego wierzchowiec skoczył w noc i zniknął. Rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgali, że rozwinął olbrzymie skrzydła i pomknął w chmury, zostawiając za sobą ognisty ślad. Nikt więcej nie widział tej poczwary, ale do namiotu Natohka co noc wślizguje się jakiś czarny, bezkształtny stwór i długo bełkocze w ciemności. Mówię ci Conanie, że Natohk to... Czekaj, pokażę ci, co zobaczyłem tego dnia pod Sushanem, gdy wiatr odsłonił mu twarz!

W ręce Shemity zabłysło coś żółtego i obaj mężczyźni pochylili się ku sobie, aby lepiej widzieć. Jasmela usłyszała jeszcze zdławiony krzyk Cymmerianina i nagle świat zawirował jej przed oczyma. Po raz pierwszy w życiu zemdląca.

Rozjaśniające się ze wschodu niebo dopiero zapowiadało nadchodzący świt, gdy armia podjęła marsz. Kilku górali przygalopowało na słaniających się koniach do obozu i przyniosło wieść, że pustynne watahy obozują przy studni Altaku. Oddziały khorajskie ruszyły pośpiesznie przez wzgórza, zostawiając w tyle tabory. Jasmela podążała z żołnierzami. W jej oczach krył się strach. Dręczący ją lęk spotęgował się od chwili, gdy ujrzała monetę, którą Shemita pokazał Conanowi. Był to jeden z tych potajemnie wytapianych przez wyznawców zwyrodniałego kultu Zugit pieniążków, przedstawiający twarz człowieka nieżyjącego od trzech tysięcy lat.

Droga wiała się wśród poszarpanych turni i stromych ścian wąskich dolin. Od czasu do czasu napotykali wioski z małymi chatami z kamienia pozlepianego błotem. Górale przyłączali się tłumnie do maszerujących wojsk tak, że zanim armia opuściła wzgórza szeregi jej powiększyły się o prawie trzy tysiące łuczników.

W końcu wyszli na równinę, z której roztaczał się wspaniały widok. Na południu wzgórza urywały się pionowymi ścianami, tworząc wyraźną granicę między kothyjskimi wyżynami a południową pustynią. Wznoszące się prawie jednolitą linią wzgórza zamykały wyżynę szerokim półkolem. Były nagie i puste. Zamieszkiwał je jedynie klan Zaheemi, którego obowiązkiem było strzec podążających tędy podróżnych. Za wzniesieniami leżała oaza Altaku i rozbite obozem wokół niej watahy Natohka.

Żołnierze khorajscy stanęli na Przełęczy Shamala, przez którą płynął z północy na południe strumień towarów wraz z karawanami. Przez nią maszerowały wojska Koth, Khoraji, Shemu, Thuranu i Stygii. W miejscu tym długiemu łańcuchowi wzgórz brakowało jednego ogniwa. Z prawej i z lewej strony wchodziły w pustynię rzędy niskich pagórków, których północne ściany tworzyły poszarpane urwiska. Tylko jeden jedyny pagórek miał łagodne zbocze — tędy wiodła droga. Z

wyglądu przypominało to wielką rękę wyciągniętą ku pustyni. Dwa rozchylone palce tworzyły zwężającą się dolinę, w której znajdowała się studnia, otoczona kamiennymi wieżami zamieszkałymi przez Zaheemi. Tam Conan zatrzymał się i zeskoczył z konia. Zdążył już zamienić ciężką zbroję na kolczugę, w której czuł się znacznie pewniej. Thespides ściągnął wodze i spytał:

— Dlaczego zatrzymałeś się?

— Tu na nich zaczekamy — odpowiedział Cymmerianin.

— Bardziej honorowo byłoby pojechać dalej i walczyć w otwartym polu — warknął książę.

— Mają zbyt wielką przewagę liczebną — odparł barbarzyńca — a poza tym tam nie ma wody. Rozbijemy obóz na wyżynie i...

— Ja i moi pancerni będziemy obozować w dolinie — przerwał ze złością Thespides.

— Jesteśmy awangardą armii i nie obawiamy się nędznych pustynnych robaków.

Conan wzruszył ramionami i rozzłoszczony szlachcic odjechał. Amalryk przerwał na chwilę wydawanie poleceń i spojrzał w ślad za zjeżdżającym zboczem oddziałem.

— Głupcy! Niedługo skończy im się woda w bukłakach i będą musieli znowu wjechać na górę, aby napoić konie.

— Niech robią, co chcą — powiedział Conan. — Trudno im pogodzić się z myślą, że jestem wodzem armii. Powiedz swoim psubratom, żeby ściągnęli zbroje i odpoczęli. Maszerowaliśmy długo i forsownie. Trzeba napoić konie i nakarmić ludzi.

Nie było potrzeby wysłać zwiadowców. Z góry wszystko było widać jak na dłoni. Rozciągająca się przed nimi pustynia była pozbawiona jakichkolwiek śladów życia, jedynie daleko na horyzoncie szybko przesuwały się gęste kłęby nisko wiszących chmur. Monotonię tego widoku zakłócał wznoszący się o kilka mil dalej gąszcz ruin — pozostałości jakiejś stygijskiej świątyni. Conan rozkazał łucznikom zejść z koni i zająć pozycję na panującej nad doliną grani. W tym czasie najemnicy i oszczepnicy khorajscy rozlokowali się przy studni. Za nimi, w miejscu gdzie droga wychodziła na płaskowyż, rozbito namiot Jasmeli.

Nie widząc nigdzie wroga, żołnierze poczuli się nieco swobodniej. Pościągali lekkie hełmy, zrzucili na plecy kaptury kolczug i poluzowali pasy, po czym chwycili się za ogryzanie wołowych kości i opróżnianie dzbanów z piwem. W powietrzu dały się słyszeć jurne żarty. Górale rozłożyli się wygodnie na stokach i zajadali swoje daktyle i oliwki. Amalryk podszedł do głązu, na którym odpoczywał Cymmerianin.

— Conanie, czy słyszałeś co żołnierze mówią o Natohku? Na Mitrę, to zbyt nieprawdopodobne by powtarzać. Co o tym sądzisz?

— Nasiona mogą przeleżeć w ziemi całe wieki i nie gniją — odpowiedział barbarzyńca — ale Natohk na pewno jest człowiekiem.

— Nie byłbym tego taki pewny — mruknął Amalryk. — W każdym bądź razie ustawiłeś swoje oddziały jak doświadczony wódz. Demony Natohka nie zaskoczą nas. Mitro, co to za mgła?

— Z początku myślałem, że to chmury — powiedział Conan. — Popatrz, jak szybko się zbliża!

Gęsty obłok przesunął się na północ na podobieństwo wielkiego, falującego oceanu, kryjącego pustynię przed oczyma patrzących. Wkrótce obłok pochłoniął ruiny stygijskiej świątyni i posuwał się dalej. Wojsko khorajskie patrzyło na to w zdumieniu. Zjawisko było niezwykle — nienaturalne i niewytłumaczalne.

— Nie ma sensu wysyłać zwiadowców — stwierdził z niechęcią Amalryk. — Niczego nie zobaczą. Mgła rozciąga się od grani do grani. Niedługo ogarnie przełęcz i wzgórza...

Conan, który z potęgującym się niepokojem przyglądał się nadchodzącym oparom, schylił się nagle i przyłożył ucho do ziemi. Przeklinając, wyprostował się i krzyknął:

— To konie i rydwany! Ziemia dudni od tysięcy kopyt! Hej wy! — zaryczał podrywając leżących. — Do broni, leniwa bando! Stawać w szyku!

Żołnierze w pośpiechu stanęli w szeregach, nakładając hełmy i podnosząc tarcze. Mgła rozeszła się tak nagle, jakby nie była już potrzebna. Nie opadła czy rozwiała się jak zwykła mgła, po prostu znikła jak zdmuchnięty płomień. W jednej chwili całą pustynię zakryły gęste opary, przewalające się i nieprzejrzyste, a w drugiej na bezchmurnym niebie świeciło oślepiające słońce, ukazując piaski — już nie puste, lecz zatłoczone tysiącami wojowników i setkami rydwanów. Bojowy okrzyk targnął górami.

W pierwszej chwili zdumieni wojownicy sądzili, że patrzą na falujące, lśniące morze spiżu i złota, w którym stal oręża lśniła jak gwiazdy w bezchmurną noc. Mgła rozeszła się, ukazując nadciągającą armię Natohka.

W przedzie jechał rozległy szereg rydwanów ciągniętych przez olbrzymie, dzikie konie stygijskie, o łbach ubranych w pióropusze. Półnaczy woźnice z trudem panowali nad rżącymi i parskającymi bestiami. Jadący w rydwanach wojownicy byli muskularni i wysocy, o głowach przykrytych spiżowymi hełmami, zakończonymi złotymi kulami. W rękach trzymali ciężkie łuki. Nie była to jakaś zbieranina, lecz doborowe oddziały żołnierzy przywykłych do łowów i wojen, umiejących jedną strzałą położyć lwa.

Za nimi ciągnął kolorowy tłum na półdzikich koniach. Byli to wojownicy z Kush, największego z czarnych królestw leżących na południe od Stygii. Hebanowoczarni,

—winni i smukli, jechali na oklep bez siodła i uzd. Za nimi szli inni, tysiące za tysiącami: waleczni synowie Shemu, jeźdźcy w płytkowych pancerzach i stożkowych hełmach, asshuri z Nippru, Shumiru. Eruk i ich bratnich miast i odziani na biało nomadowie z pustynnych klanów.

Nagle ich szeregi drgnęły i skłębiły się. Rydwany zjechały na skrzydło, podczas gdy główne siły posuwały się niepewnie naprzód. Pancerni Thespidesa dosiedli koni, a on sam przygalopował do

Conana. Nie raczył nawet zsiąść z konia, lecz z siodła rzucił kilka krótkich zdań.

— Rozstąpienie się mgły zaskoczyło ich, teraz jest odpowiednia chwila do ataku! Kushici nie mają luków i zwalniają ich marsz. Szarża moich jeźdźców rzuci ich na szeregi Shemitów i pomiesza im szyki. Ruszaj za mną! Wygramy tę walkę jednym uderzeniem!

Conan zaprzeczył głową.

— Zrobiłbym tak, gdybyśmy walczyli ze zwykłym wrogiem. To zamieszanie jest raczej pozorowane niż prawdziwe, tak jakby chcieli sprowokować nas do szarży. Wietrzę w tym podstęp.

— Odmawiasz? — krzyknął Thespides z twarzą ciemną od gniewu.

— Bądź rozsądny — powiedział Conan. — Mamy przewagę pozycyjną...

Przeklinając okrutnie, Thespides obrócił konia i pognął z powrotem do czekających rycerzy.

Amalryk pokiwał głową.

— Nie powinieneś mu pozwolić tam wrócić, Conanie. Ja... Patrz!

Conan spojrzał i zaklął. Thespides podjechał do swego oddziału i stanął przed frontem wojska. Nie było słychać tego, co mówił, ale wskazanie ręką na zbliżające się oddziały nie pozostawiało wątpliwości. W chwilę potem pięćset lanc pochyliło się i zakuta w stal masa runęła na wroga.

Z namiotu Jasmeli przybiegł młody paź, wołając do Conana dzwięcznym głosem:

— Panie mój, księżniczka pyta, dlaczego nie wspomóżesz księcia Thespidesa?

— Ponieważ nie jestem równie głupi jak on — mruknął Cymmerianin, na powrót siadając na głaz i przymierzając się do ogryzania olbrzymiego wołowego udźca.

— Władza wymaga rozsądku — przypomniał znane przysłowie Amalryk. — Kiedyś miałeś szczególne upodobanie do takich szaleństw.

— Tak, ale wtedy chodziło tylko o moje życie — powiedział Conan, — a teraz... A to co do diabła?

Oddziały Natohka zatrzymały się nagle. Ze skrzydła nadszedł czarny rydwan.

Półnagi woźnica smagał konie długim batem, a za nim stała wysoka postać w długim stroju, upiornie powiewającym na wietrze. Człowiek ten trzymał w rękach złoty dzban, z którego wypływał cienki, mieniący się w słońcu strumyk. Rydwan przejechał przed czołem oddziałów, zostawiając za sobą wyżłobione kołami koleiny i długą, cienką linię czegoś, co błyszczało na piasku jak połyskujący ślad żmii.

— To Natohk! — zawołał Amalryk. — Co za diabelskie ziarno sieje ten łajdak?

Zbliżający się jezdni nie przyhamowali pędzących koni. Jeszcze pięćdziesiąt kroków i uderzyliby w nierówne szeregi Kushitów, stojących nieruchomo z nastawionymi włóczniami... Tymczasem jadący na czele rycerze dotarli do cienkiej, błyszczącej na piasku linii. Żelazne podkowy rumaków stratowały ją i tak jak krzemień uderzony żelazem daje iskry, tak złocista linia zapłonęła, jednak z o wiele straszliwszym skutkiem. Po pustyni przewalił się głuchy huk, który przeleciał wzdłuż szeregu jeźdźców wraz z kłębami białego dymu.

W jednej chwili pierwszych jezdnych ogarnęły płomienie. Ludzie i ich wierzchowce spalili się w nich jak łyce w ognisku. Tylne szeregi wpadły na ich zwęglone szczątki, powiększając zamęt, nie mogąc zatrzymać rozpędzonych koni uderzali w piętrzący się zwał trupów. Atak skończył się druzgocącą klęską. Zakuci w stal rycerze ginęli razem ze swoimi rumakami.

Przystając pozorować zamieszanie wrogiego wojska wyrównały szyki. Dzicy Kushici doskakiwali dobiegającym rannych, rozbijając stalowe hełmy maczugami i toporami. Wszystko to stało się tak szybko, że przyglądający się ze stoków żołnierze khorajscy przecierali oczy ze zdumienia. Oddziały wroga ponownie ruszyły. Wśród patrzących podniósł się krzyk:

— To nie ludzie, to demony!

Jeden z górali z pianą na ustach rzucił się do ucieczki.

— Uciekajmy! Uciekajmy! — skomlał. — Kto oprze się czarom Natohka!

Conan powiedział coś wściekle i zeskoczywszy z głazu przyłożył mu obgryzionym udźcem. Góral padł jak trafiony gromem i krew puściła mu się z nosa i ust. Cymmerianin wyciągnął miecz. W oczach zapaliły mu się groźne ogniki.

— Na miejsca! — ryknął. — Pierwszego, który się ruszy, skrócę o głowę! Walczcie psy!

Panika skończyła się równie szybko, jak zaczęła. Reakcja Cymmerianina była niczym kubeł zimnej wody dla przerażonych żołnierzy.

— Zająć wyznaczone stanowiska — rozkazał. — Ł nie opuszczać ich pod żadnym pozorem! Ani ludzie, ani demony nie przejdą dziś przez Przełęcz Shamala!

W miejscu gdzie płaskowyż przechodził w łagodne zbocze, najemnicy stanęli murem, ściskając w rękach włócznie. Za ich plecami dosiedli swych koni lansjerzy, a na skrzydle, w odwodzie, stały oddziały oszczepników. Patrzącej na to z namiotu Jaśnieli wydawali się mizerną garstką w porównaniu z mrowiem nadciągającej hordy.

Conan stał wśród oszczepników. Wiedział, że przeciwnik nie będzie próbował wjechać rydwanami na przełęcz, wystawiając się na grad strzał. Jednak mimo to zdziwił się nieco widząc, że i jeźdźcy zsiadają z koni. Ci dzicy ludzie nie ciągnęli za sobą taborów. Bukłaki z wodą i sakwy mieli przytroczone do siodeł. Teraz wypili ostatki wody i odłożyli próżne bukłaki.

— Albo dadzą gardła, albo będą pić z naszej studni — mruknął do siebie barbarzyńca.

— Wolałbym atak konnicy. Zranione konie ploszą się i mieszają szyki.

Horda sformowała klin, którego grotem byli Stygijczycy, a w środku znaleźli się asshuri w kolczugach osłaniani po bokach przez nomadów. W zwartym szyku, osłaniając się tarczami, sunęli do przodu jak rzeka, a postać w rozwianej szacie, stojąca za ich plecami na rydwanie, wznosiła ramiona do nieba, gestem upiornego błogosławieństwa.

W chwili gdy pierwsze szeregi dotarły do wylotu doliny, górale ze stoków wypuścili strzały. Mimo osłony z tarcz atakujący padali tuzinami. Stygijczycy zostawili swoje łuki przy koniach, a teraz, pochylając nakryte hełmami głowy, ruszyli niewzruszenie po ciałach swych zabitych kompanów, błyskając ślepiami zza krawędzi tarcz. Shemici odpowiedzieli chmurą czarnych, przysłaniających niebo, strzał. Patrząc na zbliżającego się wroga. Conan zastanawiał się, jaką nową sztukę chowa w zanadrzu czarnoksiężnik. Przeczuwał, że Natohk, tak jak każdy mag, jest niebezpieczniejszy w obronie niż w ataku. Każdy ofensywny ruch może skończyć się klęską.

Bez wątpienia to czary Natohka pędziły żołnierzy w otchłanie śmierci. Conan wstrzymał oddech widząc spustoszenie, jakie czynili jego wojownicy w oddziałach wroga. Olbrzymi klin zdawał się topnieć w oczach, a dno doliny było już gęsto zasłane trupami napastników. Pomimo tego pozostali, gardząc śmiercią, gnali naprzód jak szaleni. Ich liczebna przewaga sprawiła, że górale na stoku nie byli w stanie ich zatrzymać. Chmury strzał mknęły w górę i zmuszały ich do szukania osłony. Niepowstrzymany pochód przeciwnika nappełnił ich trwogą, jednak nadal gorączkowo wysyłali pierzaste pociski, walcząc jak osaczone wilki.

Gdy wróg zbliżył się do wąskiego gardła przełęczy, z góry zepchnięto potężne głazy, które z łomotem runęły na stłoczone szeregi, miażdżąc dziesiątki żołnierzy. Mimo to najeźdźcy parli naprzód. Najemnicy przygotowali się do nieuniknionego starcia. Stojąc w zwartej linii dzięki swym grubym kolczugom nie ponieśli większych strat od gęsto spadających strzał. Conan obawiał się jednak, że impet uderzenia potężnego klina przełamie mur obrońców. Zrozumiał, że czeka ich zawzięta i okrutna walka. Chwycił za ramię stojącego obok Zaheemisa.

— Czy jest tu jakaś ścieżka, którą jezdni mogą zjechać w dolinę za zachodnią granią?

— Tak, urwista, niebezpieczna ścieżka, sekretna i wiecznie strzeżona. Jednak...

Conan zaciągnął go do siedzącego na wielkim rumaku Amalryka.

— Amalryku! — rzekł. — Jedź za tym człowiekiem! On zaprowadzi was tam, do tej doliny. Pojedziesz, okrążysz grań i uderzysz na nich od tyłu. Nic nie mów — tylko jedź! Wiem, że to szaleństwo, ale i tak jesteśmy zgubieni. Zanim umrzemy, zabijemy tyłu, ile damy radę. Śpiesz się!

Amalryk postawił wąsy w dzikim uśmiechu i w kilka chwil jego lansjerzy ruszyli za przewodnikiem, w płataninę wawozów stopniowo opuszczających się z płaskowyżu. Conan z mieczem w rękę podbiegł do oszczepników.

Przybył w samą porę. Po obu stronach przełęczy górale Shuprasa, widząc grożącą im klęskę, desperacko słali strzałę za strzałą. W dolinie i na zboczach napastnicy ginęli jak muchy, lecz i tak

niepowstrzymaną masą pięli się po zboczu i z krzykiem uderzali na najemników Conana.

Wśród chrzęstu i łoskotu stali uderzającej w stal szeregi obrońców zachwiały się i wygięły. Lud stworzony do wojaczki stał się z zawodowym żołnierzem. Tarcza uderzała w tarczę, włócznia wbijała się w ciało, tryskała krew. Wśród zamętu Conan ujrzał zwałistą postać księcia Kutamana, ale odgradzał go od niego tłum przeciskających się, dyszących i wymachujących żelazem wojowników. Za Stygijczykami kroczyli asshuri.

Nomadzi wspięli się na zbocza po obu stronach doliny i rozpoczęli walkę wręcz ze swoimi krewniakami z gór. Na obu graniach rozpętała się zaciekle, gwałtowna bitwa. Górale walczyli z właściwym sobie zacięciem, podsycanym wielowiekowymi waśniami. Ginęli, ale sami także zabijali. Z przeraźliwym wrzaskiem do walki dołączyli nadzy, czarnoskórzy Kushici.

Conanowi zdawało się, że jego zalewane potem oczy patrzą na falujący ocean kling i grotów, wznoszących się i opadających, wypełniających całą dolinę. Ważyły się losy bitwy. Górale na grani trzymali się, a najemnicy stali murem broniąc przełęczy, odrzuciwszy okrwawione piki. Lepsza pozycja i uzbrojenie na razie zrównoważyły liczebną przewagę wroga, ale nie mogło to trwać długo. Nieustannie nowe fale wrogów nacierały na zbocza, a dziury w szeregach Stygijczyków natychmiast zapełniali kroczący za nimi asshuri.

Cymmerianin czekał na okrążających zachodnią grań lansjerów Amalryka, ale ci nie pojawili się jeszcze i oddziały oszczepników zaczęły się chwiać pod naporem wroga. Barbarzyńca porzucił już wszelką myśl o zwycięstwie i ocaleniu. Krzycząc rozkazy do zdyszanych dowódców zawrócił i pognął przez płaskowyż do stojącej w odwodzie jazdy khorajskiej. Nawet nie spojrzał w kierunku namiotu Jaśnieli. Zapomniał o księżniczce, myślał teraz tylko o tym, aby przed śmiercią zabić jak najwięcej wrogów.

— Dziś zdobędziecie rycerskie pasy! — krzyknął do nich, wskazując skrwawionym mieczem szeregi nieprzyjaciela. — Na koń! Za mną!

Góralski koń dziko zarżał, nieprzyzwyczajony do ciężaru khorajskiej zbroi. Conan ze śmiechem skierował wierzchowca na skraj płaskowyżu.

Pięciuset jezdnych — ubogich mieszczan, wydziedziczonych szlacheckich synów, hultajów — na wpół dzikich shemickich koniach runęło do ataku po zboczu, jakim żadna jazda na świecie jeszcze nigdy nie szarżowała!

Przelecieli obok walczących na przełęczy oddziałów, przez usłaną trupami zachodnią grań i popędzili po stromym stoku. Tuzin jeźdźców straciło równowagę i upadło pod kopyta galopujących wierzchowców. Wśród okrzyków przerażenia i jęków agonii wpadli na nieprzyjaciela jak lawina zwałająca się na zagajnik i przewalili się po zwartych szeregach nomadów niczym żelazny walec, zostawiając za sobą pole trupów.

Wówczas na zmieszane szeregi zaskoczonego wroga uderzyli lansjerzy Amalryka, którzy obeszlili zachodnią grań i rozbili jeźdźców pilnujących lewego skrzydła. Na podobieństwo stalowego klina uderzyli od tyłu na niczego nie spodziewającego się nieprzyjaciela. Nomadzi, myśląc że są okrążeni

przez przeważające siły i bojąc się odcięcia od zbawczej pustyni, rzucili się do ucieczki, tracąc mniej bojaźliwych towarzyszy. Khorajska jazda przetoczyła się po nich, rozbijając ich w proch. Szturmujący zbocza Stygijczycy zawahali się i górale zaczęli się bronić ze zdwojoną zajadłością, zmuszając przeciwnika do odwrotu.

Zaskoczona horda rzuciła się do panicznej ucieczki, zanim ktokolwiek zorientował się, że atakuje ich niewielu jeźdźców. A gdy zaczęli już uciekać, nawet czary Natohka nie mogły ich powstrzymać.

Przez las głów i oszczepów jezdni Conana dojrzeliby lansjerów Amalryka, przebijających się przez zwiewających bezwładnie wrogów. Ten widok dodał sił khorajskim oddziałom. Z radosnym okrzykiem i zdwojonym zapalem zaczęli siec nomadów. Broniący przełęczy najemnicy, brodząc po kostki w kałużach krwi, ruszyli do przodu, silnie napierając na załamujące się szeregi wroga. Stygijczycy nie ustępowali pola, lecz oddziały asshuri stopniały błyskawicznie. Wojownicy południa zostali wybici do nogi i najemnicy, przeszedłszy po ich trupach, uderzyli jak stalowy topór w skłębione stygijskie szeregi. Wysoko na grani leżał ze strzałą w sercu stary Shupras. Amalryk, trzymając się za przebite włócznią udo klął co siłą. Z jezdnych Conana jedynie półtorej setki pozostało w siodle, lecz wróg został rozbity. Nomadzi i oszczepnicy poszli w rozsypek zwiewając do obozu, gdzie pozostawili konie. Górale zbiegali ze zbocza, bijąc w plecy uciekających i podcinając gardła rannym.

Z zamętu wyłoniła się olbrzymia postać, która skoczyła do Conana. To książę Kutaman, przyodziany jedynie w przepaskę biodrową i pogięty hełm, cały zboczony krwią, z przeraźliwym krzykiem rzucił mu w twarz rękojeść złamanego miecza i doskoczywszy złapał ogiera za uzdę. Zamroczony Cymmerianin zachwiał się w siodle. Jednocześnie czarnoskóry olbrzym szarpnął końskim łbem w górę i do tyłu, tak że wierzchowiec stracił równowagę i rżąc zwałił się na zalany krwią piasek.

Conan zeskoczył z upadającego na ziemię konia, a Kutaman natychmiast rzucił się na niego, rycząc jak lew. Wśród bitewnego zamętu barbarzyńca nawet nie wiedział, jak udało mu się zabić olbrzyma. Pamiętał tylko, jak Stygijczyk raz za razem uderzał trzymanym w rękę kamieniem w jego hełm, aż mu się gwiazdy pokazały, a on wielokrotnie wbijał sztylet w pierś księcia, co wydawało się nie robić na nim żadnego wrażenia. Conanowi świat zaczął już wirować przed oczyma, gdy w końcu czarnoskóry olbrzym zadygotał konwulsyjnie, wyprężył się i padł bezwładnie na ziemię.

Chwiejąc się i ocierając płynącą spod przyłbicy pogiętego hełmu krew. Conan spojrzał mętnym wzrokiem na dzieło zniszczenia.

Cała dolina była zasłana trupami, jakby rozłożono czerwony dywan. Zwały ciał piętrzyły się niczym morskie fale, sięgające przełęczy i wlewające się na zbocza. W dole, na pustyni nadal toczyła się walka. Resztki hordy dojrnęły do koni i uciekały na pustynię, ścigane przez strudzonych zwycięzców. Conan ze zgrozą zauważył, jak niewielu było ścigających.

Nagle przez hałas przedarł się przerażający wrzask. Z doliny nadszedł czarny rydwan, miażdżąc kołami stosy trupów. Nie ciągnęły go konie, lecz wielki czarny stwór podobny do wielbłąda. To był Natohk. Jechał w rozwianym płaszczu, ze skuloną przy nim człekopodobną maskarą, przypominającą małpę. Monstrum trzymało wodze i raz po raz poganiało batem ciągnącego rydwan stwora.

Wóz przeleciał ze złowrogim świstem po usłanym trupami zboczach tuż koło namiotu, przy którym samotnie stała Jasmela. Jej gwardia przyłączyła się do pościgu za nomadami.

Conan zamarł, słysząc przeraźliwy krzyk i widząc, jak Natohk wciąga swym długim ramieniem księżniczkę do rydwanu. Zawrócił straszliwego rumaka i odjechał z powrotem w dolinę. Żaden wojownik nie ośmielił się wymierzyć w niego strzały czy włóczni, lękając się, że może trafić skręcającą się w jego uścisku Jasmelę.

Conan z dzikim okrzykiem podniósł swój miecz i skoczył do pędzącego rydwanu. Jednak w chwili gdy wznosił miecz, czarna bestia kopnęła go przednią nogą w pierś, odrzucając na bok, ogłuszonego i poturbowanego. Z przejeżdżającego pojazdu dotarł do niego przeciągły krzyk Jasmeli.

Z ust Cymmerianina dobył się ryk wściekłości. Poderwał się na nogi i łapiąc wodze przebiegającego obok bezpańskiego konia wskoczył na siodło w pełnym galopie. W szalonej zaciekłości pognął za szybko oddalającym się rydwanem. Minał obóz Shemitów i popędził na pustynię. Raz po raz mijał grupy swoich żołnierzy i rozpaczliwie uciekających nomadów.

Rydwan jechał dalej, a za nim Conan, chociaż koń zaczął pod nim słabnąć. Wokół panowało nagie pustkowienie, skąpane w posępnym blasku zachodzącego słońca. Nagle przed pędzącymi pojawiły się ruiny starożytnego miasta i makabryczny woźnica wyrzucił z rydwanu Natohka i dziewczynę. Potoczyli się po piasku, a pojazd i ciągnący go stwór ulegli przerażającemu przeistoczeniu. Całkiem niepodobny do wielbłąda — czarny potwór rozłożył wielkie skrzydła i poleciał, ciągnąc za sobą płomień przypominający rechoczącego małpoluda. Bestia zniknęła tak szybko, że wydawała się być tylko płodem chorego umysłu.

Natohk poderwał się na nogi, spojrzał szyderczo na swojego prześladowcę, który nie zatrzymał się, lecz pędził ku niemu z uniesionym do cięcia mieczem, po czym chwycił omdlałą dziewczynę i wbiegł z nią między ruiny.

Conan zeskoczył z konia i ruszył za nimi. Po chwili znalazł się w pomieszczeniu rozjaśnionym niesamowitą poświatą, mimo szybko zapadającego zmroku. Jasmela leżała na czarnym, nefrytowym ołtarzu. Jej nagie ciało roztaczało blask niczym kość słoniowa w upiornym blasku, nad nią pochylał się Natohk — nieludzko wysoki i chudy, odziany w błyszczącą pelerynę z zielonego jedwabiu. Czarnoksiężnik odsłonił twarz i Cymmerianin zobaczył oblicze, które widział na zugickich monetach. — Drzyj psie! — syknął czarnoksiężnik niczym rozszoszczona żmija. — Jestem Thugra Khotan! Długo spoczywałem w grobowcu, czekając dnia przebudzenia i uwolnienia. Trzymał mnie czar, który uratował mnie niegdyś przed barbarzyńcami, lecz wiedziałem, że kiedyś jeden z nich przyjdzie... I przyszedł, by dopełnić swego przeznaczenia i umrzeć śmiercią, jaką od trzech tysięcy lat nie umarł żaden człowiek! Ty głupcze, czy myślisz, że przegrałem, ponieważ moja armia została rozbita? Dlatego, że demon, którego uczyniłem moim niewolnikiem, zdradził mnie i uciekł? Ja jestem Thugra Khotan i będę władał światem wbrew waszym nędznym bogom! Pustynia jest pełna moich ludzi, a demony nocy będą spełniać moje rozkazy, tak samo gadzi lud. Pożądanie osłabiło moją moc. Teraz ta kobieta jest moja i karmiąc się jej duszą, będę niezwyciężony! Odsuń się głupcze! Nie pokonałeś Thugry Khotana!

Mówiąc to czarnoksiężnik rzucił swoją laskę pod nogi Conana. Barbarzyńca cofnął się z

mimowolnym okrzykiem. Upadając, laska uległa straszliwej przemianie. Skręciła się i wygięła, i nagle przed zdumionym Cymmerianinem podniosła łeb sycząca kobra królewska. Przeklinając Conan gwałtownie opuścił stalową klingę, przecinając ohydny gada na pół, lecz wtedy u swych stóp zobaczył tylko przepołowioną, hebanową laskę. Thugra Khotan zaśmiał się głucho i pochylił się ku zakurzonej posadzce.

W jego wyciągniętej ręce coś się wiło i skręcało. Tym razem nie było to złudzenie. Czarnoksiężnik trzymał w ręce długiego na stopę, czarnego skorpiona — najniebezpieczniejsze stworzenie pustyni, którego ukłucie przynosiło natychmiastową śmierć. Trupią twarz Thugry Khotana rozjaśnił szeroki uśmiech. Conan zawahał się i nie— ‘ spodziewanie, bez ostrzeżenia rzucił mieczem.

Zaskoczony mag nie zdążył się uchylić. Klinga wbiła mu się prosto w serce i wyszła między łopatkami. Czarnoksiężnik padł martwy, rozgniatając w ręce jadowite stworzenie.

Conan podszedł do ołtarza i wziął Jasmelę w ramiona. W histerycznym szlochu zarzuciła mu ręce na szyję i trzymała kurczowo.

— Na Croma, dziewczyno! — wymruczał. — Puść mnie! Dzisiaj zginęło pięćdziesiąt tysięcy wojowników i muszę jeszcze...

— Nie! — wykrztusiła, przywierając doń z determinacją i dorównując mu przez chwilę w barbarzyńskiej gwałtowności uczuć. — Nie pozwolę ci odejść! Jestem twoja prawem miecza, ognia i krwi! Jesteś mój! Tam należę do innych — tu mogę być sobą —jestem twoja! Nie puszczę!

Zawahał się w przyływie gwałtownej pasji. Posępny i upiorny blask nadal rozjaśnił się niesamowicie w martwej twarzy Thugry Khotana, który uśmiechał się tajemniczo i złowrogo. Na pustyni i wśród wzgórz leżały tysiące zabitych, a inni wciąż jeszcze ginęli krzycząc z bólu, rozpacz i obłąkania. Królestwa zadrżały w posadach. Nagle to wszystko pochłonęła szkarłatna fala pożądania.

Cymmerianin pochwycił w objęcia tą wiotką, białą postać, jaśniejącą przed nim w półmroku jak czarodziejski płomyk.

Będąc kapitanem „Wastreja” Conan przez dwa lata uprawiał pirackie rzemiosło. Jednakże inni zingarańscy korsarze patrzyli na niego zawistnym okiem i w końcu doprowadzili do ucieczki Conana na ląd. Dowiedziawszy się o spodziewanej wojnie u granic Stygii, przystaje do Wolnych Towarzyszy — oddziału najemników pod dowództwem Zaralla. Jednak zamiast spodziewanych łupów znajduje nudną służbę na pogranicznym posterunku w Sukhmet, niedaleko granicy z Czarnymi Królestwami. Kwaśne wino, niewielka zdobycz i czarne kobiety szybko zniechęcają Cymmerianina. Nuda skończyła się wraz z przybyciem Valerii z Krwawego Bractwa — kobiety pirata, którą poznał podczas swojego pobytu na Wyspach Barachan. Valeria zabiła stygijskiego oficera, który w niewybredny sposób próbował pozyskać jej wdzięki. Zmuszona do ucieczki w obawie przed zemstą jego rodziny ruszyła w kierunku nieprzebytej puszczy Czarnych Królestw. Conan podąża jej śladem.

CZERWONE ĆWIEKI

Siedząca na koniu kobieta zatrzymała zmęczonego wierzchowca, który stanął na rozkraczonych nogach, z opuszczoną głową, jak gdyby nawet ciężar zdobionego złotem wędzidła z czerwonej skóry był dla niego zbyt wielki. Wyjęła nogę ze srebrnego strzemienia i płynnym ruchem zsiadła z szamerowanego złotem siodła. Uwiązała konia do rozdwojonego drzewa i odwróciła się, wspierając ręce na ponętnych biodrach, badając jednocześnie uważnie otoczenie.

Nie było ono zachęcające. Olbrzymie drzewa otaczały bajoro, w którym przed momentem napoiła konia. W posępnym półmroku alei utworzonych przez splątane konary, rozrosły się, ograniczając widok, krzaki i niskie drzewa. Kobieta zadrżała, kuląc wspaniałe ramiona i zakłęła szpetnie pod nosem.

Była wysoka, dobrze zbudowana, o pełnych piersiach i ramionach. Jej wygląd zdradzał niepospolitą siłę, nie ujmując jednak nic z jej kobiecego wdzięku. Niezależnie od postawy i mimo nieodpowiedniego do sytuacji stroju stanowiła uosobienie kobiecości. Zamiast spódniczki ubrana była w krótkie, jedwabne spodnie o szerokich nogawkach kończących się powyżej kolan. Szeroka jedwabna szarfa spełniająca jednocześnie rolę pasa podtrzymywała spodnie. Buty z miękkiej skóry, które sięgały jej prawie kolan, nosiła z wywiniętymi cholewami. Stroju dopełniała jedwabna koszula z szerokimi rękawami i dużym kołnierzem.

Na jednym biodrze wisiał prosty, obosieczny miecz, a na drugim długi sztylet. Niesforne złote włosy, prosto przycięte u ramion, przytrzymywała opaska ze szkarłatnego atlasu. Na tle ponurej, pierwotnej puszczy wyglądała niezwykle barwnie, a jednocześnie dziwnie obco. Jej postać pasowała bardziej do bieli nadmorskich obłoków, masztów, mew i błękitu morskich fal.

Była to Valeria z Krwawego Bractwa Morza Vilayet, o której śpiewano w pieśniach i balladach tam, gdziekolwiek zebrali się żeglarze.

Próbowała spojrzeć poprzez ponury, zielony dach splątanych gałęzi i dostrzec niebo, które powinno się nad nim znajdować, lecz zrezygnowała szybko przeklinając cicho. Pozostawiła uwiązanego konia i ruszyła na wschód, oglądając się co pewien czas za siebie, by zapamiętać drogę.

Wszzechobecna cisza przygnębiała ją. Wysoko w konarach nie odezwał się żaden ptak, żaden szmer lub szelest nie zdradzał obecności drobnej zwierzyny. Całe mile podróżowała w tym królestwie zadumanej ciszy, zakłócaney jedynie odgłosami jej ucieczki. Pragnienie ugasiła w stawie, lecz teraz poczuła gwałtowny głód i zaczęła poszukiwać owoców, które jadła, od kiedy skończyła się żywność w jukach.

Ujrzała przed sobą wylaniającą się z mroku i wznoszącą między drzewami olbrzymią skałę z czarnego kamienia, przypominającą turnie. Szczyt skały skrywały liście, być może znajdował się on ponad wierzchołkami drzew i mógłby spełnić rolę wieży obserwacyjnej. Valeria miała nadzieję, że dalej znajduje się coś innego od tej dziwnie wyglądającej, bezkresnej puszczy, przez którą przedzierała się tyle dni.

Wąski uskoki tworzył naturalną drogę, wiodącą w górę pionowej ściany. Wyszedłszy na około pięćdziesiąt stóp, dotarła do miejsca, gdzie korony drzew przysłaniały resztę skały. Wprawdzie drzewa nie rosły tuż przy samej turni, jednak końce niższych gałęzi dosięgały jej, tworząc chmurę listowia. W tym gąszczu liści Valeria poruszała się po omacku, nie mogąc dostrzec niczego. W końcu dojrzała błękit nieba i w chwilę potem wyszła na rozgrzane od słońca kamienie. U jej stóp rozpościerała się po sam horyzont bezkresna puszcza.

Valeria stała na szerokiej półce, będąc niemal na równi z wierzchołkami drzew. Z miejsca tego wznosiła się skalna iglica, będąca szczytem potężnej skały. Teraz jednak inna rzecz zwróciła uwagę kobiety. Stopą zahaczyła o coś, co leżało pod zeschniętymi zaścielającymi półkę liśćmi. Kopnięciem rozrzuciła liście i spojrzała na szkielet człowieka. Przyglądnęła się doświadczonego okiem zbieleiałym kościom, ale nie zauważyła śladu złamań czy innych oznak użycia siły. Człowiek ten z pewnością umarł śmiercią naturalną, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego wspinał się w tym celu tak wysoko.

Valeria wdrapała się na szczyt iglicy i rozejrzała się po widnokregu. Puszcza — wyglądająca stąd jak zielony kobierzec — była tak samo nieprzenikniona z góry, jak i z dołu. Nie mogła dostrzec nawet stawu, obok którego zostawiła konia. Spojrzała na północ, w kierunku, z którego przybyła. Zobaczyła tylko zielony ocean, rozlewający się coraz dalej. Góry, które przeszła kilka dni temu — wchodząc w leśne ostępy, widać było jako niewyraźną, niebieską linię.

Na wschodzie i zachodzie widok był taki sam — pozbawiony niebieskiej linii gór, lecz spojrzawszy ku południowi — zeszywniała i wstrzymała oddech. Milę dalej las rzedniał i kończył się gwałtownie, ustępując miejsca porośniętej kaktusami równinie, pośrodku której wznosiły się mury i wieże wielkiego miasta. Valeria zakłęła z zaskoczenia. To było wręcz niewiarygodne!

Nie zdumiałby jej widok innej ludzkiej osady. Kopiaste chaty czarnych ludzi czy skalne siedziby tajemniczej, brązowej rasy, która według legend zamieszkiwała niektóre miejsca tej niezbadanej krainy nie byłyby dla niej czymś niezwykłym. Jednak spotkanie warownego grodu tak wiele tygodni marszu od najbliższych ludzkich osad, było czymś niepokojącym.

Trzymała się iglicy do chwili, gdy ręce zaczęły jej mdleć i dopiero wtedy zeskoczyła na półkę, marszcząc czoło w zamyśleniu. Przybyła z daleka — z obozu najemników rozbitego na trawiastej równinie, opodal nadgranicznego miasta Sukhmet, gdzie awanturnicy z wielu krajów i ras bronili stygijskich rubieży przed podjazdami, ciągnącymi krwawą falą z Darfaru. Uciekała na oślep, byle dalej. Zapędziła się na ziemię, której w ogóle nie знаła. Teraz trwała w rozterce między chęcią jazdy wprost do miasta na równinie, a instynktowną ostrożnością. Rozsądek podpowiadał jej ominięcie szerokim łukiem warownego grodu i dalsze podążanie samej. Cichy szelest liści przerwał jej rozmyślenia. Obróciła się na pięcie z kocią zwinnością i zastygła w bezruchu, patrząc szeroko otwartymi oczyma na stojącego przed nią człowieka.

Był to mężczyzna gigantycznej postawy, o mięśniach lekko prężących się pod opaloną skórą, ubrany podobnie do Valerii — z wyjątkiem szerokiego pasa ze skóry, który nosił zamiast szarfy. U pasa zwisał mu szeroki miecz i sztylet.

— Conan Cymmerianin! — krzyknęła kobieta. — czego tutaj szukasz!?

Uśmiechnął się, a jego błękitne oczy zapaliły się, gdy zmierzył spojrzeniem jej postać, zatrzymując dłużej wzrok na wspaniale wypukłych piersiach ukrytych pod cienkim jedwabiem i nieosłoniętych kawałkach białego ciała, widocznego między spodniami a cholewami butów.

— Nie wiesz? — zaśmiał się. — Czyżbym nie wyraził swojego podziwu wystarczająco jasno, kiedy spotkałem cię pierwszy raz?

— Ogier nie okazałby tego jaśniej — odpowiedziała z pogardą. — Nigdy nie spodziewałam się, że spotkam cię tak daleko od beczek z piwem i mięsiwa w Sukhmet. Pojechałeś za mną z własnej woli, czy też wygnali cię z obozu za łotrostwa?

Rozbawiony jej tupetem napiął olbrzymie mięśnie.

— Wiesz, że Zarallo nie ma tylu łotrów, by mógł mnie wypędzić z obozu — pokazał zęby w szerokim uśmiechu. — Naturalnie, że pojechałem za tobą. Masz szczęście dziewczyno! Kiedy zatłukłaś tego stygijskiego oficera, straciłaś łaskę i opiekę Zaralla, a Stygijczycy wyjęli cię spod prawa.

— Wiem o tym — odparła ponuro — ale co miałam robić? Widziałeś, w jaki sposób mnie sprowokował?

— Zgadza się. Gdybym tam był, to sam bym go rozplątał. Tak to jest, gdy kobieta przebywa wśród mężczyzn w obozie wojennym.

Valeria uderzyła ze złością w skałę i zakląła.

— Dlaczego nie pozwolą mi żyć po męsku?

— To oczywiste! — powtórnie popatrzył na nią z pożądaniem. — Rozsądnie uczyniłaś uciekając. Stygijczycy obdarliby cię ze skóry. Brat tego oficera ruszył w pogoń szybciej, niż mogłaś się spodziewać. Był tuż za tobą, gdy go dostałem. Miał lepszego konia niż ty. Jeszcze kilka mil, a dogoniłby cię i skrócił o głowę.

— I co? — dopytywała się.

— Z czym? — odparł zdumiony.

— I co z tym Stygijczykiem?

— A jak myślisz? — warknął niecierpliwie. — Zabiłem go, a trupa zostawiłem sępom.

To z tego powodu omal nie zgubiłem twojego śladu, kiedy przekraczałaś kamieniste góry. Gdyby nie to, już dawno bym cię dogonił.

— A teraz myślisz, że zaciągniesz mnie z powrotem do obozu Zaralla? — warknęła.

— Nie wygaduj takich bzdur. No, nie bądź taką złością. Dobrze wiesz, że jestem inny niż ten

Stygijczyk, którego zadzgałaś.

— Włóczęga bez grosza — wymyślała mu.

Roześmiał się na to.

— A ty kim jesteś? Nie stać cię nawet na łatę w spodniach. Twój pogardliwy ton mnie nie zwiedzie. Wiesz, że dowodziłem większymi i liczniejszymi okrętami niż ty kiedykolwiek. A to, że nie mam grosza przy sobie — który korsarz ma pieniądze przez dłuższy czas? Złotem, które przepuściłem w portach, zapełniłbym całą galerę. Wiesz o tym dobrze.

— Gdzie są te wspaniałe okręty i ludzie, którymi dowodziłeś?

— Najczęściej można ich spotkać na dnie morza — odrzekł uprzejmie. — Ostatni mój okręt zatopiła zingarańska galera u brzegów Shemu. Z tego powodu zaciągnąłem się do Wolnych Towarzyszy — pod rozkazy Zaralla. Jednak kiedy przybyliśmy na granicę z Darfarem, poczułem, że się nabrałem. Żołądek był nędzny, wino kwaśne, a do tego jeszcze czarne kobiety. Tylko takie pojawiały się w naszym obozie. Kółka w nosach i spiłowane zęby. A ty! — jak trafiłaś do Zaralla. Sukhmet leży daleko od słonej wody.

— Krwawy Ortho widział we mnie swoją kochankę — odparła ponuro. — Pewnej nocy, gdy staliśmy na kotwicy przy brzegu Kush, skoczyłam za burtę i dopłynęłam do brzegu — niedaleko Zabhel. Shemicki kupiec powiedział mi, że Zarallo przybył ze swymi Wolnymi Towarzyszami nad granicę z Darfarem. Nie słyszałam o niczym innym równie interesującym. Przyłączyłam się do karawany podążającej na wschód i trafiłam do Sukhmet.

— Szaleństwem było uciekać na południe — stwierdził Conan, — jednocześnie było to chytne, bo patrole Zaralla nie szukały cię w tym kierunku. Jedyne brat człowieka, którego zabiłaś.

— Co zamierzasz zrobić? — spytała.

— Ruszę na zachód — odparł. — Byłem już na głębokim południu, ale nigdy tak daleko na wschód. Wiele dni drogi na zachód rozciągają się sawanny, gdzie czarne plemiona wypasają bydło. Mam tam przyjaciół. Dotrzemy do wybrzeża i znajdziemy jakiś statek. Mam dosyć puszczy!

— Ruszaj swoją drogą, ja mam inne plany.

— Nie bądź głupia! — po raz pierwszy rzekł z gniewem. — Nie możesz sama jechać przez tę puszczy.

— Mogę, jak zechcę.

— Co będziesz robić?

— Nie twój interes — warknęła.

— Mój — powiedział chłodno. — Myślisz, że jechałem za tobą tak daleko, by teraz odejść z

niczmy? Bądź rozsądna dziewczyno, nie skrzywdzę cię!

Ruszył w jej kierunku. Valeria odskoczyła, dobywając miecza.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, barbarzyński psie! Podejdź bliżej, pokroję cię na plasterki!

Stał niechętnie i spytał:

— Chcesz, żebym ci zabrał tę zabawkę i wlepił kilka klapsów?

— Słowa! To tylko słowa — szydziła, a w jej zuchwałych oczach zagrały ogniki, jak odbicia na błękitnej wodzie.

Wiedział, że to prawda. Nikt jeszcze nie rozbroił gołymi rękoma Valerii z Krwawego Bractwa. Zachmurzył się, miotany przeciwnymi uczuciami. Był zły, a jednocześnie rozbawiony i pełen uznania dla jej odwagi. Płonęła w nim chęć, by złapać tę cudowną dziewczynę i zmiażdżyć w swoich żelaznych ramionach, ale przede wszystkim nie chciał jej skrzywdzić. Wahał się między chęcią przytulenia jej, a porządnym przetrzepaniem skóry. Wiedział, że jeżeli podejdzie jeszcze krok, Valeria pograży swój miecz w jego sercu. Zbyt często widział ją zabijającą ludzi w przygranicznych starciach i podczas burd w karczmach, aby mieć jakieś złudzenia. Wiedział, że jest równie szybka jak tygrysica. Mógł dobyć swojego miecza i rozbroić ją wytrącając jej oręż z dłoni, jednak myśl podniesienia miecza na kobietę, nawet bez zamiaru zranienia, była mu obca.

— Niech cię diabli wezmą! — krzyknął rozdrażniony. — Zabiorę ci...

Złość odebrała mu rozum. Ruszył na przygotowaną do śmiertelnego ciosu dziewczynę. Tę komiczną, a zarazem groźną scenę przerwał nagle wstrząsający dźwięk. Oboje drgnęli gwałtownie.

— Co to było — spytała Valeria.

Conan odwrócił się szybko jak kot, a w jego ręce błysnął olbrzymi miecz. Puszcza napełniła się przerażającymi dźwiękami. Końskie rzenie przemieszało się z trzaskiem łamanych kości.

— Lwy zabijają konie! — krzyknęła Valeria.

— Lwy? — prychnął Conan i pojaśniały mu oczy. — Słyszałaś ryk lwa? Ja też nie! Słuchaj, jak kości trzaskają — nawet lew nie narobiłby tyle hałasu zabijając konia.

Szybko ruszył w dół, a za nim Valeria, która zapomniała o osobistej urazie, w instynktownym dla awanturników odruchu zjednoczenia się wobec wspólnego zagrożenia. Kiedy przebili się przez zielony gąszcz okrywający skałę, rzenie ucichło.

— Znalazłem twojego konia uwięzowanego przy stawie — mówił stąpając tak cicho, że przestała się dziwić, że zdołał ją zaskoczyć na skale. — Przywiązałem mojego obok i poszedłem twoim śladem. Teraz uważaj!

Wynurzyli się z gęstwiny liści i spojrzeli na dolne części lasu. Nad nimi rozciągał się mroczny

zielony baldachim, przez który wnikało rozproszone światło, tworząc zielonkawy półmrok. Gigantyczne pnie drzew oddalone o sto jardów wyglądały groźnie i widmowo.

— Konie powinny być za tymi zaroślami — wyszeptał Conan. — Słuchaj!

Valeria wsłuchiwała się i krew zamarła jej w żyłach. Mimo woli chwyciła swą białą dłońią muskularne, opalone ramię towarzysza.

Zza zarośli docierały odgłosy pękających kości i rozdzieranego mięsa wraz z rozgryzaniem i mlaskaniem.

— Lwy nie ucztowałyby tak głośno — szepnął Conan. — Coś pożera nasze konie, ale z pewnością to nie jest lew... Na Croma!

Dźwięki urwały się i Conan zaklął cicho. Niespodziewany podmuch wiatru poniósł ich zapach w kierunku, gdzie za gąszczem ukrywał się drapieżnik.

— Nadchodzi! — mruknął Cymmerianin unosząc miecz.

Zarośla zafalowały gwałtownie i Valeria mocniej ścisnęła ramię Conana. Nie znając puszczy, zdawała sobie jednak sprawę, że żadne zwierzę, jakie kiedykolwiek widziała, nie rozkołysałoby w ten sposób wysokich drzew. — Musi być wielki jak słoń — odgadł jej myśli Conan. — Co do diabła... — jego głos urwał się nagle.

Z zarośli wyłoniła się głowa jak z koszmarne snu. Rozwarta paszcza straszyla rzędami ociekających śliną, żółtych kłów. W pomarszczonym jaszczurczym pysku gorzały potężne, tysiąckrotnie powiększone ślepia pytona, patrzące bez mrugnięcia na dwoje odrętwiałych ludzi, którzy przywarli do skały. Krew kapiąca z ogromnej paszczy splamiła pokryte łuską, obwisłe wargi.

Podobny do krokodylego, lecz dużo większy łeb umieszczony był na długiej łuskowatej szyi, chronionej rzędami sterczących zębatach kolców. Za łbem, tratując krzewy i małe drzewa, wynurzył się, kołysząc z wolna tułów — gigantyczne, beczkowate ciało na absurdalnie krótkich nogach. Biały brzuch niemal sunął po ziemi, podczas gdy zębaty grzbiet wznosił się wyżej niż Conan mógłby sięgnąć stojąc na palcach. Z tyłu za pokraczynem cielskim włócił się, na podobieństwo skorpiona, długi, kolczasty ogon.

— Z powrotem na skałę, szybko! — krzyknął Conan ciągnąc za sobą dziewczynę. — Nie sądzę, aby umiał się wspinać, ale może stanąć na tylnych nogach i pochwycić nas. Miażdżąc krzewy i łamiąc drzewka, potwór niczym nie zatrzymany sunął w ich kierunku. Uciekali przed nim na skałę jak liście gnane wiatrem. Wpadając w gąszcz listowia, Valeria odwróciła się na moment i ujrzała przerażającego olbrzyma, stojącego na tylnych nogach, tak jak przypuszczał Conan. Na ten widok Valerię ogarnęła panika.

Stojąca na nogach bestia wyglądała na jeszcze potężniejszą, a olbrzymi łeb górował nad drzewami. Żelazna dłoń Conana chwyciła przegub dziewczyny, ciągnąc ją przez zielone liście ku gorącym promieniom słońca dokładnie w tym momencie, gdy przednie łapy potwora uderzyły w skałę

z taką siłą, że cała zadrżała.

Olbrzymi łeb zanurkował między gałęziami, tuż za uciekającymi i zamknął się z trzaskiem. Oboje stali jeszcze przez chwilę bez ruchu, patrząc w przerażeniu na chowające się między zielonymi liśćmi koszarne oblicze, które zniknęło tak, jakby zanurzyło się w wodzie. Patrząc w dół, poprzez połamane gałęzie opadające na skałę, zobaczyli, że bestia przysiadła na zadzie u podnóża skały i wpatrywała się w nich nieruchomym wzrokiem. Valeria wzdrygnęła się.

— Długo będzie tak czekała — jak sądzisz?

Conan uderzył nogą czaszkę leżącą między liśćmi zalegającymi półkę.

— Ten człowiek musiał trafić tutaj, uciekając przed tą lub podobną bestią. Umarł z głodu, wszystkie kości ma całe. To paskudztwo tam w dole — to musi być smok, o którym czarni wspominają w swoich legendach. Jeżeli tak, to nie ruszy się stąd, dopóki nie wyzionimy ducha.

Valeria patrzyła nań pustymi oczyma, zapominając o urazie. Usiłowała opanować ogarniający ją strach. Setki razy dowiodła swojej zuchwałej odwagi w zawziętych walkach na morzu i lądzie, na śliskich od krwi pokładach płonących okrętów, na murach obleganych grodów i na udeptanych plażach, gdzie piraci z Krwawego Bractwa nożami rozstrzygali pojedynki o przywództwo. Jednakże groza tej sytuacji mroziła jej krew w żyłach. Śmierć od miecza w wirze walki była niczym wobec bezczynnego i bezradnego pozostawiania na nagiej skale, pilnowanej przez obrzydliwy i potworny relikwiarz dawnych czasów. Oczekiwanie na śmierć głodową doprowadzało ją do paniki.

— Będzie musiał odejść choć na chwilę, żeby jeść i pić — powiedziała bez przekonania

— Nie odejdzie daleko — perorował Conan. — Ledwie co najadł się koniny, a będąc gadem długo wytrzyma bez wody i jedzenia. Myślę jednak, że nie zasypia po obżarstwie jak węże. No, w każdym razie nie potrafi wejść na skałę.

Conan mówił ze stoickim spokojem. Olbrzymia cierpliwość dzikich ludów i ich potomków, podobnie jak gwałtowne żądze i namiętności, były częścią jego barbarzyńskiej natury. Umiał znosić takie sytuacje ze spokojem niepojętym dla cywilizowanego człowieka.

— Czy nie moglibyśmy dostać się na drzewa i uciec po gałęziach jak małpy? — spytała Valeria z rozpaczą.

— Myślałem o tym — powiedział potrząsając głową. — Gałęzie dostające do turni są zbyt słabe, aby mogły utrzymać nasz ciężar. Oprócz tego mam wrażenie, że ten szatański pomiot mógłby wyrwać każde z tych olbrzymich drzew wraz z korzeniami.

— To co, mamy tu tak po prostu siedzieć z założonymi rękoma i czekać, aż umrzemy z głodu?! — krzyknęła z wściekłością. Kopnięta czaszka potoczyła się z chrzęstem po półce. — Ja nie mam takiego zamiaru! Zejdę na dół i utnę mu ten przeklęty łeb!

Conan siadł wygodnie na kamieniu, u stóp iglicy. Parzył z podziwem na lśniące oczy i napiętą, dygoczącą postać, lecz widząc, że w przypląwie szaleństwa jest zdolna do każdego głupstwa, nie

wyraził głośno swojego podziwu.

— Siadaj — mruknął chwytając ją za nadgarstek i pociągając na swoje kolana. Była zbyt zaskoczona, by się przeciwstawić, gdy wyjął miecz z jej ręki i włożył go do pochwy. — Siedź cicho i uspokój się. Połamałabyś tylko miecz na jego łuskach. Pożarłby cię jednym kłapnięciem paszczy lub rozbił jak jajko swoim kolczastym ogonem. Wybrniemy z tych tarapatów i nie damy się przeżuć i połknąć.

Valeria milczała, nie próbując nawet zepchnąć jego ręki ze swej kibici. Taki strach był czymś nowym dla Valerii z Krwawego Bractwa. Siedziała grzecznie i potulnie na kolanach towarzysza. Zarallo, który nazwał ją diabolicą z piekielnego harem, zdumiałby się szczerze. Conan bawił się leniwie jej złotymi lokami, pochłonięty tylko tą czynnością. Ani szkielet u jego stóp, ani bestia czyhająca w dole, nawet w minimalnym stopniu nie przeszkadzały mu w tej czynności.

Krążący wśród liści niespokojny wzrok dziewczyny natrafił na kolorowe plamy wśród zieleni. Z gałęzi drzewa o szczególnie gęstych i jasnozielonych liściach zwisały duże, ciemnoczerwone, krągłe owoce. Przypomniała sobie, że jest głodna i spragniona, chociaż pragnienie nie dokuczało jej, dopóki nie zostali uwięzieni na turni, nie mogąc tym samym znaleźć pożywienia i wody.

— Nie będziemy głodować — rzekła. — Tam są owoce — możemy je zerwać.

Conan spojrział we wskazanym kierunku.

— Gdybyśmy je zjedli, niepotrzebny byłby smok — mruknął. — Czarni ludzie z Kush nazywają je jabłkami Derkety. Derketa to Władczyni Umarłych. Napij się trochę soku lub skrop swoje ciało, a będziesz martwa, zanim zwalisz się u podstawy skały.

— Och!

Valeria pograżyła się w ponurym zamyśleniu. Wygląda na to, że nie ma ucieczki od czekającego nas przeznaczenia — rozmyślała. Nie widziała żadnej szansy ocalenia, a Conan zdawał się być zainteresowany tylko jej ciałem i złotymi lokami. Jeżeli nawet Próbował znaleźć drogę ratunku, nie dał tego po sobie znać. — Gdybyś zdjął ze mnie swoje ręce i wdrapał się na ten szczyt — powiedziała — zobaczyłbyś coś, co by cię zdumiało.

Popatrzył na nią pytająco i uczynił, o co prosiła. Przylegając do skalnej iglicy i rozglądając się skierował wzrok na otaczającą ich puszcę. Stał przez dłuższą chwilę w milczeniu, wyglądający na skale niczym posąg z brązu.

— To warowne miasto. Czy tam chciałaś się udać, kiedy próbowałaś wysłać mnie samego w kierunku morza?

— Pojawileś się tu, gdy ledwie je zobaczyłam. Kiedy uciekłam z Sukhmet, nie wiedziałam o nim.

— Kto by przypuszczał, że można tu natrafić na miasto? Niemożliwe, aby Stygijczycy kiedykolwiek dotarli tak daleko. Czy takie miasto mogli wybudować czarni? Na równinie nie ma ani

stad bydła, ani upraw, czy podążających ku miastu ludzi.

— Chciałeś to wszystko dostrzec z takiej odległości? — spytała go.

Wzruszył ramionami i zsunął się na półkę.

— Ludzie z miasta i tak nie mogą nam teraz pomóc, a zresztą nie wiadomo, czy chcieliby. Ludy Czarnych Krajów są przeważnie nieprzyjaźnie nastawione wobec przybyszy. Prawdopodobnie naszpikowaliby nas włóczyniami...

Conan urwał w pół zdania i stał w milczeniu, patrząc w purpurowe kule wiszące na gałęziach, jakby zapomniał, o czym mówił.

— Dzidy! — wymamrotał. — Co za głupiec ze mnie, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Tak to jest, gdy piękna kobieta zawróci w głowie.

— Co ty wygadujesz? — spytała Valeria.

Nie odpowiadając wszedł między liście i spojrzał przez nie w dół. Olbrzym czatował u podnóża skały z przerażającą gadzią cierpliwością. Conan zwymyślał go bez specjalnego zapachu i zaczął ścinać gałęzie, uderzając i ścinając je najdalej, jak tylko zdołał osiągnąć. Gwałtownie szarpiące się liście drażniły potwora. Uniósł się na tylnych nogach i tłukł swym obrzydliwym ogonem, łamiąc drzewa jak drzazgi. Conan obserwował go uważnie i kiedy Valeria była pewna, że bestia ponownie uderzy w skałę, Cymmerianin wycofał się trzymając ucięte gałęzie: trzy cienkie, prawie siedmiostopowe drągi, nie grubsze od kciuka. Ściął również kilka wytrzymałych, cienkich pędów winorośli.

— Gałęzie są zbyt lekkie na drzewce dzidy, a pędy nie grubsze od sznurka — powiedział, wskazując liście wokół skały. — Nie wytrzymałyby naszego ciężaru — ale w jedności siła. Tak nam — Cymmerianom mówili renegaci z Aquilonii, kiedy przybywali w nasze góry nając ludzi i najeżdżać własny kraj. Jednak my zawsze walczyliśmy klanami.

— Co to, u diabła, ma wspólnego z tymi patykami.

— Poczekaj, to zobaczysz.

Złożywszy kije razem, włożył między nie rękojeść swojego sztyletu, po czym związał wszystko razem pędami winorośli i kiedy skończył robotę otrzymał silną dzidę o siedmiostopowym drzewcu.

— Co ty chcesz tym zwojować? Mówiłeś, że miecz nie przebije jego łusek.

— Nie wszędzie ma łuski — odpowiedział Conan. — W niejeden sposób można zedrzeć skórę z pantery.

Podszedł do skraju liści i ostrożnie wbił ostrze dzidy w jedno z Jabłek Derkety, odchylając się na bok, by uniknąć purpurowego soku tryskającego z przebitego owocu. Po chwili wyciągnął ostrze i ukazał jej błękitną stal splamioną purpurowym sokiem.

Nie wiem, czy to da radę, czy nie — powiedział, — ale jest tu dość trucizny, by powalić słonia. Zobaczymy.

Valeria szła tuż za nim, kiedy wchodził między liście. Trzymając ostrożnie zatrute ostrze z daleka od siebie, Conan wynurzył głowę z gąszczu i krzyknął do potwora. — Na co tak czekasz, ty pokręcony potomku niemoralnych rodziców? Wystaw tu swój paskudny pysk, długoszyja poczwaro, a może poczekaś, aż zejde i kopnę cię w gadzią...

I tak dalej — bogactwo i soczystość wypowiedzi Conana wprawiło Valerię w wielkie zdumienie mimo jej obycia z wulgarnym językiem żeglarzy. Odniosło to zamierzony skutek na potworze. Podobnie jak niepotrzebne ujadanie psa budzi niepokój i wściekłość w z natury cichych zwierzętach, tak wrzaskliwy głos człowieka budzi strach u jednych, a wściekłość u innych. Nagle, z niesamowitą szybkością kolos stanął na potężnych tylnych łapach i wyciągnął paszczę w próbie dosięgnięcia tego krzykliwego karła, którego wrzask zakłócił pierwotną ciszę jego odwiecznego królestwa.

Jednak Conan dokładnie ocenił odległość. Olbrzymi łeb wylądował z trzaskiem gałęzi niecałe pięć stóp poniżej Cymmerianina i gdy potworne szczęki rozwarły się jak u olbrzymiego węża, Conan cisnął dzidą w czerwone gardło. Uderzył całą siłą obu ramion, wbijając długie ostrze sztyletu w miękkie ciało. Jednocześnie potężna paszcza zamknęła się konwulsyjnie, przegryzając drzewce i niemal strącając Conana ze skały. Niechybnie runąłby, gdyby stojąca za nim dziewczyna nie chwyciła go za pas. Uchwycił się skalnego występu i podziękował jej uśmiechem.

W dole, pod nimi, potwór tarzał się po ziemi jak pies, któremu rzucono w oczy pieprzem. Trząśnięciem na wszystkie strony, drapał go pazurami i co chwilę rozwierał paszczę na całą szerokość. W końcu zdołał nadepnąć drzewce przednią łapą i wyrwać ostrze. Uniósł rozwarty, tryskający krwią pysk i spojrzał na skałę z tak inteligentną wściekłością, że Valeria zadrżała i dobyła miecza. Łuski na cielsku potwora zmieniły kolor z rudobrazowego na jaskrawoczerwony. Jednak najstraszniejsze było to, że przerwał otaczającą ciszę. Dźwięki, jakie wydobyły się z jego skrwawionej gardzieli, nie przypominały niczego, co mogłoby wydać z siebie jakiegokolwiek ziemskie stworzenie.

Z przerażającym, drażniącym rykiem smok rzucił się na skałę, będącą warownią wrogów. Raz po raz potężny łeb przebijał gęstwinę gałęzi, na darmo chwytając szczękami powietrze. Całym ciężarem pokracznego cielska walił o skałę, aż trzęsła się od podstawy do szczytu. W końcu, stając na tylnych łapach, ścisnął przednimi skałę, usiłując wyrwać ją tak jak drzewo. Ta demonstracja pierwotnej siły zmroziła krew w żyłach Valerii. Conan jednak był zbyt pierwotny w swych odruchach, by odczuwać coś więcej niż pełne zrozumienia zainteresowanie. Dla barbarzyńcy, w przeciwieństwie do Valerii, nie było zbyt wielkiej różnicy między zwierzętami, a ludźmi. Szalejący u stóp skały potwór był jedynie formą życia o innej powłoce, lecz o podobnych do ludzkich przypadłościach charakteru. W szaleństwie potwora widział odbicie swojego gniewu, a w ryku i charkocie — przekleństwa, jakimi obdzielił wcześniej gada. Czując więzy ze wszystkim co dzikie, nawet smokiem, nie odczuwał owego przerażenia, jakie dotknęło Valerię na widok wściekłości okrutnej bestii.

Siedział ze spokojem, obserwując i wskazując zmiany, jakie dostrzegł w głosie i mchach smoka.

— Trucizna zaczyna działać — rzekł z przekonaniem.

— Nie wierzę.

Valerii zdawało się niemożliwym, aby cokolwiek nie wiedzieć nawet jak morderczego, mogło zadziałać na tę górę mięśni i wściekłości.

— Słyszę ból w jego ryku — powiedział Conan. — Na początku był wściekły tylko z powodu ułucia w podniebienie. Teraz czuje działanie trucizny. Patrz! Zatacza się! Wkrótce oślepnie. No i co, nie mówiłem?

Smok niespodzianie zachwiał się i ruszył z trzaskiem w las.

— Ucieka? — niespokojnie spytała Valeria.

— Idzie do stawu — Conan zerwał się, gotów do natychmiastowego działania.

— Trucizna go pali. Chodź! Za chwilę oślepnie, ale może tu powrócić po węchu i jeżeli wyczuje, że dalej tu siedzimy, zostanie aż do śmierci. Poza tym jego ryki mogą ściągnąć inne przyjemniaczki. Idziemy!

— Na dół? — Valeria była przerażona.

— A jak?! Dotrzemy do miasta! Mogą nas tam skrócić o głowę, ale to nasza jedyna szansa. Możemy spotkać po drodze jeszcze tysiąc smoków, ale zostać tu, to najpewniejszy sposób na samobójstwo. Jeżeli będziemy czekać aż padnie, może nas odwiedzić jeszcze tuzin innych. Pośpiesz się!

Puścił się w dół zwinnie jak małpa, zatrzymując się tylko po to, by pomóc odrobinę mniej zwinnej towarzysze, która dopóki nie ujrzała znikającego Cymmerianina, uważała, że wspina się po takielunku czy pionowych skałach nie gorzej od każdego mężczyzny. Weszli w panujący pod gałęziami półmrok i w ciszy dotarli na ziemię. Valerii zdawało się, że bicie jej serca słychać w całej okolicy. Głośne chlupanie dochodzące zza gęstych krzewów mówiło, że smok dopadł stawu i łapczywie pije wodę.

— Wróci jak tylko ugasi pragnienie — powiedział Conan. — Mogą upłynąć godziny zanim trucizna go zabije — jeżeli w ogóle zabije.

W oddali, za lasem, słońce chowało się za horyzont. W mglistym półmroku puszczy pojawiły się czarne cienie i rozmyte kształty. Conan ujął Valerię za rękę i co sił w nogach cicho oddalili się od podnóża skały. Sam czynił hałasu mniej niż wiaterek wiejący między drzewami, natomiast Valerii zdawało się, że jej kroki oznajmniają całej puszczy ich ucieczkę.

— Nie sądzę, żeby poszedł po naszych śladach — mówił cicho Conan — ale jeżeli wiatr zawieje z naszej strony, może nas wyczuć.

— Mitro, spraw, by wiatr nie wiał! — błagała Valeria.

Jej blada twarz majaczyła w półmroku. W wolnej ręce ścisnęła miecz, lecz dotyk oprawionej w

rekinia skórę rękojeści umacniał w niej poczucie własnej bezsilności. Do skraju puszczy mieli jeszcze daleko, kiedy usłyszeli za sobą uderzenia i trzaski. Valeria przygryzła usta, tłumiąc krzyk.

— Złapał nasz ślad! — szepnęła.

Conan zaprzeczył głową.

— Nie poczuł naszego zapachu na skale, a teraz miota się oślepiiony po lesie, próbując nas znaleźć. Chodź! Albo dostaniemy się do miasta, albo zginiemy! Wyrwie każde drzewo, na które byśmy się schowali, oby tylko nie było wiatru ...

Posuwali się do przodu, aż drzewa zaczęły rzednąć. Dookoła puszcza tworzyła czarny, nieprzenikniony ocean, a w oddali słychać było trzaski łamanych przez smoka drzew.

— Przed nami równina — dyszała Valeria. — Jeszcze trochę i ...

— Na Croma! — zaklął Conan.

— Mitro! — szepnęła Valeria.

Od południa zerwał się wiatr. Powiał nad nimi w stronę czarnej puszczy. Natychmiast potworny ryk wstrząsnął lasem. Bezladna szamotanina przeszła w nieprzerwany trzask, gdy smok ruszył jak huragan prosto w kierunku, z którego docierał zapach wrogów.

— Szybko! — warknął Conan, z oczyma gorejącymi niczym u wilka zagnanego w pułapkę. — Jeszcze możemy uciekać!

Żeglarskie buty nie są szyte, by w nich szybko biegać, a życie pirata nie uczy go uciekać. Po stu jardach Valeria zwolniła, ciężko oddychając, zaś trzaski z tyłu przeszły w potęgający się łomot. Bestia dotarła do mniej porośniętej części puszczy.

Conan objął swym żelaznym ramieniem dziewczynę w talii unosząc ją tak, że ledwo dotykała ziemi i pędził z taką szybkością, jakiej sama nigdy by nie osiągnęła. Gdyby jeszcze przez pewien czas zdołali utrzymać się z daleka od koszmarnego gada, to być może zdradziecki wiatr zmieniłby kierunek. Wiatr jednak wiał nadal, a szybkie spojrzenie przez ramię ukazało Conanowi doganiającego ich potwora, pędzącego jak galera wojenna gnana wiatrem. Cymmerianin odepchnął gwałtownie Valerię, która przeleciała kilka jardów łapiąc równowagę i wylądowała pod najbliższym drzewem, sam zaś stanął naprzeciw pędzącemu smokowi. Pewny, iż wybiła jego ostatnia godzina, Cymmerianin poddał się swojemu instynktowi i rzucił się na spotkanie oszalałej bestii.

Skoczył jak uderzył i poczuł jak miecz, przebijając łuski, wchodzi głęboko w ogromny pysk, jednak potężne uderzenie odrzuciło go żywego i pozbawionego tchu o pięćdziesiąt stóp dalej.

Cymmerianin sam nie pojął tego, w jaki sposób stanął na nogi. W jego świadomości kołatała się tylko jedna myśl, że na drodze rozpędzonej bestii leży oszołomiona i bezradna dziewczyna. Wziął głęboki oddech, skoczył i stanął obok niej z mieczem w ręku.

Valeria leżała tam, gdzie ją pchnął, próbując uisnąć. Nie dotknęły jej ani straszne kły, ani olbrzymie łapy gada. Conan trafiony został piersią albo łapą potwora, który popędził dalej w nagłych wstrząsach agonii, zapominając o swoich niedoszłych ofiarach. Gnając bez opamiętania, uderzył nisko pochylonym łbem w olbrzymie drzewo stojące na jego drodze. Siła uderzenia wyrwała drzewo z korzeniami i roztrzaskała ukryty w topornej czaszce mózg. Drzewo zważyło się na smoka zasłaniając go, a dwoje oszołomionych ludzi patrzyło jak wstrząsane konwulsjami gałęzie powoli nieruchomieją.

Conan podniósł dziewczynę na nogi i ruszył ciągnąc ją za rękę. W chwilę później dotarli do bezdrzewnej równiny spowitej ciszą i mrokiem. Barbarzyńca zatrzymał się i obejrzał za siebie. W mahoniowej ciszy nie zadrgał ani jeden liść, nie odezwał się żaden ptak. Puszcza stała taka cicha, jaka musiała być przed stworzeniem człowieka. — Chodź — mruknął Cymmerianin, pociągając za sobą Valerię. — Jeszcze tylko kawałek. Jeżeli inne smoki wypadną z lasu ...

Nie musiał kończyć zdania.

Do miasta było dalej niż to się zdawało ze szczytu skały. Serce Valerii waliło jak opętane, brakowało jej tchu. Przy każdym kroku obawiała się, że usłyszy trzask i łomot, a z puszczy wypadnie następny kolos. Jednak nic takiego nie zakłóciło ciszy.

Gdy oddalili się na milę od lasu. Valeria pierwszy raz głęboko odetchnęła. Powoli wracała jej wesoła pewność siebie. Słońce już się skryło i równinę spowiła ciemność rozjaśniona nieco przez gwiazdy, których zimne i blade światło zmieniało kaktusy w przerażające postacie.

— Tu niczego nie ma — ani bydła, ani pól uprawnych — mruczał Conan. — Jak ci ludzie żyją?

— Może bydło zagnali na noc do zagród — nieśmiało sugerowała Valeria — a pola są po drugiej stronie miasta.

— Może, ale ze skały niczego takiego nie dostrzegłem.

Nad miastem pojawił się księżyc, w którego złotym odbłasku ostro odcinały się kontury wież i murów. Valeria zadrżała. Czarne w świetle księżycy miasto wyglądało ponuro i nieprzyjaźnie. Conan doznał chyba podobnego uczucia, gdyż stanął, rozglądając się dookoła i cicho powiedział:

— Chyba tu zostaniemy. W nocy nie wpuszczą nas przez bramę. Musimy odpocząć, przecież nie wiemy, jak nas przyjmą. Kilka godzin snu dobrze nam zrobi, a w razie kłopotów będziemy w lepszej formie do walki lub ucieczki.

Podszedł do kępy kaktusów tworzących okrąg, zjawiska spotykanego dość często na południowych pustyniach. Wyrąbał mieczem przejście i zachęcił ręką Valerię.

— Przynajmniej węże nie będą nam tu przeszkadzać.

Valeria ze strachem w oczach popatrzyła w stronę odległej o prawie sześć mil czarnej puszczy.

— A co będzie, jeżeli smok wyjdzie z puszczy?

— Będziemy czuwać — odpowiedział, nie proponując niczego, co należałoby zrobić w takiej sytuacji. Spoglądał na wznoszące się o parę mil dalej miasto. Żaden blask nie pojawił się na wieżach i blankach. Ten warowny gród wynosił się pod gwiaździstym niebem jak ogromna, czarna tajemnica.

— Połóż się i śpij. Ja pierwszy zostanę na warcie.

Dziewczyna zawahała się, patrząc na niego niepewnie, ale Conan siedział już w przejściu na skrzyżowanych nogach i z mieczem na kolanach wpatrywał się w równinę. Valeria położyła się na piasku, wewnątrz kolczastego fortu, bez zbędnych słów.

— Obudź mnie, gdy księżyc stanie w zenicie — powiedziała stanowczo.

Cymmerianin nie odezwał się i nie spojrzał nawet w jej stronę. Zasnęła mając obraz jego muskularnej postaci, niby wykutego w brązie posągu na tle rozgwieżdżonego nieba.

Valeria obudziła się gwałtownie i ujrzała wstający na równinie szary świt. Usiadła rozcierając oczy. Conan siedział przy kaktusie ścinając grube liście i umiejętnie wyrwijąc kolce.

— Nie obudziłeś mnie — powiedziała z wyrzutem. — Pozwoliłeś mi spać całą noc!

— Byłaś zmęczona — odparł — a z pewnością i twoja wspaniała tylna część była obolała po długiej jeździe. Wy piraci nie jesteście przyzwyczajeni do siodła.

— A ty?

— Zanim zostałem piratem byłem kozakiem — odpowiedział. — Oni całe życie spędzają na końskim grzbiecie. Ja ucinam sobie drzemki jak pantera czyhająca przy ścieżce na jelenia. Gdy moje oczy są zamknięte, uszy czuwają.

Rzeczywiście, olbrzymi barbarzyńca wyglądał tak wypoczęty, jakby spał całą noc. Oczyszczył liść z kolców, obrał grubą skórę i podał dziewczynie mięsisty, soczysty kąsek.

— Spróbuj! To pożywienie i woda ludzi pustyni. Kiedyś przewodziłem Zuagirom, koczownikom łupiącym karawany.

— Czy jest coś, czego jeszcze nie robiłeś? — spytała Valeria z kpiną i jednocześnie podziwem.

— Nie władałem dotąd hyboriańskim królestwem — uśmiechnął się, odgryzając potężny kawałek kaktusa, — choć raz śniło mi się to. Być może kiedyś zostanę królem... Właściwie dlaczego nie?

Podziwiając jego chłodne zuchwalstwo, pokiwała głową i zaczęła jeść. Kaktus był dobry w smaku i pełny orzeźwiającego, gaszącego pragnienie soku. Kończąc posiłek, Conan wytarł dłonie w piasek, wstał, poprawił ręką swoją gęstą, czarną czuprynę, zapiął pas z mieczem i rzekł:

— Czas najwyższy ruszyć w drogę. Jeżeli mieszkańcy tego miasta poderzną nam gardła, to niech zrobią to teraz, zanim zacznie się upał.

Jego ponury dowcip był niezamierzony, lecz Valeria pomyślała, że może być proroczy. Wstała i również poprawiła swój pas i miecz. Wczorajsze przerażenie minęło, a ryczące smoki z odległego lasu stały się niepewnym wspomnieniem. Dziarsko stawiała stopy obok Cymmerianina. Cokolwiek ich oczekiwało, ich wrogami będą ludzie, a Valeria z Krwawego Bractwa nie spotkała jeszcze człowieka, którego by się obawiała. Conan popatrzył na nią, gdy tak szła krokiem podobnym do jego stąpania.

— Maszerujesz jak góral, a nie jak żeglarz — powiedział. — Musisz być Aquilonką. Słońce Darfaru nie opaliłoby twojej skóry. Niejedna księżniczka pozazdrościłaby ci.

— Urodziłam się w Aquilonii — odpowiedziała. Jego komplementy już jej nie drażniły. Widoczny podziw, jakim ją obdarzał, sprawiał jej przyjemność. Jednocześnie nie wykorzystał przewagi, którą uzyskał, gdy uległa przerażeniu, a jeszcze na dodatek zastąpił ją na warcie. Gdyby kto inny to uczynił, wpadłaby we wściekłość. Ostatecznie, pomyślała, Conan nie jest przeciętnym mężczyzną.

Słońce wyłoniło się ponad miastem, barwiąc wieże złowieszczym szkarłatem.

— Czarne przy świetle księżycy — szeptał Conan z oczyma zamglonymi barbarzyńskimi przesądami — a krwawe jak ponura przestroga w porannym słońcu. Nie podba mi się to miasto!

Mimo tych uwag szli w jego stronę. W drodze Conan zauważył, iż z północy nie wiódł do grodu żaden trakt.

— Nie ma śladów bydła z tej strony grodu — powiedział — i od wielu lat nikt nie orał tej ziemi. Spójrz! Jednak kiedyś ją uprawiano.

Valeria zobaczyła pradawne rowy nawadniające, które pokazywał, miejscami zasypane niemal i zarośnięte kaktusami. Zatraskana ściągnęła brwi, wodząc wzrokiem po rozciągającej się na wszystkie strony równinie ograniczonej niewyraźną linią puszczy. Niechętnie skierowała swoje oczy na miasto. Między krenelażem nie połyskiwały hełmy i groty włóczy, nie odezwały się trąby, z baszt nie okrzykiwała się straż. Nad murami i wieżami panowała całkowita cisza.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy stanęli pod wielką bramą w północnej stronie miasta. Rdza splamiła żelazne okucia potężnych wrót z brązu. Na zawiasach, progu i wiązaniach zwieszały się grube, srebrzyste pajęczyny.

— Tej bramy nie otwierano od lat! — krzyknęła Valeria.

— To martwe miasto — powiedział Conan. — Dlatego kanały są zasypane, a ziemia leży odłogiem.

— Kto je zbudował? Kto w nim mieszkał? Dlaczego jest opuszczone?

— Kto to wie? Może wzniesli je stygijscy banici. A może nie. Stygijczycy inaczej budują. Może ludność wymordowali najeźdźcy, a może zaraza...

— W takim wypadku ich skarby leżą gdzieś przykryte kurzem i otoczone pajęczynami — wtrąciła

Valeria, w której obudziła się chęć posiadania, nieodłączna cecha jej profesji, spotęgowana kobiecą ciekawością.

— Może zdołamy otworzyć te wrota? Wejdziemy i rozglądniemy się troszeczkę!

Conan z dużymi wątpliwościami przyglądał się masywnym wrotom, ale oparł o nie swoje mocarne ramiona i pchnął z całych sił. Brama drgnęła i uchyliła się z przeraźliwym zgrzytem zardzewiałych zawiasów. Conan wyprostował się i dobył miecza. Valeria zaglądnęła mu przez ramię i krzyknęła ze zdumienia. Oczom ich nie ukazała się ulica czy plac, tak jak należało się tego spodziewać. Uchyłona brama, a raczej drzwi, ukazywała długi i szeroki korytarz, którego koniec ginał w półmroku. Pomieszczenie o gigantycznych rozmiarach miało podłogę z kwadratowych płyt wykonanych z dziwnego kamienia, który płonął czerwonym blaskiem płomieni. Ściany wyłożone były błyszczącym, zielonym minerałem.

— Niech mnie nazywają Shemitą, jeżeli to nie jest jaspis! — powiedział z podnieceniem Conan.

— Nie w takiej ilości — zaprotestowała Valeria.

— Złupiłem zbyt dużo karawan z Khitaju, bym nie wiedział, co mówię — zapewnił.

— To jaspis!

Łukowe sklepienie wyłożone było niezliczoną ilością wielkich kamieni, mieniących się zielonymi, jadowitymi ognikami.

— Zielone kamienie ognia — mruknął Conan. — Tak nazywają je mieszkańcy Punt. Mówią o nich, że są to skamieniałe oczy prehistorycznych węży, które starożytni zwali Złotymi Wężami. Jarzą się w ciemnościach jak kocie oczy. W nocy rozjaśniłyby cały korytarz, ale byłoby to morderczo posępne oświetlenie. Rozejrzyjmy się. Może znajdziemy jakieś pozostawione skarby.

— Zamknij bramę — doradziła Valeria. — Jakoś nie bardzo chciałabym się uganiać ze smokami w tym korytarzu.

Conan roześmiał się i odparł:

— Nie sądzę, by smoki w ogóle wychodziły z puszczy.

Uczynił jednak, jak radziła, po czym wskazał na złamany rygiel.

— Wydawało mi się, że coś pęka, kiedy naparłem na bramę. Ta sztaba jest dopiero co złamana. Rdza przeżarła ją na wskroś. Gdyby ludzie opuścili to miasto, to po co zamykaliby bramę od wewnątrz?

— Mogli wyjść inną bramą — przypuszczała Valeria. Zastanawiała się, ile wieków upłynęło, gdy po raz ostatni dzienne światło dotarło poprzez otwartą bramę do tego wielkiego korytarza. Słońce docierało tu jednak w jakiś sposób i szybko odkryli jego drogę. Wysoko, w łukowym sklepieniu zostawiono otwory, osadzając w nich przezroczyste płyty z krystalicznej materii. W cieniu między

nimi grały iskrami, błyszcząc jak rozzłoszczone kocie oczy, zielone klejnoty. Pod ich stopami płonęła posępnie czerwona posadzka. Szli jakby dnem piekła, mając nad głowami upiornie migoczące gwiazdy. Wzdłuż korytarza po każdej stronie biegły trzy arkadowe krużganki.

— Czteropoziomowa budowla — stwierdził Conan — a ten korytarz sięga dachu i ciągnie się jak ulica. Wydaje mi się, że na końcu widzę bramę.

Valeria wzruszyła białymi ramionami.

— To znaczy, że twoje oczy są lepsze od moich, choć między piratami znana jestem z sokolego wzroku.

Wybrali pierwsze z brzegu drzwi i przemierzili kilka pustych komnat o czerwonych posadzkach, ścianach z zielonego jaspisu, kości słoniowej, marmuru lub heliotropu inkrustowanych brązem, srebrem i złotem. W suficie płonęły demonicznym blaskiem kamienie ognia. W ich magicznej poświacie dwoje intruzów poruszało się jak zjawy. Niektóre z komnat nie lśniły tym upiornym światłem, a drzwi do nich straszyły taką czernią jak piekielna brama. Conan z Valerią unikali tych pomieszczeń, wchodząc jedynie do rozświetlonych widmowym światłem.

W kątach zwieszały się pajęczyny, jednak posadzki oraz wypełniające komnaty stoły i siedziska z marmuru i jaspisu wolne były od kurzu. Gdzieś wisią gobeliny z khitajskiego jedwabiu, który jest praktycznie wieczny. Nigdzie jednak nie znaleźli okien czy drzwi wychodzących na ulice lub place. Każde przejście prowadziło do następnego pomieszczenia.

— Dlaczego nie wychodzimy na ulicę — narzekała Valeria. — Ten pałac jest wielki jak seraj władcy Turanu.

— Nie zginęli od zarazy — powiedział Conan, rozmyślając nad tajemnicą opuszczonego miasta. — W przeciwnym razie znaleźlibyśmy szkielety. Może to miasto jest we władaniu złych mocy i wszyscy uciekli? Może...

— Może! I co z tego! — przerwała mu Valeria. — Nigdy się tego nie dowiemy. Popatrz na te fryzy — przedstawiają ludzi. Do jakiej rasy należą?

Conan przyjrzał się uważnie i zaprzeczył głową.

— Nigdy nie widziałem takich ludzi, ale jest w nich coś wschodniego. Być może Vendhya lub Kosala.

— Byłeś królem Kosalan? — spytała, kpiną maskując zainteresowanie.

— Nie, ale przewodziłem Afghulisom w górach Himelii niedaleko od granic z Vendhyi. Ci ludzie na płaskorzeźbach przypominają Kosalan. Tylko po co Kosalanie mieliby budować miasto tak daleko na zachód?

Sceny ukazywały szczupłych mężczyzn i kobiety o subtelnie rzeźbionych, egzotycznych rysach. Wszyscy nosili delikatne, zwiewne tuniki i wysadzone klejnotami ozdoby, a przedstawieni byli

przede wszystkim w tańcu, zabawie i miłosnych uniesieniach.

— Z całą pewnością pochodzą ze wschodu — powtórzył Conan. — Jednak nie potrafię określić skąd. Musieli prowadzić nieprzyzwoicie pokojowe życie, gdyż w przeciwnym razie nie brakowałoby tu scen z wojen. Wejźmy po tych schodach.

Krętymi schodami z kości słoniowej doszli do obszernej komnaty na czwartej, prawdopodobnie ostatniej kondygnacji budynku. Przez otwory w suficie wpadało do komnaty światło. Przygaszone słońcem kamienie ognia świeciły blado. Zaglądając przez drzwi, znajdowali podobne, oświetlone komnaty. Jedne tylko drzwi prowadziły na otaczający korytarz krużganek, o wiele mniejszy od tego, którym rozpoczęli wędrówkę.

— Niech to piekło pochłonie! — Valeria zniechęcona usiadła na jaspisowej ławie.

— Uciekając z miasta, musieli zabrać wszystkie skarby ze sobą. Mam już dosyć tego włóczenia się po pustych komnatach.

— Chyba wszystkie górne komnaty są oświetlone — rzekł Conan. — Chciałbym znaleźć okno z widokiem na miasto. Zobaczmy, co jest za tymi drzwiami.

— Sam zobacz — wymówiła się Valeria. — Ja tu posiedzę i dam odpocząć nogom. Conan znikł w drzwiach przeciwnych tym, które prowadziły na krużganek, a Valeria oparła się o ścianę z dłońmi pod głową i wyprostowała nogi. Cisza bijąca z komnat i korytarzy zaczęła ją przygnębiać. Myślała tylko o wyjściu z labiryntu, w który brnęli od pewnego czasu i wydostaniu się na ulicę.

Próbowała sobie wyobrazić, czyje stopy skradały się po tych płonących posadzkach w minionych wiekach, ile okrutnych i tajemniczych czynów widziały mrugające na sufitach klejnoty, gdy cichy dźwięk przerwał jej rozmyślenia. Nim zdołała pojąć, co ją zaniepokoiło, stała na nogach z mieczem w ręku. Conan jeszcze nie wrócił i wiedziała, że to nie jego usłyszała.

Dźwięk dochodził zza drzwi prowadzących na krużganek. Przemknęła przez nie bezszelestnie na miękkich, skórzanych podszewkach, podkrađła się do balustrady i spojrzała między masywnymi słupkami. Korytarzem skradał się człowiek!

Widok ludzkiej istoty w mieście uznanym za opuszczone był dla Valerii niemałym zaskoczeniem. Schowana za kamienną balustradą śledziła wzrokiem skradającą się sylwetkę, czując nerwowe mrowienie na całym ciele. Mężczyzna był niepodobny do postaci z płaskorzeźb. Był niewiele więcej niż średniego wzrostu, o ciemnej, lecz nie czarnej skórze, w skąpej przepasce na biodrach i szerokim skórzanym pasie w talii. Czarne, długie i proste włosy zwisały mu do ramion, nadając dziki wygląd. Wychudzone ciało odznaczało się węzłami mięśni na ramionach i nogach, które pozbawione były miękkiej tkanki tłuszczowej, nadając przyjemny wygląd. Oszczędna budowa jego ciała sprawiała niemal odpychające wrażenie. Jednak nie jego wygląd, a zachowanie wywarło na Valerii jeszcze większe wrażenie.

Poruszał się skulony i rozglądał na boki. W prawej ręce, drżącej z emocji, trzymał krótki miecz o szerokim ostrzu.

Był przerażony, niemal oszalały ze strachu. Gdy obrócił się, dojrzała pod czarnymi włosami błysk dzikich, szalonych oczu.

Nie widział jej. Przemknął na palcach przez korytarz i zniknął za otwartymi drzwiami. W chwilę później usłyszała stłumiony krzyk i znów zapadła cisza. Popychana ciekawością dziewczyna przekradła się do drzwi znajdujących się piętro wyżej od tych, w które wszedł mężczyzna. Dotarła do mniejszego krużganka wokół dużej komnaty na trzecim piętrze, której sufit leżał niżej od stropu korytarza. Oświetlały ją tylko kamienie ognia, lecz ich upiorny, zielony blask nie docierał pod krużganek. Valeria otworzyła oczy ze zdumienia. Człowiek, którego widziała, był w komnacie. Leżał twarzą w dół na ciemnoczerwonym dywanie, w środku sali. Ręce miał szeroko rozłożone, a ciało bezwładne. Miecz leżał obok niego.

Zastanawiała się, dlaczego leży tak nieruchomo. Przyjrzała się dokładniej dywanowi i zmrużyła oczy. Materia wokół leżącego miała inną barwę — jasną i bardziej żywą. Lekko drżąc skuliła się za balustradą, nieustannie wpatrując się w cień pod krużgankiem. Niczego jednak nie dostrzegła.

Wtem pojawiła się druga osoba tego ponurego dramatu. Drzwiami z przeciwległej strony wszedł mężczyzna przypominający pierwszego. Oczy mu zalśniły na widok postaci rozciągniętej na dywanie. Wyrzekł coś, co zabrzmiało jak „chicmec”. Leżący nie ruszył się.

Mężczyzna szybko podszedł do niego, pochylił się i ciągnąc za ramię obrócił go. Zdławił w krtani krzyk, gdy głowa bezwładnie opadła do tyłu, odsłaniając gardło poderżnięte od ucha do ucha. Przybysz puścił ciało na zboczony krwią dywan i poderwał się na nogi, drżąc jak liść na wietrze. Twarz miał bladą ze strachu. Nagle zastygł w bezruchu, patrząc wielkimi oczyma w przeciwległy róg komnaty.

W cieniu pod krużgankiem pojawił się dziwny blask, którego nie mogły spowodować kamienie ognia. Valeria czuła, jak włosy stają jej dęba, gdy na to patrzyła. Niemal niedostrzegalna w pulsującej poświacie, unosiła się w powietrzu ludzka czaszka i z niej to właśnie, niesłychanie niekształtnej, emanowało upiorne światło. Wisiała tak, wydobyta z ciemności, coraz bardziej widoczna, ludzka i nieludzka jednocześnie. Mężczyzna stał jak posąg, przerażony, wpatrując się w zjawę. Ta ruszyła ku niemu, rzucając groteskowy cień, w którym powoli dało się poznać podobną do człowieka postać o nagim korpusie i członkach bladych jak kości. Czaszka na jej barkach patrzyła martwymi oczodołami na nie mogącego oderwać od niej wzroku człowieka. Stał w ciszy, w jego pozbawionej czucia ręce kołysał się miecz, a na twarzy malował się wyraz hipnotycznego posłuszeństwa.

Do Valerii dotarło, iż nie tylko strach sparaliżował mężczyznę. W pulsującym świetle była jakaś piekielna moc, która pozbawiła go chęci myślenia i działania. Nawet ona sama, bezpieczna na krużganku, czuła słaby napór tajemniczej siły zagrażającej zmysłom. Zjawa posuwała się w kierunku swojej ofiary, która wreszcie poruszyła się: mężczyzna upuścił miecz i zakrywając rękoma twarz, padł na kolana. Otumaniony, czekał na uderzenie miecza błyszczącego w ręce zjawy, stojącej nad nim, jak triumfująca nad ludzkością śmierć.

Valeria postąpiła zgodnie ze swą nieobliczalną naturą. Jednym tygrysim skokiem przesadziła balustradę i wyładowała na posadzce za plecami przerażającej postaci. Na głuchy odgłos jej butów

zjawą odwróciła się, jednak w tym samym momencie miecz opadł i dzika radość ogarnęła Valerię, gdy poczuła, że ostrze tnie śmiertelne ciało. Zjawą zacharczała i padła, cięta przez bark i kręgosłup. Gorejąca czaszka potoczyła się po posadzce, a oczom ukazała się, wykrzywiona w agonii, ciemnoskóra twarz z czarnymi włosami. Pod przerażającą maską krył się mężczyzna, podobny do klęczącego na dywanie. Niedoszła ofiara na odgłos ciosu i krzyku podniosła głowę. Zdumiony człowiek patrzył teraz oszołomiony na kobietę o białej skórze, stojącą nad trupem ze skrwawionym mieczem w dłoni. Wstał chwiejnie mruczając coś pod nosem, jakby całe wydarzenie pozbawiło go rozsądku. Valeria ze zdumieniem stwierdziła, że go rozumie. Mówił po stygijsku, choć dialektem, którego nie знаła.

— Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Co robisz w Xuchotl? — nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. — Nie istotne czyś boginią czy demonem, jesteś moim przyjacielem! Zabiłaś Płonący Czerep! To tylko człowiek chował się pod nim! Myśleliśmy, że to demon, którego oni wezwali z katakumb. Słuchaj!

Gwałtownie skończył swoje nieskładne słowa i z wielką uwagą słuchał. Do uszu dziewczyny nic nie dotarło.

— Musimy się spieszyć — mówił cicho. — Oni są na zachód od Wielkiej Sali! Mogą nas okrążyć! Może już się skradają!

Chwycił jej rękę uściskiem, z którego ledwo się wyrwała.

— Jacy „oni”? — spytała go.

Przez moment patrzył na nią w ciszy, jakby nie mógł pojąć jej ignorancji.

— Oni? — zaczął niewyraźnie. — No... ludzie z Xotalanc! Tam mieszka klan mężczyzny, którego zabiłaś. Mieszkają przy wschodniej bramie.

— To znaczy, że miasto jest zamieszkałe? — podniosła głos.

— Tak! Tak! — kręcił się niecierpliwie. — Chodźmy już! Chodź szybko! Musimy wracać do Tecuhltli!

— Gdzie to jest? — spytała.

— To dzielnica przy zachodniej bramie!

Ponownie chwycił ją za rękę i ciągnął w kierunku drzwi, którymi wszedł. Wielkie krople potu spływały mu po ciemnym czole, a oczy zdradzały strach.

— Chwilę! — warknęła, wrywając rękę z uścisku. — Łapy przy sobie, bo ci łeb rozwałę! o co tu chodzi? Kim jesteś? Dokąd mamy iść?

Zebrał się do kupy i rzucając na boki niespokojne spojrzenia, zaczął mówić tak szybko, że słowa zlewały się w całość.

— Nazywam się Techotl. Jestem Tecuhtli. Ja i ten człowiek, który leży z poderżniętym gardłem, przyszlismy do Sali Ciszy urządzić zasadzkę na Xotalan. Rozdzieliliśmy się i gdy tu wróciłem, znalazłem go martwego. Wiem, że zrobił to Płonący Czerep. Tak samo postąpiłby ze mną, gdybyś się nie pojawiła. Ale on mógł nie być sam. Inni Xotalanie mogą nas zaskoczyć! Nawet bogowie drżą na myśl o losie tych, którzy wpadną żywcem w ich łapy!

Na myśl o strasznym losie pojmanych zatrzęsł się jak w febrze, a jego twarz zrobiła się popielata. Valeria zachmurzyła się w zamyśleniu. Czuła, że w tym gadaniu jest jakiś sens, ale nie potrafiła go wydobyć. Odwróciła się w stronę nadal płonącej czaszki. Zamierzała kopnąć ją obutą nogą, gdy człowiek zważy się Techotlem skoczył do niej z krzykiem. — Nie dotykaj jej! Nawet nie patrz na nią. W niej ukryte jest szaleństwo i śmierć. Magowie Xotalanc pojęli jej sekret. Znaleźli ją w katakumbach, gdzie spoczywają prochy straszliwych królów, którzy władali Xuchotl w dawnych, czarnych wiekach. Jej widok mrozi krew i niszczy umysł człowieka, który nie pojmuje jej tajemnicy, a dotknięcie powoduje szaleństwo i śmierć.

Nie wiedząc, co robić, spojrzała na niego groźnie. Nie wzbudzał zaufania swą szczupłą, muskularną sylwetką i gwałtownymi ruchami. W jego oczach pod błyskiem przerażenia krył się upiorny blask, jakiego dotąd nie widziała u zdrowego człowieka. Mimo to jego ostrzeżenie wyglądało na szczerze.

— Chodź — prosił, wyciągając rękę i szybko chowając ją, gdy przypomniał sobie jej ostrzeżenie. — Jesteś obca. Nie wiem, jak się tu dostałaś, ale nie jesteś boginią czy demonem. Inaczej nie pytałabyś o wszystko. Chodź pomóc Tecuhtli, a dowiesz się wszystkiego o co mnie pytałaś. Musisz być zza wielkiej puszczy, skąd przybyli nasi przodkowie. Jesteś przyjacielem, bo inaczej nie zabiłabyś mojego wroga. Chodź szybko, zanim Xotalancowie znajdą nas i zabiją!

Valeria przeniosła spojrzenie z jego odstręczającej, roznamiętionej twarzy na złowieszczą czaszkę, jarzącą się na posadzce obok trupa. Niezaprzeczalnie ludzka, jednak niepokojąco zdeformowana i nieproporcjonalna, wyglądała jak wymysł skrzywionej wyobraźni. Istota, do której należała, musiała być potworna i odrażająca za życia. Za życia? Zdawało się, że sama żyła własnym życiem. Szczęki rozwarły się nagle i zamknęły z trzaskiem. Poświata stawała się jaśniejsza, pulsowała coraz szybciej i niepokojące uczucie stawało się coraz silniejsze. To sen, to wszystko jest snem, życie...

Natarczywy głos Techotla wyrwał Valerię z mrocznych otchłani, w jakie się zapadała.

— Nie patrz na ten czerep! Nie patrz! — dochodził do niej krzyk, jak z nieogarniętej pustki.

Valeria otrząsnęła się jak lew i znów ujrzała wszystko wyraźnie. Techotl szybko mówił:

— Za życia, w tej czaszce krył się mózg straszliwego króla magów! Nadal jest w niej życie i magiczna siła!

Zwinnie jak pantera Valeria rzuciła się z przekleństwem na ustach i czaszka rozprysnęła się na tysiące kawałków pod ciosem jej miecza.

W tej samej chwili w komnacie, a może w odległych zakamarkach jej świadomości rozległ się stłumiony, nieludzki krzyk bólu i szaleństwa. Techotl, ściskając rękę dziewczyny bełkotał:

— Roztrzaskałaś go! Zniszczyłaś! Teraz cała mroczna wiedza Xotalan nie zdoła go wskrzesić! Chodź stąd! Szybko!

— Nie mogę — sprzeciwiła się. — Gdzieś tu w pobliżu jest mój przyjaciel...

Nagły błysk w jego oczach sprawił, że urwała w pół zdania. Patrzył jej przez ramię z paniką na twarzy. Odwróciła się w chwili, w której czterech mężczyzn wtargnęło przez kilka drzwi, pędząc ku stojącej na środku dywanu parze.

Byli podobni do tych, których widziała już wcześniej, o takich samych prostych kruczoczarnych włosach, ze zwojami mięśni na chudych kończynach i z szaleństwem w szeroko otwartych oczach. Ubiorem i bronią przypominali Techotla. Rzeczą, która ich wyróżniała, była wymalowana na piersiach czaszka.

Bez pogroźek i bojowych okrzyków Xotalancowie rzucili się wrogom do gardeł, jak żądne krwi tygrysy. Techotl stawiał im czoła z furią beznadziejności. Uchylił się przed szerokim ostrzem i zwarłszy się z napastnikiem powalił go na posadzkę, gdzie zmagali się bez słowa w morderczym uścisku.

Pozostała trójka naparła na Valerię. Ich posępne oczy nabiegły krwią jak ślepie wściekłych psów. Zabiła pierwszego, który znalazł się w zasięgu jej miecza, zanim zdążył zadać cios. Długa, prosta głownia rozłupała mu czaszkę w chwili, gdy uniósł swój miecz, by uderzyć. Uskoczyła przed pchnięciem drugiego napastnika, zbijając jednocześnie cięcie trzeciego. Oczy jej groźnie błyszcząły, a na ustach zawitał bezlitosny uśmiech. Znowu była Valerią z Krwawego Bractwa i świst powietrza przecinanego stalą brzmiał w jej uszach jak weselna pieśń.

Miecz Valerii przeszedł przez gardę przeciwnika i wbił się na sześć cali w osłonięty skórzany pasem brzuch. Mężczyzna upadł na kolana z jękiem agonii, ale jego wysoki towarzysz runął wściekle, uderzając raz za razem z takim impetem, że Valeria nie miała sposobności zadania ciosu. Cofała się z chłodną rozwagą, zbijając uderzenia i czekając na odpowiednią chwilę, by zadać śmiertelny cios. Nie będzie mógł zbyt długo utrzymać tego huraganu ciosów — myślała. Jego ramię osłabnie, zabraknie mu tchu, zmęczy się i osłabną jego ciosy, a wtedy moja głownia gładko wejdzie w jego serce. Kątem oka ujrzała Techotla klęczącego na piersi przeciwnika i próbującego uwolnić rękę uzbrojoną w sztylet. Pot zalewał czoło jej napastnika, a oczy płonęły jak węgle. Wyężając całe swoje siły nie był w stanie przełamać lub zachwiać jej obrony. Jego oddech stał się nierówny i urywany, a ciosy padały nieskładnie. Valeria odskoczyła do tyłu, by utracił równowagę, lecz jej nogi znalazły się w stalowym uścisku. Zapomniała o ranionym przeciwniku.

Klęcząc na posadzce, ranny pochwycił ją, obejmując oburącz uda, a jego towarzysz zaśmiał się z triumfem i zachodził ją z lewej strony. Valeria szarpała się i wyrywała na darmo. Mogła uwolnić się z niebezpiecznego uchwytu jednym uderzeniem miecza, ale jednocześnie krzywa klinga wysokiego wojownika roztrzaskałaby jej czaszkę. Ranny, niczym dzika bestia wbił zęby w jej nagie udo.

Sięgnęła lewą ręką i trzymając za długie włosy odchyliła jego głowę do tyłu tak, że ujrzała jego twarz z lśnącymi białymi zębami i błędnym wzrokiem. Wysoki napastnik krzyknął gniewnie i skoczył, uderzając z całej siły. Dziewczyna niedostatecznie odparowała jego cios i klinga płazem uderzyła ją w głowę, aż zobaczyła wszystkie gwiazdy. Zachwiała się. Wojownik ponownie uniósł broń, wydając przy tym okrzyk zwierzęcego triumfu. Nagle pojawiła się za nim gigantyczna postać i błysnęła stal. Okrzyk napastnika urwał się gwałtownie, a on sam padł jak wół pod toporem rzeźnika, z mózgiem rozpryskującym się z czaszki rozłupanej aż po krtań.

— Conan! — wykrztusiła Valeria. W przypiływie szału odwróciła się ku Xotalancowi, którego włosy nadal trzymała w lewej ręce. — Do piekła, psie!

Jej klinga przecięła powietrze ze świstem i bezgłowe ciało upadło głucho, tryskając krwią. Odrzuciła od siebie odrąbaną głowę.

— Co tu się dzieje, do diabła? — Conan ze swym olbrzymim mieczem przeszedł obok ciała człowieka, którego przed chwilą zabił, patrząc na niego z zaskoczeniem.

Krwawiąc z głębokiej rany na udzie Techotl podniósł się znad drgającego w agonii ostatniego Xotalanca i strzasnął czerwone krople z klingi sztyletu. Patrzył na Conana szeroko otwartymi oczyma.

— Co to wszystko znaczy? — dopytywał się Conan. Jeszcze nie otrząsnął się z zaskoczenia faktem, że zastał Valerię wplątaną w zażartą bitwę z tymi dziwnymi mieszkańcami miasta, które uznał za niezamieszkałe. Wróciwszy z bezowocnej wędrowki po górnych komnatach, stwierdził, że Valerii nie ma w miejscu, gdzie ją zostawił i ruszył w kierunku, z którego dochodziły odgłosy zbrojnego starcia.

— Pięć martwych psów! — wykrzyknął Techotl z oczami płonącymi szatańską radością. — Pięciu zabitych! Pięć czerwonych ćwieków w czarnej kolumnie! Dzięki wam bogowie krwi!

Uniósł w górę drżące ręce, po czym ze zwierzęcą twarzą począł pluć na ciała i kopać je tańcząc z szatańskiej uciechy. Jego nowi sprzymierzeńcy patrzyli na niego ze zdumieniem.

— Kim jest ten szaleniec? — zapytał Conan po Aquilońsku.

Valeria wzruszyła ramionami.

— Twierdzi, że ma na imię Techotl. Z jego bełkotu zrozumiałam, że jego klan mieszka na jednym końcu tego zwariowanego grodu, a ci — wskazała głową na leżących — na drugim. Chyba lepiej będzie iść z nim. Wygląda na przyjaźnie nastawionego, a jak widziałeś — ci drudzy nie powitali nas z otwartymi ramionami.

Techotl przestał tańczyć i ponownie nasłuchiwał z przekreśloną głową, podobny do psa. Na jego odrażającej twarzy strach walczył z triumfem.

— Chodźmy stąd... Jak najszybciej! — szepnął. — Dość uczyniliśmy! Pięć martwych psów! Mój lud powita was z radością! Uhonoruje! Chodźmy! Do Tecuhltli daleka droga. W każdej chwili Xotalancowie mogą nadejść w zbyt dużej sile nawet dla waszych mieczy!

— Prowadź! — zgodził się Conan.

Techotl natychmiast podążył ku schodom prowadzącym na krużganek, dając im znak, by poszli jego śladem. Ruszyli pośpiesznie trzymając się tuż za nim. Osiągnąwszy galerię, wstąpili w prowadzące na zachód korytarze i szybko przemierzali komnatę za komnatą. Wszystkie pomieszczenia były oświetlone światłem kamieni ognia lub światłem padającym przez otwory w sufitach.

— Ciekawe, o co w tym wszystkim chodzi i co to za lud? — cicho powiedziała Valeria.

— Crom wie! — odparł Conan. — Widziałem już jemu podobnych. Mieszkają nad jeziorem Zuad przy granicy Kush. Są potomkami Stygijczyków i obcej rasy, która przybyła do Stygii kilka wieków wcześniej ze wschodu i została tam wchłonięta. Nazywają siebie Tlazitlanami. Idę o zakład, że to nie oni wybudowali to miasto.

Pomimo tego, iż oddalali się od komnaty, gdzie leżeli zabici, nic nie wskazywało na to, by strach Techotla zmniejszył się. Bezustannie obracał głową, nasłuchując odgłosów pościgu i wpatrywał się ze wzmożoną uwagą w każde mijane drzwi.

Również i Valeria drżała mimowolnie, choć nie bała się żadnego człowieka. Posępna posadzka pod jej stopami, niesamowity blask klejnotów, schowane w kątach cienie i strach milczącego przewodnika napełniały jej serce dziwnym niepokojem i przeczuciem niebezpieczeństwa.

— Mogą być między nami a Tecuhtli — szepnął Techotl. — Musimy się strzec zasadzki!

— Dlaczego zatem nie wyjdziemy z tego piekielnego pałacu i nie pójdziemy ulicami? — spytała Valeria.

— Nie ma ulic w Xuchotl — odrzekł — ani placów, ani dziedzińców. Całe miasto jest olbrzymim pałacem pod jednym dachem. Najbardziej przypomina ulicę Wielka Sala, prowadząca od bramy północnej do południowej. Jedynym wyjściem na zewnątrz są trzy bramy miejskie, ale od ponad pięćdziesięciu lat nie przekroczył ich żaden człowiek.

— Jak długo mieszkacie tutaj? — spytał Conan.

— Urodziłem się w Tecuhtli trzydzieści pięć lat temu. Nigdy nie postawiłem stopy za murami miasta. Na bogów, bądźmy cicho! Te sale mogą być pełne zaczajonych wrogów. Olmec opowie wam wszystko, gdy dotrzemy do Tecuhtli.

Dalej posuwali się w ciszy. Zielone klejnoty błyszczały nad ich głowami, posadzki płonęły piekielnym blaskiem i Valerii zdawało się, że idą przez Otchłanie wiedzeni przez ciemnoskórego goblina o prostych włosach. Gdy przechodzili przez niepospolicie szeroką komnatę, Conan nakazał im zatrzymać się. Jego wprawiony w leśnej dziczy słuch był jeszcze ostrzejszy niż wyćwiczone przez lata walki w tych cichych korytarzach uszy Techotla.

— Myślisz, że kilku twoich wrogów mogło urządzić przed nami zasadzkę?

— Penetrują te komnaty bez ustanku — odpowiedział Techotl — podobnie jak i my. Komnaty i korytarze między Tecultli a Xotalanc są obszarem spornym — nikt nimi nie włada. Nazywamy je Salami Ciszy. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ w komnacie przed nami są ludzie — rzekł Conan. — Słyszałem brzęk stali o kamień.

Techotl znów zadrżał i zacisnął zęby, aby nie szczękały.

— Może to twoi ludzie? — rzuciła Valeria.

— Nie będziemy sprawdzać, to zbyt niebezpieczne — wy sapał i popędził przez boczne drzwi do komnaty na lewo, z której schody z kości słoniowej prowadziły w dół, w mrok.

— Prowadzą do nieoświetlonego korytarza pod nami! — wysyczał, a olbrzymie krople potu świeciły mu się na czole. — Tam też mogą się czaić. To może być podstęp, aby nas tam zwabić. Zaryzykujmy i przyjmijmy, że zastawili na nas pułapkę w komnatach na górze. Szybko... cicho!

Bezszelestnie jak zjawy zbiegli po schodach do ciemnego jak noc korytarza. Przez chwilę czekali nasłuchując, po czym wtopili się w ciemność.

Przez plecy Valerii przechodziły ciarki, gdy idąc po ciemku w każdej chwili spodziewała się śmiertelnego uderzenia. Poza żelaznym uściskiem palców Conana na ramieniu nie czuła cielesnej obecności swych towarzyszy. Czynili mniej hałasu niż koty. Wokół panowała absolutna ciemność. Dziewczyna wyciągniętą dłonią dotykała ściany, od czasu do czasu wyczuwając pod palcami drzwi. Zdało się, że korytarz nie ma końca.

Nagle docierający z tyłu dźwięk zmusił ich do działania. Nowy dreszcz przebiegi Valerię, rozpoznała odgłos cicho otwieranych drzwi. Jacyś ludzie weszli do korytarza za ich plecami. Jednocześnie potknęła się o ludzką czaszkę, która potoczyła się po posadzce z przeraźliwie głośnym łoskotem.

— Biegiem! — krzyknął Techotl histerycznym głosem i pognał korytarzem niczym duch.

Valeria raz jeszcze poczuła, jak ramię Conana prawie unosi ją w powietrzu i ciągnie za oddalającym się przewodnikiem. Conan nie widział lepiej niż ona w ciemności, ale wiedziony swym instynktem nie zmylił drogi. Bez jego pomocy przewróciłaby się lub zderzyła ze ścianą. Gnali korytarzem, a cichy tupot ścigających przybliżał się.

Nagle Techotl wydusił:

— Na schody! Za mną! Szybko, szybko!

Wyciągnął w mroku rękę i pochwycił Valerię, gdy potknęła się na stopniach.

Czuła, jak prawie wciągnęli ją po schodach. W pół drogi Conan puścił jej ramię i odwocił się. Słuch i instynkt mówiły mu, że prześladowcy są już niemal za ich plecami.

Nie wszystkie dźwięki wywołane były przez ludzkie istoty.

Coś wpełzało na schody, wiło się, szurało i mroziło krew w żyłach. Conan ciął swym wielkim mieczem i poczuł, że głównia rozcina ciało i kość i wbija się głęboko w stopnie. Jego stopy dotknęło coś zimnego jak powiew mrozu, po czym ciemność w dole przeszły przerażające trzaski i konwulsje oraz krzyk człowieka w agonii.

W chwilę później Conan przebył schody i otwarte drzwi na ich końcu. Techotl i Valeria już tam byli. Techotl zatrzasnął drzwi i zamknął zasuwę — pierwszą, jaką ujrzał Conan od chwili, gdy przekroczyli bramy miasta.

Tecuhltlanin obrócił się i pobiegł w głąb jasno oświetlonej komnaty, w której przebywali. Kiedy przebiegali przez wejście u jej końca. Conan obrócił się i zobaczył, jak zamknięte drzwi uginają się i trzeszczą pod gwałtownym naporem z drugiej strony. Techotl powoli odzyskiwał pewność siebie, choć ani na chwilę nie zwolnił kroku i nie zaniechał ostrożności. Zachowywał się jak człowiek znajdujący się na dobrze znanym terenie — niedaleko przyjaciół.

Jednak ponownie wpadł w przerażenie, gdy Conan zapytał go:

— Co to było . to co ciąłem na schodach?

— Ludzie z Xotalanc — odpowiedział nie oglądając się. — Mówiłem przecież, że pełno ich w komnatach.

— To nie był człowiek — mruknął Cymmeriamn. — To pełzało i było zimne jak lód. Myślę, że przeciąłem to na pół. Spadło na ludzi, którzy nas ścigali i musiało jednego z nich zabić.

Techotl odwrócił gwałtownie głowę. Twarz miał popielatoszarą. Z najwyższym trudem przyspieszył kroku.

— To był Pełzacz! Potwór, którego przywołali z katakumb do pomocy! Nigdy go nie widzieliśmy, ale znajdowaliśmy naszych ludzi straszliwie przez niego zmasakrowanych. Na Seta! Pośpieszcie się! Jeżeli podąża naszym tropem — będzie nas ścigał aż do samych wrót Tecuhltli!

— Nie sędzę — mruknął Conan. — Na schodach zadałem mu potężny cios.

— Szybciej! Szybciej! — jęczał Techotl.

Przebiegli przez kilka zielono oświetlonych komnat, przemierzyli szeroką salę i stanęli przed olbrzymią bramą z brązu.

— To jest Tecuhltli! — powiedział Techotl.

Techotl kilkakrotnie uderzył w drzwi zaciśniętą pięścią i stanął bokiem do nich, tak by mógł obserwować salę.

— Bywało i tak, że ludzie ginęli tutaj, gdy sądzili, iż są już bezpieczni.

— Dlaczego nie otwierają bramy? — zapytał Conan.

— Patrzą na nas przez Oko — wyjaśnił Techotl. — Wasz widok zaskoczył ich.

Podniósł głos i zawołał:

— Excelanie, otwieraj! To ja, Techotl! Ze mną są przyjaciele z wielkiego świata za puszcza!

— Otworzą — zapewnił sprzymierzeńców.

— Lepiej żeby się pośpieszyli — powiedział ponuro Conan. — Słyszę, jak coś pełźnie po posadzce do tej sali.

Oblicze Techotla ponownie poszarzało. Zaczął łomotać pięściami w bramę:

— Otwórzcie durnie, otwórzcie! Pełzacz tu nadciąga!

W tej samej chwili wielkie wrota z brązu rozwarły się bezszelestnie, ukazując ciężki łańcuch, a za nim błyszczące groty włóczy i spozierające baczenie twarze o dzikim wyglądem. Po chwili łańcuch opadł i Techotl niemal wciągnął ich przez próg.

Przez szparę w zamykających się wrotach Conan spojrzął w głąb rozległej mrocznej sali i dostrzegł na jej końcu niewyraźny węzowaty kształt. Blade, poruszające się z trudem zwoje wylewały się przez drzwi do obszernej sali, a obrzydliwy skrwawiony łeb kiwał się chwiejnie.

Gdy znaleźli się w czworobocznej komnacie, zasunięto masywne rygle i podniesiono łańcuch. Wrota mogły wytrzymać ciężkie obłężenie, a pilnowało ich czterech strażników — ciemnoskórych i prostowłosych jak Techotl, uzbrojonych w miecze i włócznie. W ścianie obok bramy znajdował się skomplikowany układ luster tak ustawionych, że przez małą szybę z kryształu można było patrzeć na zewnątrz — samemu nie będąc widzianym. Conan domyślił się, że jest to Oko wspomiane przez Techotla.

Strażnicy spoglądali z wielkim zdumieniem na przybyszów. Nie zadawali jednak żadnych pytań, a Techotl nie udzielił im żadnych wyjaśnień. Poruszał się teraz z dużą pewnością siebie, jakby niezdecydowanie i strach opuściły go z chwilą przekroczenia wrót.

— Chodźcie! — ponaglał swoich nowych przyjaciół, ale Conan popatrzył na wrota.

— A co z tymi, którzy nas ścigali? Nie będą szturmować bramy?

Techotl zaprzeczył głową.

— Wiedzą, że nie wyłamią Bramy Orła. Wrócą do Xotalanc wraz z tą pełzającą bestią. Chodźcie! Zaprowadzę was do władców Tecuhltli.

Jeden ze strażników otworzył drzwi po przeciwnej stronie komnaty i wkroczyli do korytarza rozjaśnionego podobnie jak większość pomieszczeń na tym poziomie mrugającymi kamieniami i

światłem padającym przez otwory. Jednak w przeciwieństwie do innych sal — ta nosiła ślady zamieszkania.

Błyszczące nefrytowe ściany pokrywały aksamitne gobeliny, na czerwonych posadzkach leżały grube dywany, a ławy, otomany i fotele z kości słoniowej wyściełane były atlasem. Na końcu sali znajdowały się zdobione, niestrzeżone przez nikogo drzwi. Techotl wszedł bez ceremonii, wprowadzając przybyszów do komnaty. Około trzydzieścioro ciemnoskórych kobiet i mężczyzn, leżących na obitych atlasem sofach skoczyło na ich widok na równe nogi, wydając okrzyk zdumienia.

Z wyjątkiem jednego, wszyscy mężczyźni wyglądali podobnie jak Techotl, ich kobiety także. Dość ładne w pewien posępny, mroczny sposób miały jednak dziwne oczy i zbyt żylaste ciała. Na sobie miały sandały, złote napierśniki i krótkie jedwabne spódniczki, podtrzymywane przez zdobione szlachetnymi kamieniami paski. Włosy ich, czarne, przycięte przy nagich ramionach przytrzymywały srebrne obręcze.

Na nefrytowym podium stał szeroki fotel z kości słoniowej, na którym siedziało dwoje ludzi, różniących się jednak znacznie od pozostałych. On — olbrzym o potężnie zbudowanej piersi i ogromnych barach jako jedyny z obecnych nosił gęstą, kruczoczną brodę, sięgającą prawie do pasa. Okryty był togą z purpurowego jedwabiu, która przy każdym ruchu mieniła się wszystkimi barwami czerwieni. Szeroki, podciągnięty do łokcia rękaw, odsłaniał węzły mięśni na potężnym przedramieniu. Kruczoczarne loki podtrzymywała mu obręcz, wysadzana błyszczącymi klejnotami.

Siedząca u jego boku kobieta, widząc przybyłych, porwała się z okrzykiem zdumienia na równe nogi i zaledwie przelotnie spojrzawszy na Conana, wbiła swój pałacy wzrok w Valerię.

Wysoka i gibka, była najpiękniejszą ze zgromadzonych w komnacie. Strój jej był jeszcze bardziej skąpy niż u innych kobiet; zamiast spódniczki do pasa przymocowane były z przodu i z tyłu jedynie dwa szerokie paski z przetykanej złotem purpurowej tkaniny. Napierśniki i ozdobiona klejnotami obręcz na skroniach uzupełniały strój, noszony z cyniczną obojętnością. Ze wszystkich ciemnoskórych tylko w jej oczach nie można było doszukać się oznak szaleństwa.

Po pierwszym okrzyku zaskoczenia nie odezwała się więcej. Stała z zaciśniętymi pięściami i z napięciem wpatrywała się w Valerię. Mężczyzna w fotelu z kości słoniowej siedział nieruchomo.

— Książę Olmecu — odezwał się Techotl wyciągając ręce grzbietami w dół — przyprowadziłem sprzymierzeńców ze świata za puszczą. W Komnacie Tezcota Płonący Czerep zabił Chicmeca, z którym byłem.

— Płonący Czerep! — odezwały się przerażone głosy.

— Tak! Potem wróciłem i znalazłem Chicmeca z poderżniętym gardłem. Nie zdążyłem uciec. Płonący Czerep dopadł mnie i gdy na niego spojrzałem, krew zamieniła mi się w lód, a szpik wysuszył się w moich kościach. Nie mogłem ani walczyć, ani uciec. Mogłem jedynie czekać na śmierć. Wtedy pojawiła się ta białoskóra kobieta, powaliła go swoim mieczem i... słuchajcie! To był xotalański pies utrefiony na biało i z żyjącą czaszką prastarego czarnoksiężnika na głowie! Teraz czerep jest roztrzaskany, a kundel, który ją nosił, nie żyje!

Ostatnie słowa wypowiedział z nieopisanym, szalonym uniesieniem i grono słuchaczy zawtórowało dzikimi okrzykami radości.

— Czekajcie! — krzyknął Techotl. — To nie wszystko! Gdy rozmawiałem z kobietą, napadło nas czterech Xotalancan! Jednego ja zabiłem, ta rana w moim udzie jest świadectwem zaciekłości tej walki. Dwóch położyła kobieta. Byliśmy w poważnych kłopotach, gdy wpadł ten mężczyzna i roztrzaskał łeb czwartemu. Tak! Pięć czerwonych ćwieków wbijemy w słup zemsty!

Wskazał na czarny, hebanowy słup stojący za podium. Setki czerwonych punktów znaczyło jego wypolerowaną kolumnę. Były to jasnoczerwone główki miedzianych ćwieków wbitych w czarne drewno.

— Pięć czerwonych ćwieków jak pięciu martwych Xotalancan! — cieszył się Techotl, a straszliwa radość słuchaczy czyniła ich twarze nieludzkimi.

— Kim są ci ludzie? — spytał Olmec głosem, który zabrzmiał jak daleki ryk byka. Nikt z mieszkańców Xuchotl nie mówił głośno, tak jakby ich wchłonęła cisza pustych sal i opuszczonych komnat.

— Jestem Conan, Cymmerianin — odpowiedział krótko barbarzyńca. — Ta kobieta to Valeria z Krwawego Bractwa, jest Aquilońskim korsarzem. Opuściliśmy armię na granicy Darfaru, daleko na północy i próbujemy dostać się na wybrzeże.

Kobieta na podium powiedziała głośno, gubiąc się w pośpiechu:

— Nigdy nie dojdziecie do wybrzeża! Z Xuchotl nie ma ucieczki! Tutaj dopełnicie swoich dni!

— Co to znaczy? — warknął Conan, chwytając za miecz i ustawiając się tak, by ogarniać wzrokiem podium i resztę pomieszczenia. — Chcesz nam powiedzieć, że jesteśmy więźniami?

— Nie to miała na myśli — wtrącił się Olmec. — Jesteśmy waszymi przyjaciółmi i nie zatrzymamy was siłą. Obawiam się jednak, że coś innego przeszkodzi Warn w opuszczeniu Xuchotl.

Spojrzał na Valerię i opuścił wzrok.

— Ta kobieta to Tascela, księżniczka Tecuchltli — powiedział. — Pozwólmy, by ugoszczono ich. Z pewnością są głodni i zmęczeni długą drogą.

Wskazał na stół z kości słoniowej i po wymianie spojrzeń awanturnicy usiedli przy nim. Podejrzliwy Cymmerianin wodził po komnacie niespokojnymi oczyma i trzymał miecz w pogotowiu. Z zasady nigdy nie odmawiał zaproszenia do jedzenia i picia. Nieustannie spozierał na Tascelę, lecz księżniczka wpatrywała się w jego białoskóre towarzyszką.

Opatrzywszy zranione udo kawałkiem jedwabiu Techotl usiadł za stołem, by usługiwać swoim przyjaciołom, widocznie uważając to za zaszczyt i przywilej. Oglądał potrawy i napitki podawane w złotych półmiskach i dzbanach, próbując wszystkiego, zanim postawił przed gośćmi. W czasie posiłku Olmec przyglądał się im ze swojego fotela, patrząc w milczeniu spod czarnych brwi. Tascela

siedziała obok niego z brodą w dłoniach i łokciami wspartymi na kolanach. Jej ciemne, tajemnicze oczy, które płonęły zagadkowym blaskiem, ani na chwilę nie odrywały się od Valerii. Za plecami księżniczki przystojna, lecz posępna, dziewczyna wolno poruszała wachlarzem ze strusich piór.

Posiłek składał się z egzotycznych owoców nieznanymi wędrowcom, ale bardzo smacznych i ciężkiego czerwonego wina o aromatycznym zapachu.

— Przybyliście z daleka — powiedział w końcu Olmec. — Czytałem księgi naszych ojców. Aquilonia leży za ziemią Stygijczyków i Shemitów, za Argos i za Zingarą, a Cymmeria leży za Aquilonią.

— Oboje lubimy podróżować — odparł niedbale Conan.

— Zastanawia mnie, w jaki sposób przebyliście puszcę — rzekł Olmec. — W minionych dniach tysiąc wojowników z trudem zdołało przedrzeć się przez te niebezpieczne lasy.

— Spotkaliśmy jakiegoś potwora o nogach jak słupy i wielkiego jak słoń — powiedział obojętnie Conan wyciągając rękę z pucharem, który Techotl z przyjemnością napełnił winem, — ale kiedy go zabiliśmy, nie mieliśmy więcej żadnych kłopotów.

Dzban z winem wypadł z ręki Techotla i z hukiem uderzył o posadzkę. Ciemna twarz wojownika zabarwiła się na popielato. Olmec poderwał się na równe nogi i stał zdziwiony, a pozostali krzyknęli ze zgrozą i podziwem. Kilka osób osunęło się na kolana, jakby straciły nagle władzę w nogach. Jedynie Tascela zdawała się nic nie słyszeć.

Conan patrzył na nich z niedowierzaniem.

— O co chodzi? Co się tak gapicie?

— Za... Zabiliście boga—smoka?

— Boga? Jakiego boga! Zatlukłem smoka. A dlaczego nie? Próbował nas zjeść, ale dostał niestrawności!

— Ale smoki są niepokonane! — wykrzyknął Olmec. — Zabijają się wzajemnie, jednak żaden człowiek nie zabił jeszcze smoka! Tysiąc wojowników, naszych przodków, nie mogło ich pokonać! Miecze łamały się o ich łuski jak patyki!

— Gdyby waszym przodkom przyszło do głowy zamoczyć włócznię w trującym soku Jabłek Derkety — mówił Conan z pełnymi ustami — i wbić je w oczy, pysk lub podobne miejsce, to zobaczyliby, że smoki są równie śmiertelnie jak woły. Padło leży na skraju lasu, zaraz przy pierwszych drzewach. Idźcie zobaczyć, jeżeli mi nie wierzycie.

Olmec pokiwał głową nie z niedowierzaniem, lecz z podziwem.

— To z powodu smoków nasi przodkowie schronili się w Xuchotl — rzekł. — Gdy dotarli na równinę, nie wazyli się powtórnie wejść do lasu. Nim dotarli do miasta, smoki dopadły i pożarły

wielu z nich.

— To znaczy, że to nie wasi przodkowie wybudowali Xuchotl? — spytała Valeria.

— Minęły już wieki, kiedy tu dotarli. Jak długo — tego nie wiedzieli nawet jego zdegenerowani mieszkańcy.

— Przywędrowaliście znad jeziora Zuad? — zapytał Conan.

— Tak. Przeszło pół wieku temu szczerp Tlazitlan zbuntował się przeciw Stygijczykom i pokonany uciekł na południe. Tygodniami wędrowali przez trawiaste równiny, pustynie i wzgórza. W końcu tysiąc wojowników, wraz z dziećmi i kobietami, dotarło do wielkiego lasu. Tam napadły na nich smoki i wielu rozszarpały na kawałki. Uciekając przed nimi w obłędnym strachu, dotarli na równinę i pośrodku dostrzegli miasto — Xuchotl.

Rozbili obóz w pobliżu miasta, nie odważywszy się opuścić równiny, ponieważ z lasu docierały do nich odrażające ryki walczących bestii. Smoki nieustannie walczyły ze sobą, jednak nie wychodziły na równinę. Mieszkańcy miasta zamknęli bramy i zasypali naszych ludzi gradem strzał z murów. Tlazitlanie byli więźniami równiny, ponieważ zapuszczanie się w puszcze, która otaczała ich jak pierścień, byłoby szaleństwem. W nocy do ich obozu przybył skrycie niewolnik z miasta, będąc ziomkiem, który jako młody człowiek dotarł w te strony wraz z grupą żołnierzy. Smoki pożarły wszystkich jego towarzyszy, lecz on dostał się do miasta i został niewolnikiem. Nazywał się Tolkmec.

Na dźwięk tego imienia płomień zapalił się w ciemnych oczach słuchaczy, a kilku z nich zakląło szpetnie i splunęło.

— Obiecał otworzyć bramy naszym wojownikom. Prosił tylko o to, by wszystkich jeńców oddać w jego ręce. O świcie otworzył bramy. Wojownicy wtargnęli do środka i posadzki Xuchotl spływały krwią. W mieście było tylko kilkuset mieszkańców — ginące resztki potężnego niegdyś ludu. Tolkmec twierdził, że przywędrowali tu przed wiekami ze wschodu, ze Starej Kosoli, gdy przodkowie dzisiejszych Kosalan nadciągnęli z południa i wygnali pierwotnych mieszkańców. Wygnańcy ruszyli na zachód i w końcu znaleźli tę otoczoną lasem równinę, którą zamieszkiwał szczerp czarnych ludzi. Z nich zrobiono niewolników i zapędzono do budowy miasta. Ze wschodnich wzgórz sprowadzono marmur, nefryt i lazuryt, a także złoto, srebro i miedź. Stada słoni dawały kość słoniową. Gdy skończono budowę, zabito wszystkich czarnych niewolników. Czarnoksiężnicy postawili na straży miasta okropne potwory. Dzięki swej tajemniczej sztuce wskrzesili zamieszkujące tę zagubioną ziemię smoki, których wielkie kości znaleźli w puszczy. Kościom zwrócono ciało i życie, aby żywe potwory chodziły po ziemi tak, jak w dawnych czasach. Zaklęcie magów trzymało je w głębi puszczy i nie pozwalało wyjść na równinę.

Przez długie wieki zamieszkiwali w Xuchotl i uprawiali żyzną ziemię, dopóki ich mędracy nie nauczyli się hodować owoce w mieście. Owoce nie sadzone w ziemi i czerpiące pokarm z powietrza. Wtedy pozwolili, by wyschły rowy nawadniające i pogrążyli się w zbytkach i lenistwie, aż powoli zaczęli chylić się ku upadkowi. Byli już na wymarcu, gdy nasi przodkowie przedarli się przez puszcze i dotarli na równinę. Czarnoksiężnicy dawno już pomarli, a ludzie zapomnieli sztuki

magicznej. Nie umieli walczyć ani czarami, ani bronią.

Nasi ojcowie wycięli wszystkich mieszkańców Xuchotl oprócz setki, którą oddano Tolkmecowi — ich byłemu niewolnikowi. Wiele dni i nocy komnaty rozbrzmiewały echemi ich przeraźliwych wrzasków podczas tortur.

Tlazitlanie zamieszkali tu, żyjąc przez pewien czas w pokoju rządzeni przez braci Tecuhltiego i Xotalanca oraz Tolkmeca. Ten ostatni ożenił się z dziewczyną ze szczepu, a ponieważ otworzył bramę i znał wiele tajemnic Xuchotlan, władał szczepem razem z braćmi, którzy przewodzili w czasie buntu i ucieczki.

Kilka lat żyli w mieście spokojnie, oddając się uciechom stołu i łoża, a także wychowując dzieci. Nie musieli uprawiać ziemi, gdyż Tolkmec nauczył ich jak hodować owoce czerpiące pożywienie z powietrza.

Przy tym wszystkim zagłada Xuchotlan złamała zakłęcie trzymające smoki w puszczy, które nocami ryczały pod murami miasta. Równina spłynęła krwią wskutek ich odwiecznej walki i wtedy właśnie...

Przerwał nagle w środku zdania i po lekkim wahaniu mówił dalej, jednak Conan i Valeria czuli, że powstrzymał się przed wyznaniem czegoś, co uznał za nierozsądne.

— Żyli w pokoju przez pięć lat. Później — Olmec spojrział krótko na milczącą kobietę siedzącą u jego boku — Xotalanc pojął za żonę kobietę, której pożąдали zarówno Tecuhltli jak i stary Tolkmec. W przyływie szaleństwa Tecuhltli porwał ją. Co prawda poszła dość chętnie. Tolkmec, na złość Xotalancowi, pomógł Tecuhltli. Xotalanc zażądał, by oddali ją z powrotem, a rada szczepu pozostawiła decyzję kobiecie. Zdecydowała pozostać z Tecuhltli. Xotalanc starał się odebrać ją siłą i stronnicy obu braci starli się w Wielkiej Sali. Nikt nie chciał ustąpić. Krew popłynęła z obu stron. Spór przerodził się w potyczkę, a potyczką w otwartą wojnę. Z zamętu wyłoniły się trzy stronnictwa — Tecuhltli, Xotalanca i Tolkmeca. Już wcześniej, w dniach pokoju, podzielili miasto między siebie. Tecuhltli zamieszkiwał zachodnią dzielnicę miasta, Xotalanc wschodnią, a Tolkmec ze swoją rodziną południową. Złość, niechęć i zazdrość zaowocowały przelewem krwi, gwałtem i mordem. Gdy raz sięgnięto po miecz, nie było już odwrotu. Krew żądała krwi i zemsta konkurowała z okrucieństwem. Tecuhltli walczył przeciw Xotalancowi, a Tolkmec wspomagał raz jednego, raz drugiego i zdradzał obu, gdy było mu to wygodne. Tecuhltli ze swymi ludźmi wycofał się do dzielnicy przy zachodniej bramie, tu, gdzie teraz jesteśmy. Xuchotl jest zbudowana w kształcie koła. Tecuhltlanie, którzy nazwali się tak od imienia swego księcia, zajmują zachodnią część koła.

Zablokowano wszystkie drzwi łączące dzielnicę z resztą miasta, z wyjątkiem jednych wrót na każdej kondygnacji, które można łatwo obronić. Tecuhltlanie zeszli do podziemi i postawili mur odgradzający od reszty miasta katakumby, gdzie spoczywają ciała rodowitych Xuchotlan i zabitych w walkach Tlazitlan. Zamieszkaliśmy jak w oblężonych zamkach, czyniąc wycieczki i wypadki na wrogów.

Ludzie Xotalanca podobnie umocnili wschodnią część miasta, a Tolkmec zrobił to samo przy południowej bramie. Środkowa część została pusta i niezamieszkała. Sale i komnaty stały się polem

bitwy i siedzibą strachu.

Tolkmec walczył z obydwoma klanami. Był bestią w ludzkiej skórze, gorszą niż Xotalanc. Znał wiele sekretów miasta, których nigdy nie wyjawiał. W kryptach katakumb ograbił martwych z ich strasznych sekretów, tajemnic pradawnych królów i czarnoksiężników, dawno zapomnianych przez zdegenerowanych Xuchotlan wybitych przez naszych przodków. Mimo to cała jego magia nie pomogła mu w dniu, gdy my — Tecuhltlanie zdobyliśmy jego warownię i wycięliśmy w pień jego ludzi. Tolkmeca torturowano wiele dni.

Głos Olmeca stał się monotony i dochodził z daleka, jakby z wielką przyjemnością wspominał zdarzenia z minionych lat.

— Tak — trzymaliśmy go przy życiu, aż wyglądał śmierci niczym oblubienicy. W końcu wynieśliśmy go z sali tortur i rzuciliśmy do lochu, by szczury ogryzały jego kości, gdy zdechnie. Zdołał jednak uciec jakimś sposobem i zniknął w katakumbach. Tam z pewnością umarł, bowiem droga z katakumb pod Xuchotl wiedzie przez Tecuhltli, a tu nigdy się nie pojawił. Nigdy nie znaleziono jego kości, a przesądni pośród nas przysięgają, że jego duch do dziś nawiedza krypty, zawodząc wśród kości zmarłych. Dwanaście lat temu wyróżniliśmy klan Tolkmeca, lecz wojna między Tecuhltlinami a Xotalancami trwa i będzie trwać aż do ostatniego człowieka. Pięćdziesiąt lat temu Tecuhltli porwał żonę Xotalanca. Od pół wieku trwa walka. Trwała, gdy się urodziłem. Trwała, gdy rodzili się wszyscy obecni w tej komnacie — oprócz Tasceli. Myślę, że będzie trwać do naszej śmierci...

Jesteśmy wymierającą rasą, taką jaką byli Xuchotlanie, których pozabijali nasi przodkowie. Gdy rozpoczynała się wojna, każde stronnictwo liczyło kilkaset osób. Teraz jest nas, Tecuhltlan tyłu, ilu stoi przed tobą, nie licząc ludzi pilnujących czterech bram, razem czterdzieści osób. Jak wielu Xotalancan pozostało — nie wiem, lecz wątpię, by było ich więcej od nas. Od piętnastu lat nie urodziło się u nas dziecko i nie widzieliśmy żadnego u Xotalancan. Wymieramy, ale nim umrzemy, zabijemy tyłu Xotalancan, ilu bogowie pozwolą.

Z ogniem w posępnych źrenicach Olmec opowiadał długo o tej strasznej wojnie toczącej się w cichych komnatach i mrocznych salach w poświęceniach kamieni ognia, na posadzkach płonących piekielną czerwienią i zbryzganych krwią z rozplątanych ciał. Wieloletnia rzeź wyniszczyła całą generację.

Xotalanc był martwy od lat, zabity w ponurej bitwie na schodach z kości słoniowej.

Nie żył również i Tcuhltli, żywcem obdarty ze skóry przez rozwścieczonych Xotalancan, którzy go pojмали.

Bez śladu wzruszenia Olmec opowiadał o okrutnych walkach w ciemnych korytarzach, o zasadzkach na krętych schodach, o krwawych rzeziach. Głęboko osadzone, ciemne oczy pały czerwonym blaskiem, gdy mówił o mężczyznach i kobietach obdartych żywcem ze skóry, okaleczonych i porąbanych, o jeńcach krzyczących z bólu podczas tortur tak okropnych, że nawet Cymmerianin, będąc barbarzyńcą, wzdragał się z odrazy. Nic dziwnego, że Techotl trzął się ze strachu na myśl o wpadnięciu żywcem w ręce wrogów! A jednak wyruszył, by zabić, gdy mu się

poszcześci, wiedziony nienawiścią silniejszą od strachu. Olmec mówił dalej, o sprawach mrocznych i tajemniczych, o czarnej magii i sztukach czarnoksiężskich, o upiornych stworzeniach ciemności przywoływanych na pomoc z czarnych otchłani katakumb. W tym Xotalancanie mieli przewagę, gdyż we wschodniej części katakumb spoczywały kości prastarych Xuchotlan, wraz z ich zapomnianymi sekretami. Valeria chłonęła wszystko z bezgranicznym zainteresowaniem. Waśń stała się straszliwym, prymitywnym żywiołem, pchającym mieszkańców Xuchotl do nieuchronnej zagłady. Zemsta wypełniała im całe życie. Rodzili się i zamierzali umrzeć w walce. Nigdy nie opuszczali swej zabarykadowanej warowni, chyba żeby zakraść się do Sal Ciszy leżących między wrogimi dzielnicami, by zabijać i dać się zabić. Czasem wojownicy wracali z oszalałymi ze strachu jeńcami lub ponurymi dowodami zwycięstwa. Czasem nie wracali w ogóle lub powracali tylko jako porąbane ochłapy, porzucone pod zaryglowanymi wrotami z brązu. Ludzie ci wiedli niesamowity, koszmarny żywot, odcięci od reszty świata, schwytani jak króliki w jedną pułapkę, wyrzynając się wzajemnie, czając się i skradając mrocznymi korytarzami, mordując, kalecząc i torturując.

Gdy Olmec opowiadał, Valeria czuła wpatrzone w siebie oczy Tasceli. Do księżniczki jakby nie docierało to, o czym mówił Olmec. Na wspomnienie zwycięstw albo klęsk jej twarz nie przybierała wyrazu dzikiej radości ani zwierzęcej wściekłości, malujących się na twarzach pozostałych Tecuhltlan. Waśń, która stała się obsesją ludzi jej klanu, nie miała dla niej znaczenia. Ta gruboskórna nieczułość zdała się Valerii bardziej odrażająca niż okrutne słowa Olmeca. — Nigdy nie opuszczamy miasta — mówił Olmec. — Przez pięćdziesiąt lat opuścili je tylko ci...

Ponownie przerwał w połowie zdania.

— Gdyby nawet nie zagrażały nam smoki — kontynuował — my, urodzeni i wychowani w mieście, nie ośmielilibyśmy się stąd odejść. Nikt z nas nie postawił stopy za murami. Nie przywykliśmy do słońca i nieba nad głową. Nie, urodziliśmy się w Xuchotl i w Xuchotl umrzemy.

— My jednak — powiedział Conan — za waszym pozwoleniem, zaryzykujemy spotkanie ze smokami. Ta waśń to nie nasza sprawa. Jeżeli pokażecie nam drogę do zachodniej bramy, ruszymy natychmiast.

Tascela zacisnęła dłonie i zaczęła coś mówić, lecz Olmec przerwał jej:

— Już zmierzcha. Jeżeli będziecie wędrować nocą po równinie, niechybnie staniecie się łupem smoków.

— Przeszliśmy równinę zeszłej nocy i spaliśmy pod gołym niebem nie widząc żadnego z nich — odparł Conan.

Tascela uśmiechnęła się i rzekła ponuro:

— Nie ośmielicie się opuścić Xuchotl!

Conan spojrział na nią z instynktowną wrogością. Nie patrzyła na niego, lecz na siedzącą naprzeciw Valerie.

— Myślę, że się ośmielią — stwierdził Olmec. — Conanie i Valerio, bogowie musieli nam was zesłać, by oddać zwycięstwo w ręce Tecuhltlan! Jesteście zawodowymi wojownikami — dlaczego nie mielibyście walczyć dla nas? Mamy obfitość bogactw. W Xuchotl jest tyle cennych klejnotów, ile kamieni ulicznych w miastach całego świata. Niektóre Xuchotlanie przynieśli ze sobą z Kosali. Inne, jak kamienie ognia znaleźli w górach na wschodzie. Pomóżcie nam skończyć z Xotalancami, a damy wam tyle klejnotów, ile zdołacie unieść.

— A pomożecie nam zabić smoki? — spytała Valeria. — Trzydziestu ludzi uzbrojonych w łuki i strzały może zabić wszystkie smoki w puszczy.

— Tak! — pośpiesznie odpowiedział Olmec. — Zapomnieliśmy, jak obchodzić się z łukiem, walcząc wręcz przez wiele lat, ale możemy się znów nauczyć.

— Co ty na to? — Valeria spytała Cymmerianina.

— Jesteśmy włóczęgami bez grosza — uśmiechnął się zuchwale. — Mogę równie dobrze zabijać Xotalancan jak i kogoś innego.

— Zgadza się! — wykrzyknął Olmec, a Techotl wprost nie posiadał się z radości.

— Tak. Teraz może pokażecie nam komnaty, w których będziemy spać, byśmy wypoczęli, nim zaczniemy jutro zabijać.

Olmec skinął głową. Na ten gest Techotl i jedna z kobiet poprowadzili awanturników korytarzem, którego wejście znajdowało się na lewo od nefrytowego podium. Oglądając się za siebie, Valeria spostrzegła odprowadzającego ich wzrokiem Olmeca, siedzącego na tronie z brodą opartą o pięści. Jego oczy płonęły posepnym blaskiem. Wygodnie oparta Tascela szeptała coś do ucha Yasali — służącej o ponurej twarzy, która pochyliła głowę, nadstawiając ucha szepczącym ustom księżniczki.

Przedsionek był węższy niż większość tych, przez które przechodzili, lecz dość długi. Wkrótce kobieta zatrzymała się, otworzyła drzwi i usunęła się z drogi przepuszczając Valerię.

— Czekaj chwilę — warknął Conan — a gdzie ja śpię?

Techotl wskazał na następne drzwi po przeciwległej stronie korytarza. Conan wahał się chwilę i zdawał się mieć jakieś zastrzeżenia, ale Valeria uśmiechnęła się pogardliwie i zamknęła mu drzwi przed nosem. Cymmerianin zamruczał coś nieprzyzwoitego o wszystkich kobietach i podążył korytarzem za Techotlem.

Conan rozejrzał się po bogato zdobionej komnacie, jaką mu przydzielono, i spojrzął na świetliki pod sufitem. Kilka otworów miało wystarczającą średnicę, by szczupły mężczyzna mógł się przez nie precyzyjnie po rozbiciu szkła.

— Dlaczego Xotalancowie nie wejdą na dach i nie przedostaną się przez te okna? — spytał.

— Nie można ich rozbić — odpowiedział Techotl. — Poza tym trudno byłoby się wspinać po dachach. Większość z nich to kopuły i iglice o ostrych krawędziach.

Techotl dobrowolnie udzielił innych informacji o warowni. Tak jak reszta miasta warownia miała cztery poziomy — czy też piętra, zwieńczone komnatami o dachach wyciągniętych w wieże. Każda kondygnacja miała swoją nazwę. Xuchotlanie nadali nazwy każdej komnacie, sali, każdym schodom w mieście — tak jak mieszkańcy zwyczajnych miast nazywają ulice i dzielnice. W Tecuhtli piętra nosiły następujące nazwy: najwyższe, czwarte — Orła i kolejno w dół Małpy, Tygrysa i Żmii.

— Kim jest Tascela? — spytał Conan. — Żoną Olmece?

Techotl wzdrygnął się i szybko oglądnął się za siebie, nim odpowiedział.

— Nie. To jest... Tascela! To żona Xotalanca — kobieta, którą porwał Tecuhtli, przez nią zaczęła się wojna.

— Co ty wygadujesz? — spytał zaskoczony Conan. — Ta kobieta jest młoda i piękna. Chcesz mi wmówić, że to ona była przyczyną wojny sprzed pięćdziesięciu lat?

— Tak! Przysięgam! Była dojrzałą kobietą, kiedy Tlazitlanie wyruszyli znad Jeziora Zuad. Xotalanc i jego brat zbuntowali się i umknęli w puszcę, ponieważ władca Stygii chciał uczynić z Tasceli swoją nałożnicę. To czarownica! Ona zna sekret wiecznej młodości.

— Jaki sekret? — zapytał Conan.

— Nie pytaj! Nie ośmielę się tego wyjawić! To zbyt straszne, nawet jak na Xuchotl.

Przykładając palec do ust cicho wymknął się z komnaty. Valeria odpięła pas z mieczem i położyła go przy łożu, na którym miała spać. Zauważyła drzwi zaopatrzone w rygle i spytała dokąd prowadzą.

— Te do sąsiednich komnat — odpowiedziała kobieta, wskazując drzwi po prawej i po lewej stronie, — a te na korytarz prowadzący do schodów, którymi schodzi się do katakumb — wskazała na obite miedzią drzwi naprzeciw wejścia. — Ale nie obawiaj się. Nic ci tu nie grozi.

— Kto tu mówi o obawach? — ucięła Valeria. — Chcę tylko wiedzieć, w jakim porcie zarzucam kotwicę. Nie chcę, byś spała przy moim łożu. Nie przywykłam, by ktoś mi usługiwał. A już na pewno nie kobieta. Możesz odejść.

Gdy została sama, zaryglowała wszystkie drzwi, kopnięciem zrzuciła buty i wyciągnęła się wygodnie na łożu. Wyobraziła sobie Conana podobnie ułożonego w swoim pokoju, ale kobieca próżność poddała jej natychmiast inny obraz: boleśnie upokorzony Cymmerianin, gniewnie mamrocząc, ciska się po swym samotnym łożu. Zapadając w drzemkę, uśmiechała się złośliwie.

Nad miastem zapadła noc. Nocny wiatr jęczał jak zbłąkana dusza gdzieś między ciemnymi wieżami. W salach Xuchotl zielone kamienie ognia lśniły jak oczy prehistorycznych kotów. Mrocznymi korytarzami poczęły się skradać niewyraźne, bezcielesne postacie.

Valeria obudziła się nagle. W mglistym, szmaragdowym blasku kamieni ognia ujrzała pochyloną nad nią, niewyraźną postać. W oszołomionych oczach Valerii zjawa zdała się przez chwilę być częścią snu, jaki śniła. Wydawało jej się, że leży, tak jak leżała na sofie w komnacie, a nad nią

pulsuje, faluje olbrzymi czarny kwiat tak wielki, że sięga sufitu. Jego egzotyczny zapach zawładnął nią całkowicie, wprowadzając w rozkoszne, zmysłowe omdlenie będące czymś więcej, a zarazem czymś mniej niż snem. Zapadała się w pachnące fale błogiej nieświadomości, gdy coś dotknęło jej twarzy. Oszołomione zmysły Aquilonki były tak wyczulone, że lekkie dotknięcie przywróciło ją natychmiast do przytomności, jak mocne uderzenie. Wtedy zobaczyła nad sobą nie potwornej wielkości kwiat, lecz ciemnoskórą kobietę.

Wraz ze świadomością przyszedł gniew i natychmiastowe działanie. Kobieta odwróciła się szybko, lecz nim zdołała umknąć, Valeria stanęła na nogi i chwyciła ją za ramię. Kobieta wyrwała się przez chwilę jak dziki kot, ale poddała się, czując miazdzącą przewagę przeciwniczki. Valeria obróciła ją szarpnięciem twarzą do siebie, wolną ręką chwyciła za brodę i zmusiła do uniesienia głowy. Była to Yasala, służąca Tasceli.

— Co tu robiłaś, do diabła? Co tam masz w ręce?

Kobieta nie odpowiedziała, próbując rzucić coś w kąt. Valeria wykręciła jej rękę i to coś upadło na posadzkę — duży czarny, egzotyczny kwiat na nefrytowozielonej łodydze, z pewnością wielki jak kobieca głowa, lecz malutki w porównaniu z sennym majakiem.

— Czarny lotos! — wysyczała Valeria przez zęby. — Kwiat, którego zapach sprowadza głęboki sen. Próbowalaś mnie uspić! Gdybyś przypadkiem nie dotknęła mojej twarzy płatkami... Po co to robiłaś!

Yasala trwała w ponurym milczeniu. Valeria z przekleństwem obróciła ją i wykręcając jej rękę na plecach zmusiła, by uklękła.

— Mów albo wyrwę ci rękę!

Yasala skręcała się z bólu, gdy Valeria bezlitośnie wykręcała jej ramię, ale jedyną jej odpowiedzią było gwałtowne zaprzeczanie głową.

— Suka! — Valeria pchnęła ją na podłogę i patrzyła na powaloną roziskrzonymi oczyma. Lęk i wspomnienie palącego spojrzenia Tasceli zmieszały się w niej, budząc drapieżny instynkt samozachowawczy. Ten lud chylił się ku upadkowi i można się było po nich spodziewać każdej nikczemności. Jednak Valeria czuła, że kryje się za tym coś więcej, jakaś przerażająca tajemnica, gorsza niż—zwykły podstęp. Ogarnęła ją fala lęku i obrzydzenia do tego ponurego miasta, którego mieszkańcy nie byli normalnymi ludźmi. Szaleństwo tliło się w ich oczach, z wyjątkiem okrutnych i zagadkowych oczu Tasceli, kryjących tajemnice i zagadki mroczniejsze niż szaleństwo.

Uniosła głowę i wsłuchiwała się uważnie. Komnaty Xuchtl były ciche, jak gdyby było ono naprawdę wymarłym miastem. Zielone kamienie oblewały pomieszczenie koszmarnym blaskiem, w którym zwrócone ku Valerii oczy klęczącej na posadzce kobiety lśniły niesamowicie. Dreszcz lęku targnął Aquilonką, pozbawiając jej dziką duszę resztek litości.

— Dlaczego próbowałaś mnie uspić? — wysyczała, chwytając kobietę za czarne włosy i patrząc „w uparte oczy o długich rzęsach. — Tascela cię przysłała?

Kobieta nie odpowiedziała. Valeria zakłęła jadownicie i trzepnęła otwartą dłonią w jej twarz najpierw z jednej strony, a potem z drugiej. Komnata rozbrzmiała odgłosem uderzeń, ale Yasala nie wydała żadnego dźwięku.

— Dlaczego nie krzyczysz? — pytała wściekła Valeria. — Boisz się, że ktoś cię usłyszy? Kogo się obawiasz? Tasceli? Olmeca? Conana?

Yasala nie odpowiadała. Skulona, wpatrywała się w swoją prześladowczynię złowrogim wzrokiem. Zawzięte milczenie budzi niepokohamowaną złość. Valeria obróciła się i urwała kawał sznura z wiszącej obok kotary.

— Ty uparta suko! — wycedziła przez zęby. — Rozbiorę cię do naga, przywiążę do łoża i będę chłostać, aż wyrzęzisz, co tu robiłaś i kto cię tu nasłał.

Yasala nie protestowała ani nie stawiała oporu, gdy Valeria spełniała pierwszą część swojej obietnicy z furią zwielokrotnioną przez upór pojmanej. Po chwili przez dłuższy czas w komnacie rozlegał się jedynie świst i uderzenia mocno splecionego, jedwabnego sznura na gołym ciele. Yasala nie mogła ruszyć mocno skrępowanymi nogami i rękoma. Jej ciało wiło się i kurczyło w czasie chłosty, a głowa kiwała się z boku na bok w rytm uderzeń. Przygryzła zębami dolną wargę aż do krwi — jednak nie krzyczała.

Elastyczny sznur nie czynił wiele hałasu, spadając na drgające ciało pojmanej, ledwie suchy trzask, jednak każde uderzenie pozostawiało czerwoną pręgę na ciemnym ciele Yasali. Valeria wymierzała razy z całą siłą zahartowanego wojaczka ramienia, z bezlitosną sprawnością, jakiej nabrała wiodąc życie, w którym ból i męka były chlebem powszednim. Robiła to z cyniczną pomysłowością, jaką tylko kobieta może wykazać wobec innej kobiety. Yasala cierpiała bardziej pod jej ciosami, niż gdyby uderzał ją mężczyzna i to nawet bardzo silny.

Właśnie ten kobiecy cynizm poskromił w końcu Yasalę. Z jej ust wydobył się cichy jęk i Valeria zatrzymała się z uniesionym w połowie ramieniem, odgarniając z czoła spocony kosmyk włosów.

— Będiesz mówić? — spytała. — Jak będzie trzeba, mogę cię prać przez całą noc!

— Nie! Litości! — wyszeptała kobieta. — Powiem...

Valeria rozciąła sznury na jej nadgarstkach i kostkach i postawiła ją na nogi. Yasala opadła na sofę, pólżąc na jednym, nagim biodrze, wsparta na ramieniu, krzywiąc się, gdy obolałe ciało dotknęło oparcia. Dygotała na całym ciele.

— Wina! — błagalnie powiedziała suchymi ustami, wskazując drżącą ręką złote naczynie na stole z kości słoniowej. — Daj mi pić. Jestem słaba z bólu. Zaraz ci wszystko powiem.

Valeria podała jej naczynie i Yasala podniosła się chwiejnie na nogi. Wzięła dzban, podniosła go do ust i chlusnęła całą jego zawartość w twarz Aquilonki. Valeria zatoczyła się do tyłu, otrząsając się i wycierając rękoma oczy, zalane piekącym płynem. Jak przez mgłę widziała Yasalę podbiegającą do okutych miedzią drzwi. Natychmiast ruszyła za nią z mieczem w dłoni i żądzą mordy

w oczach.

Yasala była jednak pierwsza i biegła z szaloną szybkością kobiety, którą przed chwilą wychłostano aż do histerycznego załamania. Minęła zakręt korytarza ledwie kilka jardów przed Valerią i kiedy ta dobiegła do rogu, zobaczyła tylko puste pomieszczenie, a na jego końcu zionące czernią otwarte drzwi. Dobywał się z nich wilgotny zapach pleśni. Valeria mimo woli zadrżała — te drzwi musiały prowadzić do katakumb. Yasala znalazła schronienie wśród martwych.

Valeria podeszła do drzwi i zajrzała w nie. Kamienne schody szybko ginęły w całkowitych ciemnościach. Prawdopodobnie nie łączyły się z niższymi piętrami, prowadząc prosto do lochów pod miastem. Wzdrygnęła się lekko na myśl o tysiącach odzianych w zbutwiałe szaty zwłok leżących w kamiennych kryptach na dole. Nie miała zamiaru zapuszczać się tam po omacku. Yasala z pewnością знаła każdy zakręt i zakamarek podziemnego labiryntu.

Zawróciła zawiedziona i wściekła, gdy z ciemności dotarł do niej jęczący krzyk. Zdawał się dochodzić z odległej głębi, jednak można było rozróżnić niewyraźne słowa i to, że głos należał do kobiety.

— Ach! Pomocy! Pomocy, na Seta! Aaaaach! — głos zginął w dali i Valerii zdawało się, że do jej uszu dotarło echo upiornego chichotu. Dreszcz przeszedł plecami dziewczyny. Co się stało z Yasalą w gęstych ciemnościach na dole? Valeria nie miała wątpliwości, że to ona krzyczała. Co mogło się jej przydarzyć? Może ukrywał się tam jakiś Xotalanc? Olmec zapewnił, że katakumby pod Tecuhtli są odgródzone murem od reszty miasta, zbyt mocnym, by wrogowie mogli się przezeń przedrzeć. Na dodatek ten chichot nie przypominał dźwięku wydawanego przez ludzką istotę.

Aquilonka podążyła z powrotem korytarzem, nie tracąc czasu na zamykanie drzwi. Powróciwszy do swej komnaty, zatrzasnęła i zaryglowała drzwi. Wsunęła buty i przypięła pas z mieczem. Zdecydowała się pójść do komnaty Conana i namówić go, jeżeli jeszcze żyje, aby przyłączył się do niej i by razem wyrabali sobie drogę z tego miasta upiorów.

W chwili, gdy podeszła do drzwi wiodących na korytarz, w komnatach zabrzmiał przeciągły krzyk konającego człowieka, po którym rozległ się tupot nóg i szczęk mieczy.

Na trzeciej kondygnacji, zwanej Poziomem Orła, dwaj wojownicy w komnacie pilnowali Wrót Orła. Zachowywali się z obojętną, zwyczajową czujnością. Zawsze trzeba się było liczyć z możliwością ataku z zewnątrz na wielkie wrota z brązu, mimo iż od wielu lat nie podjęto takiej próby.

— Przybysze to sprzymierzeńcy — powiedział jeden z nich. — Na pewno Olmec ruszy jutro na te xotalancańskie psy.

Mówił tak, jak żołnierz na wojnie. W tym mikroskopijnym świecie, jakim był Xuchotl, każda garstka zwaśnionych ludzi była armią, a puste sale między wrogimi stronami polem bitwy. Drugi strażnik zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— A jeżeli z ich pomocą pokonamy Xotalancan — spytał — to co wtedy, Xatmec?

— Wbijemy wiele czerwonych ćwieków, a jeńców będziemy przysmażać, obdzierać ze skóry i ćwiartować.

— No dobrze, ale co potem? — nalegał towarzysz Xatmeca. — Jak już zabijemy wszystkich? Czy to nie będzie dziwne — nie mieć z kim walczyć? Całe życie walczyłem i nienawidziłem Xotalancan. Co będę robił, gdy nasza walka skończy się?

Xatmec wzruszył ramionami. Nigdy nie myślał zbyt długo naprzód. Nie potrafił tego robić.

Nagle obaj zamarli, słysząc jakiś hałas za bramą.

— Do bramy, Xatmec! — syknął ostatni z rozmawiających. — Popatrzę przez Oko.

Z mieczem w dłoni Xatmec oparł się o brązowe wrota, wyęzając słuch, by usłyszeć coś przez grubą metalową płytę. Jego kompan spojrział w lustro i szarpnął się gwałtownie. Wokół bramy tłoczyli się ciemnoskórzy mężczyźni o ponurych twarzach, trzymając miecze w zębach i zatykali palcami uszy. Jeden z nich, o głowie przystrojonej piórami miał kilka połączonych rur, które przyłożył do ust. W chwili, gdy Tecuhtlanin miał wydać alarmujący okrzyk, z rur dobył się cichy pisk.

Krzyk zamarł w gardle strażnika, kiedy wysoki, posępny dźwięk przeniknął metalowe wrota i wpadł w jego uszy. Xatmec pozostał oparty o drzwi jak sparaliżowany. Jego twarz zdrętwiała w przerażonym zasluchaniu. Drugi strażnik bardziej oddalony od źródła dźwięku, poczuł grozę sytuacji i ogromne niebezpieczeństwo czające się w upiornych dźwiękach. Czuł posępne tony wdzierające się jak niewidzialne palce w zakamarki jego mózgu, napełniające go cudzymi emocjami i budzące szaleństwo. Z największym wysiłkiem woli zrzucił z siebie czar i krzyknął ostrzegawczo nieswoim głosem. W tej samej chwili melodia przeszła w świdrujące zawrodożenie przeszywające jego uszy jak nóż. Xatmec krzyczał w męce i rozsądek opuścił go niczym jak zdmuchnięty wichrem płomyk. Jak opętany zrzucił łańcuch, otworzył gwałtownie bramę i wypadł na zewnątrz nim towarzysz zdołał go powstrzymać. Runął na posadzkę, powalony tuzinem ciosów, a po jego pokrwawionych zwłokach Xotalancanie wpadli do strażnicy z przeciągłym, oszalałym z żądz mordy wyciem, które rozniosło się niezliczonym echem w nieprzywykłych do hałasu salach.

Odzyskując przytomność umysłu, pozostały przy życiu strażnik skoczył im na spotkanie z nastawioną włócznią. Oszolomienie, w jakie wprawili go czary, których był świadkiem, ustąpiło miejsca przerażeniu. Wróg dostał się do Tecuhtli. Grot włóczni strażnika przebił czyjeś ciemne ciało, a później nie czuł już nic. Opadający miecz rozłupał mu czaszkę w chwili, gdy jego dzikoocy pobratymcy nadbiegali z dalszych komnat.

Dziki wycie i szczęk stali poderwały Conana z sofy. W jednej chwili zupełnie rozbudzony dopadł drzwi z mieczem w dłoni i otworzył je jednym szarpnięciem. Wyglądając na korytarz, zobaczył nadbiegającego Techotla z oczyma płonącymi szaleństwem.

— Xotalancanie! — krzyknął Techotl głosem niepodobnym do ludzkiego. — Przedarli się przez bramę!

Conan wybiegł na korytarz i jednocześnie Valeria pojawiła się w drzwiach swojej komnaty.

— Co się dzieje, do diabła? — zapytała.

— Techotl mówi, że Xotalancanie wdarli się do Tecuhltli — odpowiedział pośpiesznie.

— Sądząc po tym zamieszaniu, ma rację.

Z Tecuhltlaninem depczącym im po piętach wpadli do sali tronowej i zobaczyli obraz przekraczający najdziksze sny o krwi i przemocy. Dwudziestka mężczyzn i kobiet z rozwianymi, czarnymi włosami i wymalowanymi na piersiach czaszkami, zwarła się w walce z mieszkańcami Tecuhltli. Po obu stronach kobiety walczyły równie zawzięcie jak mężczyźni. Sala i przedsionek były już zasłane trupami.

Olmec nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach, walczył niedaleko swojego tronu, a w chwili gdy Conan i Valeria wkroczyli do akcji, Tascela wybiegła z bocznej komnaty z mieczem w ręce.

Xatmec i jego towarzysz byli martwi, tak więc nie było komu opowiedzieć Tecuhltlanom, jak wrogowie dostali się do środka. Nikt też nie mógł powiedzieć, co wywołało ten szalony atak. Straty Xotalancan musiały być znacznie większe, a położenie znacznie gorsze niż sądzili Tecuhltlanie. Okaleczenie ich gadziego sprzymierzeńca, roztrzaskanie Płonącego Czerepu oraz słowa wyszeptane przez umierającego, że tajemniczy białoskórzy przybysze przyłączyli się do ich wrogów, przywiodły Xotalancan do szalonej desperacji. Postanowili umrzeć w śmiertelnej walce z zjadłymi wrogami.

Tecuhltlanie, pozbierawszy się z oszołomienia wywołanego zaskakującym atakiem, podczas którego zepchnięto ich do Sali Tronowej, zadając ciężkie straty, oddawali ciosy z równą wściekłością. Nadbiegali strażnicy z niższych pięt, by rzucić się w wir walki. Walczyli jak stado rozszalałych wilków, zaślepieni, dyszący i bezlitośni. Bitwa przewalała się tam i z powrotem od drzwi do podium. Błyskały klingi tnąc ciała, tryskała krew, niósł się tupot nóg po czerwonej posadzce, na której tworzyły się ciemnoczerwone kałuże. Połamano stoły z kości słoniowej, rozbito w drzazgi ławy, aksamitne draperie zostały podarte w strzępy i zbryzgane krwią. Każdy z walczących wiedział, że nadszedł finał krwawej, półwiecznej walki. Ostateczny wynik był z góry przesądzony. Tecuhltlan było prawie dwukrotnie więcej niż napastników. Ten fakt oraz pojawienie się na polu walki jasnoskórych sprzymierzeńców dodał im serca. Conan i Valeria rzucili się w wir walki z niszczącą siłą huraganu przelatującego przez zagajnik. Conan był silniejszy niż trzech Tlazitlan razem wziętych i pomimo swej wagi znacznie zwinniejszy. Wpadł w skłębiony, wirujący tłum pewnie jak szary wilk w stado ulicznych kundli i posuwał się naprzód, zostawiając za sobą zasłaną trupami posadzkę.

Valeria walczyła u jego boku, z uśmiechem na twarzy i roziskrzonym wzrokiem. Silniejsza niż przeciętny mężczyzna, górowała nad przeciwnikami szybkością i zręcznością w posługiwaniu się mieczem, który w jej ręce wydawał się żywą istotą. W czasie, gdy Conan miażdżył przeciwników samą siłą ciosów, łamiąc włócznie, rozplątując czaszki i ciała do połowy, Valeria pokazywała finezję sztuki walki szermierczej, zdumiewając i szokując tych, którzy skrzyżowali z nią ostrza. Raz po raz unosząc w górę swój ciężki miecz wojownik otrzymywał pchnięcie w gardło, zanim zdążył uderzyć. Conan, górując nad polem bitwy, kroczył wśród zamętu, uderzając na prawo i lewo, a

Valeria poruszała się jak widmo, ciągle zmieniając pozycję, nieustannie tnąc, siekąc i kłując. Nieustannie miecze przeszywały powietrze nie godząc jej, a ich właściciele umierali z jej klingą wbitą w serce lub gardło, słysząc szyderczy śmiech Aquilonki.

W bitewnym amoku walczący nie zważali na płeć czy rany przeciwników. Jeszcze nim Conan i Valeria przyłączyli się do walki, pięć xotalancańskich kobiet padło w bitwie, a na każdego rannego osuwającego się na posadzkę czekało cięcie nożem po bezbronny gardle albo miażdżące czaszkę kopnięcie obutą w sandał stopą.

Od ściany do ściany, od drzwi do drzwi przelewały się fale potyczki, rozlewając się po przyległych komnatach. W końcu wielkiej sali tronowej pozostali na nogach jedynie Tecuhtlanie i ich jasnoskórzy sprzymierzeńcy. Ledwie żywi, spoglądając na siebie pustym wzrokiem, bladzi, jak pozostali przy życiu po końcu świata. Na szeroko rozstawionych nogach, ściskając poszczerbione i ociekające krwią miecze, spływające swoją i cudzą krwią, patrzyli na siebie poprzez posiekane ciała przyjaciół i wrogów. Brakowało im sił, by krzyczeć, jedynie zwierzęce, oszalałe wycie triumfu wydarło się z ich ust.

Conan chwycił Valerię za ramię i obrócił ją twarzą do siebie. — Jesteś ranna w łydkę — mruknął.

Spojrzała w dół, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że pieką ją mięśnie prawej nogi. Któryś z umierających na posadzce wojowników ostatnim wysiłkiem wbił w nią swój sztylet.

— Sam wyglądasz jak rzeźnik — roześmiała się.

Strząsnął czerwień ze swoich rąk.

— To nie moja krew. O, draśnięcie tu i tam. Nie ma się czym przejmować, a twoją nogę trzeba zabandażować!

Olmec przebrnął przez pobojuwisko. Wyglądał jak zjawa, potężne nagie ramiona i czarną brodę miał zbryzgane krwią, a przekrwione oczy paliły się w wykrzywionej radością twarzy.

— Zwycięstwo! — wycharczał w oszołomieniu. — Waśń skończona! Xotalancańskie psy są martwe! Dwadzieścia martwych psów! Dwadzieścia czerwonych ćwieków dla czarnego słupa!

— Lepiej zajmijcie się swoimi rannymi — mruknął Conan odwracając głowę. — No, dziewczyno, pokaż mi nogę!

— Poczekaj chwilę! — odtrąciła go niecierpliwie. — Skąd możemy wiedzieć, czy to są wszyscy? To mogła być tylko część nieprzyjaciół.

— Nie podzieliliby klanu na taką walkę jak ta — powiedział Olmec, potrząsając głową i odzyskując nieco zdrowego rozsądku. Bez purpurowej togi wyglądał bardziej na drapieżne zwierzę niż na księcia.

Tascela podeszła, wycierając miecz o nagie udo i trzymając w drugiej ręce przedmiot zabrany przywódcy Xotalancan ubranemu w pióra.

— Piszczalki obłądu — powiedziała. — Jeden z wojowników powiedział mi, że Xatmec otworzył bramę Xotalancom i został zarąbany, gdy wdarli się do strażnicy. Ten wojownik nadbiegł właśnie z dalszej komnaty i zdążył to zobaczyć, a także usłyszeć ostatnie tony posępnej muzyki, od której niemal stracił duszę. Tolkmec mówił kiedyś o tych piszczalkach, Xuchotlanie przysięgali, że są ukryte gdzieś w katakumbach razem z kośćmi starożytnego czarnoksiężnika, który używał ich za swojego żywota. Xotalancańskie psy zdołały je jakoś odnaleźć i odkryć ich tajemnicę.

— Trzeba pójść do Xotalanc i zobaczyć, czy ktoś nie został tam żywy — powiedział Conan. — Pójdę, jeżeli ktoś mnie poprowadzi.

Olmec spojrział na swoich ludzi. Jedynie dwudziestu Tecuhltlan przeżyło bitwę, przy czym kilku z nich leżało, jęcząc na posadzce. Tascela jako jedyna wyszła zupełnie bez ran, chociaż sądząc po jej wyglądzie, walczyła równie zaciekle jak reszta.

— Kto pójdzie z Conanem do Xotalanc? — zapytał Olmec.

Techotl podszedł utykając. Do starej rany w udzie doszła nowa, tym razem w lewym boku. Z obu sączyła się krew.

— Ja pójdę!

— Nie, ty nie — sprzeciwił się Conan. — I ty też nie, Valerio. Za chwilę twoja noga będzie sztywna.

— Ja pójdę! — zgłosił się wojownik owijający bandażem zranione ramię.

— Dobrze Yanath. Idź z Cymmerianinem. Ty też Topal — Olmec wskazał drugiego mężczyznę, który odniósł lekkie obrażenia, — ale najpierw pomóżcie przenieść ciężko rannych na łoża, gdzie będzie można ich opatrzyć.

Zrobiono to szybko. W pewnej chwili, gdy Olmec pochylał się, by podnieść kobietę ogłuszoną maczugą, jego broda otarła się o ucho Topala. Conanowi wydało się, że księżę szepnął coś do wojownika, lecz nie był tego pewny. Nie upłynęło wiele czasu i Cymmerianin ruszył ze swymi dwoma towarzyszami do Xotalanc. Przechodząc przez bramę Conan obrócił się i spojrział na pobojuwisko, gdzie na jarzącej się posadzce leżały trupy o zlanych krwią i wyprostowanych w ostatnim śmiertelnym wysiłku kończynach. Ich ciemne twarze zastygłe niczym maski nienawiści, wpatrywały się szklanymi oczyma w zielone kamienie ognia, oblewające niesamowitą scenę przyćmionym, szmaragdowym światłem. Żywi krążyli bez celu między martwymi, jak w transie. Conan usłyszał, jak Olmec przywołuje jedną z kobiet i każe jej opatrzyć nogę Valerii. Aquilonka podążyła za kobietą do przyległej komnaty, zaczynając już lekko utykać.

Dwaj Tecuhltlanie zachowując ostrożność poprowadzili Conana przez korytarz za wielkimi wrotami z brązu i przez kolejne, drgające zielonym ogniem komnaty. Nikogo nie spostrzegli i niczego nie usłyszeli po drodze. Gdy przekroczyli Wielką Salę oddzielającą północną część miasta od południowej, zwiększyli czujność, świadomi bliskości wrogiego terytorium. Komnaty i sale pozostawały jednak puste. W końcu dotarli do szerokiego mrocznego przedsionka i zatrzymali się

przed wrotami z brązu podobnymi do Wrót Orła w Tecuhitli. Pchnęli je ostrożnie. Otworzyły się cicho. Zajrzeli z respektem i podziwem w głąb zielono oświetlonych komnat. Przez pięćdziesiąt lat żaden Tecuhltlanin nie wszedł do tych sal z wyjątkiem zmierzających ku okrutnej śmierci jeńców. Pójść do Xotalanc oznaczało najstraszliwszy los, jaki mógł spotkać człowieka z zachodniej dzielnicy miasta. Od najwcześniejszych lat dzieciństwa koszmar ten nawiedzał ich sny. Dla Yanatha i Topala te drzwi z brązu były wrotami piekieł.

Cofnęli się ze strachem w oczach, kurcząc się z przerażenia. Conan przepchnął się między nimi i wkroczył do Xotalanc.

Rozglądając się bojaźliwie na boki, przekroczyli bramę i podążyli za nim. Jednakże tylko ich nerwowo przyśpieszone oddechy mąciły panującą tam ciszę.

Weszli do niedużej strażnicy, takiej jak za Wrotami Orła i podobnego przedsionka, który prowadził do rozległej sali będącej odpowiednikiem Sali Tronowej Olmeca. Conan patrzył na kilimy, otomany i draperie przedsionka nasłuchując uważnie. Niczego nie słyszał. Pomieszczenia wydawały się puste. Nie wierzył, by w Xuchotl pozostali jeszcze jacyś Xotalancanie.

— Chodźmy — mruknął i ruszył korytarzem.

Nie uszedł kilku kroków, gdy zorientował się, że tylko Yanath idzie za nim. Odwrócił się i ujrzał zastygłego z przerażenia Topala wyciągającego rękę, jakby chciał odepchnąć groźące niebezpieczeństwo. Wpatrywał się zahipnotyzowanymi, wybałuszonymi oczyma w coś wystającego zza otomany.

— Co się stało, do diabła?

Nagle Conan zobaczył to, na co patrzył Topal i dreszcz przebiegi po jego szerokich plecach. Zza otomany wychylał się potworny, gadzi łeb, długi jak u krokodyla. Z górnej szczęki wystawały zakrzywione, wygięte do tyłu kły. Ciało potwora spoczywało jednak w nienaturalnym bezwładzie, a odrażające ślepia były szkliste. Conan zajrzał za sofę. Wielki gad, jakiego jeszcze nigdy nie spotkał w czasie swoich wędrówek po obcych stronach, leżał zwiotczały i martwy. Wokół unosił się smród i ziąb czarnych otchłani, a nieokreślonej barwy zwoje miały zmieniający się w zależności od kąta widzenia wyblakły odcień. Wielkie cięcie na ciele zdradzało przyczynę śmierci.

— To Pełzacz! — wyszeptał Yanath.

— To jest to, co rozrąbałem na schodach — potwierdził Conan. — Ścigał nas aż do Wrót Orła, a potem przypełził tutaj, by zdechnąć. Jak Xotalancanie zdołali zapanować nad tą bestią?

Tecuhltlanie wzdrygnęli się i potrząsnęli głowami.

— Wywołali to z mrocznych lochów pod katakumbami. Odkryli tajemnice, jakich nie znamy.

— W każdym bądź razie to już jest sztywne, a gdyby mieli jakieś inne poczwary, to zabraliby je ze sobą, idąc do Tecuhitli. Idziemy!

Niemal deptali mu po piętach, gdy szedł przez korytarz i pchnął masywne drzwi na jego końcu.

— Jeżeli na tym poziomie nie znajdziemy nikogo, to zejdziemy na niższe poziomy

— powiedział Cymmerianin. — Przeszukamy Xotalanc od podziemi aż po dach. Jeżeli Xotalanc jest podobne do Tecuhitli, to wszystkie komnaty na tym piętrze będą oświetlone... A to co?

Weszli do obszernej sali, przypominającej Salę Tronową w Tecuhitli. Taki sam tron z kości słoniowej na podium z nefrytu, te same sofy, gobeliny i draperie na ścianach. Brakowało tylko czarnego, upstrzonego czerwonymi ćwiekami słupa zemsty, lecz nie zabrakło świadectwa ponurej waśni. Ściana za podium pokryta była rzędami oszklonych półek, na których setki znakomicie zachowanych, ludzkich głów spoglądały przez lata i miesiące nieruchomymi oczyma.

Topal cicho przeklął, Yanath stał w milczeniu z szaleństwem rodzącym się w szeroko otwartych oczach. Conan zmarszczył brwi, wiedział, że prawie każdy Tlazitlanin jest o włos od utraty zdrowych zmysłów. Trzęsącym się palcem Yanath wskazał na upiorne trofea.

— Tam jest głowa mojego brata! — wybełkotał. — A tam młodszego brata mojego ojca! A za nimi najstarszego syna mojej siostry!

Nagle zaczął płakać bez łez, chrapliwym, głośnym szlochem wstrząsającym całym jego ciałem. Nie odrywał oczu od uciętych głów. Jego łkanie przeszło w przeraźliwy, piskliwy śmiech, a ten z kolei w trudny do zniesienia wrzask. Yanath zupełnie oszalał.

Conan położył mu rękę na ramieniu. Jak gdyby to dotknięcie wyzwoliło całe szaleństwo z jego duszy, Yanath wrzasnął, odwrócił się i uderzył mieczem. Cymmerianin sparował cios, a Topal próbował uchwycić towarzysza za ramię, lecz szaleniec wyrwał się i pniąc się na ustach wbił miecz w ciało swego kompana. Topal upadł z jękiem, a Yanath miotał się przez chwilę po sali jak szalony derwisz. Potem podbiegł do półek i przeklinając piskliwie, zaczął rozbijać szkło. Conan zaszedł go od tyłu, próbując z zaskoczenia odebrać mu oręż, ale szaleniec odwrócił się i runął na niego wrzeszcząc jak potępieniec. Stwierdziwszy, że wojownik jest zupełnie oszalały, Conan uniknął ciosu i jednym uderzeniem położył go trupem obok jego umierającej ofiary.

Barbarzyńca pochylił się nad Topalem i przekonał się, że są to ostatnie chwile mężczyzny. Nawet nie warto było próbować opatrzeć jego obficie krwawiącej rany.

— Koniec z tobą, Topal — mruknął Conan. — Chcesz coś przekazać swoim?

— Nachyl się bliżej — wyszeptał Topal.

Conan posłuchał i w tej samej chwili pochwycił rękę Tecuhitlanina, unikając ciosu sztyletem w pierś.

— Na Croma! — zaklął. — Ty też oszalałeś?

— Olmec mi rozkazał — mówił ledwie słyszalnie umierający. — Nie wiem, dlaczego. W czasie gdy przenosiliśmy rannych na łoża... Rozkazał zabić cię, zanim wrócimy do Tecuhitli... — z nazwą

swego klanu na ustach Topal skołał.

Zdziwiony Conan patrzył na trupa ze zmarszczonym czołem. Cała ta historia zakrawała na szaleństwo. Czy Olmec też zwariował? Czyżby wszyscy Tecuhtlanie byli bardziej szaleni niż przypuszczał.

Wzruszył ramionami i opuścił salę, pozostawiając obu zabitych. Z długich półek szklane oczy krewniaków patrzyły pustym wzrokiem na zlaną krwią posadzkę.

Conan nie potrzebował przewodnika, wracając przez labirynt komnat i sal. Instynktowne poczucie kierunku prowadziło go nieomylnie ku Tecuhtli. Z mieczem w dłoni poruszał się równie czujnie jak przedtem, uważnie badając wzrokiem każdy zakręt i mroczny zakamarek. Obawiał się teraz nie duchów zabitych Xotalancan, lecz niedawnych sprzymierzeńców. Przebył Wielką Salę i wkroczył do komnat po drugiej stronie miasta, gdy usłyszał przed sobą zbliżające się dźwięki. Ktoś posuwał się w jego stronę, poruszając się z trudem, sapiąc i ciężko oddychając. W chwilę później Conan dojrzał pełznącego ku niemu mężczyznę, który zostawiał za sobą szeroki, krwawy ślad na mieniającej się posadzce. To był Techotl. Czołgał się z wysiłkiem, jego oczy zachodziły mgłą, a z głębokiej rany na piersi, przez zaciskające ją palce sączyła się krew. Pomagając sobie drugą ręką, wolno posuwał się do przodu.

— Conanie! — zawołał przytłumionym głosem. — Conanie! Olmec porwał Żółtowłosą!

— To dlatego kazał Topalowi mnie zabić! — wymruczał Conan, przyklękając przy wojowniku, który, jak ocenił doświadczone okiem, był umierający. — Olmec nie jest tak szalony, jak przypuszczałem.

Posuwające się palce Tuchotla zacisnęły się na ręce Conana. W zimnym, pozbawionym miłości, odpychającym świetle Tecuhtlan jego podziw i szacunek dla przybyszów z dalekiego świata tworzyły ciepłą oazę człowieczeństwa, dodając mu ludzkie cechy, jakich całkowicie brakowało jego współplemioncom, przepelnionym jedynie nienawiścią, chęcią zemsty i sadystycznym okrucieństwem.

— Chciałem mu przeszkodzić — wyrzeźił Techotl. Krwawa piana pojawiła się na jego ustach — ale mnie powalił. Myślał, że mnie zabił, ale czołgałem się... Na Seta, jak długo pełzłem... Uważaj Conanie w czasie powrotu! Olmec może przygotować zasadzkę! Zabij go! To bestia.. Weź Valerię i uciekaj! Nie obawiaj się drogi przez puszcę. Olmec i Tascela nie powiedzieli ci prawdy o smokach. Pozabijały się wzajemnie wiele lat temu, został tylko jeden, najsilniejszy. Od wielu lat był tylko ten jeden... Teraz już nic wam w puszczy nie zagraża. Smok był bogiem, któremu Olmec oddawał cześć. Składał mu ofiary z ludzi, starców lub dzieci... związanych zrzucano z murów... Pośpiesz się! Olmec zabrał Valerię do komnaty...

Głowa Techotla osunęła się na bok. Umarł.

Conan poderwał się. Oczy płonęły mu jak węgle. Tego chciał Olmec po pomocy przybyszy przy pokonaniu swych nieprzyjaciół! Można się było domyśleć, że coś takiego lęgnie się w głowie czarnobrodego degenerata.

Cymmerianin ruszył szybko w kierunku Tecuhtli, na nic nie zważając. Policzył w myślach swych niedawnych sprzymierzeńców. Tylko dwudziestu jeden Tecuhtlan, licząc Olmeca, przeżyło straszną bitwę w Sali Tronowej. Od tej pory zginęło trzech. Zostało osiemnastu. Rozwścieczony Conan czuł się na siłach stawić czoła całemu klanowi. Jednak wrodzona przebiegłość, nabyta przez bytujących w dziczy przodków, pohamowała szaloną wściekłość. Pamiętał ostrzeżenie Techotla przed zasadzką. Całkiem możliwe, że książę mógł ją przygotować na wypadek, gdyby Topal nie zdołał wykonać jego rozkazu. Olmec z całą pewnością spodziewa się, że Conan będzie wracał tą samą drogą, którą szedł do Xotalanc.

Cymmerianin spojrzął przez świetlik, pod którym przechodził, i dostrzegł przyćmiony blask gwiazd. Jeszcze nie zaczęły błędnąć. Do świtu było daleko. Nocne wydarzenia przebiegały w stosunkowo krótkim czasie. Barbarzyńca skręcił w bok i zszedł krętymi schodami piętro niżej. Nie wiedział, gdzie na tym poziomie znajdzie bramę prowadzącą do Tecuhtli i nie miał pojęcia, jak pokona zamknięcia. Był pewny, że wszystkie bramy będą zamknięte i zaryglowane, jeżeli nie z innej przyczyny, to z nabytej przez pół wieku ostrożności. Nie miał jednak innego wyjścia, musiał próbować.

Ściskając w dłoni miecz, śpieszył bezgłośnie przez labirynt zielono oświetlonych lub mrocznych komnat i sal. Czuł, że znajduje się blisko Tecuhtli, gdy nagle jakiś dźwięk zatrzymał go w miejscu. Poznał co to było. Ludzka istota próbowała krzyczeć przez dławiący knebel. Głos dobiegał z przodu. W śmiertelnie cichych komnatach nawet stłumiony dźwięk rozbrzmiewał daleko.

Conan skręcił i zaczął szukać źródła powtarzających się dźwięków. Zajrzawszy w końcu w uchylone drzwi, zobaczył upiorną scenę. W komnacie, do której zaglądał, leżała na podłodze żelazna rama, a do niej przywiązano rozkrzyżowanego, potężnie zbudowanego człowieka. Jego głowa spoczywała na łożu z żelaznych kolców o końcach czerwonych od krwi płynącej z poranionej skóry. Wymyślny uchwyt otaczał głowę nieszczęśnika w taki sposób, że skórzana opaska nie chroniła przed kolcami. Ta uprząż połączona była łańcuchem z mechanizmem utrzymującym olbrzymią, żelazną kulę zawieszoną nad owłosioną piersią uwięzionego. Tak długo, jak mężczyzna pozostawał w bezruchu, żelazna kula wisiła nieruchomo, lecz kiedy ból spowodowany żelaznymi kolcami zmuszał go do uniesienia głowy, kula opuszczała się o kilka następnych cali. Po chwili obolałe mięśnie karku nie mogły dłużej utrzymać głowy w nienaturalnej pozycji i znów opadała na kolce. Było jasne, że w końcu kula zgniecie go na miążgę, wolno i nieuchronnie. Wytrzeszczone, czarne oczy zakneblowanej ofiary zwróciły się z niemym błaganiem ku stojącemu w; drzwiach, zdumionemu Conanowi. Człowiekiem przywiązanym do żelaznej ramy był Olmec, książę Tecuhtli.

— Dlaczego zabrałaś mnie do tej komnaty, by obandażować mi nogę? Nie mogłaś tego równie dobrze zrobić w Sali Tronowej? — dopytywała się Valeria.

Siedziała na łożu z wyciągniętą przed siebie zranioną nogą, a Tecuhtlanka właśnie skończyła owijać ją jedwabnymi bandażami. Skrwawiony miecz Valerii leżał obok niej. Mówiąc do kobiety, zmarszczyła się groźnie. Ciemnoskóra wykonała swoje zadanie sprawnie i cicho, ale Valerii nie podobał się ani wyraz jej twarzy, ani długotrwały, pieszczotliwy dotyk smukłych palców.

— Pozostałych rannych zabrano do innych komnat — odpowiedziała kobieta miękką i delikatną mową Tecuhtlanek, nie pasującą do mówiących. Chwilę wcześniej Aquilonka widziała tą samą

kobietę przebijającą mieczem pierś Xotalanci i kopnięciem wybijającą oko rannemu nieprzyjacielowi.

— Ciała poległych zniosą do katakumb, by duchy nie uciekły do komnat i nie zamieszkały w nich — dodała.

— Wierzysz w duchy? — spytała Valeria.

— Wiem, że duch Tolkmeca mieszka w katakumbach — rzekła z ciarkami przechodzącymi po jej plecach. — Kiedyś sama widziałam go w krypcie, skulonego pośród kości martwej królowej. Przybrał postać prastarego starca o długiej, białej brodzie i włosach i z jarzącymi się w ciemności czerwonymi oczyma. To był on, Tolkmec. Widziałam go w dzieciństwie, gdy wzięto go na tortury.

— Olmec śmieje się — jej głos ścichł do przerażającego szeptu — ale ja wiem, że duch Tolkmeca przebywa w katakumbach! Mówią, że to szczury obgryzają ciała zmarłych, ale duchy też jedzą ciała. Kto wie oprócz...

Cień padł na łożo i kobieta obejrzała się szybko. Valeria podniosła wzrok i zobaczyła wpatzonego w nią Olmeca. Książę zmył krew z rąk, torsu i brody. Jego wielkie, ciemnoskóre, włochate ciało okryte purpurową togą przypominało drapieżne zwierzę. Głębokie, czarne oczy płonęły prymitywną żądzą, a palce gładzące gęstą brodą drgały gwałtownie. Skupił wzrok na kobiecie, która podniosła się i wysliznęła z komnaty. Wychodząc rzuciła Valerii przez ramię spojrzenie pełne cynicznego szyderstwa i lubieżnej kpiny.

— Zrobiła to niezdarnie — skrytykował książę podchodząc do łoża i pochylając się nad opatrunkiem. — Pozwól, że...

Z szybkością zdumiewającą u kogoś jego rozmiarów pochwycił jej miecz i odrzucił w kąt. W następnej chwili porwał ją w swoje potężne ramiona. W mgnieniu oka Valeria chwyciła za sztylet i wymierzyła śmiertelne pchnięcie w gardło napastnika. Niespodziewany cios niemal sięgnął celu. Raczej dzięki szczęściu niż zręczności Olmecowi udało się złapać ją za rękę i rozpoczęły się dzikie zapasy. Aquilonka atakowała pięściami, nogami, kolanami, zębami i paznokciami. Używała całej swojej siły i umiejętności walki wręcz nabytej przez lata włóczęgi i potyczek na lądzie i morzu. Wszystko to na nic się zdało przeciw brutalnej sile księcia. Już w pierwszym starciu straciła sztylet i nie zostało jej nic, co mogłoby ugodzić olbrzymiego napastnika. Posępne, czarne oczy Olmeca jarzyły się złowrogim blaskiem, a ich wyraz doprowadzał dziewczynę do wściekłości, zwielokrotnionej przez sardoniczny uśmiech na jego wargach. Te oczy i uśmiech zawierały cały cynizm i okrucieństwo kryjące się w umysłach tej zdegenerowanej, wyrafinowanej rasy. Po raz pierwszy w życiu Valeria doświadczyła strachu przed mężczyzną. Zdawało się jej, że zmagają się z jakimś potężnym, prymitywnym żywiołem. Zależne ramiona napastnika udaremniały z dziecinną łatwością jej wszelkie ataki. Sprawiał wrażenie odpornego na wszelki ból, jaki mogła mu zadać. Zareagował tylko raz, gdy z pasją wbiła białe zęby w jego nadgarstek. Uderzył ją wówczas otwartą dłonią w bok głowy tak mocno, że zobaczyła wszystkie gwiazdy i zachwiała się.

Koszula Valerii rozdarła się w czasie szamotaniny. Olmec z zimnym okrucieństwem potarł brodą nagie piersi dziewczyny, wydobywając krzyk bólu i wściekłości z jej ust. Szaleńczy opór był

bezskuteczny. Rozbrojoną i ciężko dyszącą przygniótł do łoża, nie zważając na wściekłe spojrzenia jej gorejących oczu.

W chwilę później pośpiesznie opuszczał komnatę, unosząc kobietę w ramionach. Nie stawiała oporu, lecz błysk w oczach zdradzał, że przy najmniej jej duch pozostał niepokonany. Nie krzyczała wiedząc, że Conan jest poza zasięgiem jej głosu i nie przypuszczając, by ktoś w Tecuhltli mógł sprzeciwić się księciu. Zauważyła jednak, że Olmec skradał się nadstawiając ucha, jakby nasłuchując odgłosów pogoni i nie powrócił do Sali Tronowej. Przeniósł ją przez drzwi znajdujące się naprzeciw tych, którymi wszedł, przeszedł następną komnatę i podążył cicho korytarzem. Kiedy Valeria nabrała pewności, że księżę obawia się, że ktoś przeszkodzi mu w porwaniu, obróciła głowę i wrzasnęła ile sił w; piersiach. W zamian trzymała policzek, który na wpół ją ogłuszył i Olmec przyspieszył kroku, przechodząc w ociężały galop.

Krzyk rozniósł się echem po korytarzu i oglądając się, oślepiona po części przez łzy i gwiazdy migające jej przed oczyma, Valeria ujrzała utykającego za nimi Techotla.

Olmec odwrócił się z przekleństwem, przekładając kobietę pod pachę i trzymając ją w tej niewygodnej, pozbawionej godności pozycji wijącą się i kopiącą bezsilnie jak dziecko.

— Olmec! — wołał Techotl. — Nie możesz być takim kundlem... Nie rób tego! To kobieta Conana! Pomogła nam zabić Xotalancan i ...

Bez słowa Olmec ścisnął dłoń w olbrzymią pięść i jednym uderzeniem rozłożył rannego wojownika u swych stóp. Nie zważając na szamotaninę i przekleństwa pojmanej pochylił się, wyjął miecz Techotla z pochwy i pchnął wojownika w pierś, po czym odrzucił broń i ruszył korytarzem. Nie zauważył ciemnej, kobiecej twarzy spozierającej ostrożnie spoza draperii. Twarz zniknęła, a po chwili Techotl jęknął, drgnął, z trudem wstał i odszedł chwiejnym, zataczającym się krokiem niczym pijak, wołając Conana.

Olmec szybko przemierzył korytarz i zszedł po krętych schodach z kości słoniowej. Minął kilka pomieszczeń i w końcu zatrzymał się w obszernej komnacie o trzech ścianach zasłoniętych grubymi draperiami. W czwartej były ciężkie, spiżowe drzwi podobne do Wrót Orła. Księżę poruszony do głębi, wskazał na nie.

— To jedna z bram prowadzących na zewnątrz Tecuhltli. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat nie są strzeżone. Nie potrzebujemy już straży, bo nie ma już Xotalancan.

— Dzięki Conanowi i mnie, ty przekłety łotrze! — ubliżała mu Valeria trzęsąc się cała z furii i wstydu. — Zdradziłeś bękarcie! Conan poderżnie ci za to gardło!

Olmec nie trudił się, by wyrazić swoje przekonanie, że zgodnie z wydanym rozkazem to Conan ma już poderżnięte gardło. Był zbyt cyniczny, aby interesowały go myśli czy opinie Valerii. Pożerał ją pożądliwym wzrokiem, zatrzymując go dłużej na wspaniałych obszarach nagiego, białego ciała odsłoniętego w miejscach, gdzie koszula i spodnie rozdarły się w czasie szamotaniny.

— Zapomnij o Conanie — powiedział szorstko. — Olmec jest panem Xuchotl. Nie ma już

Xotalancan. Nie będzie więcej walki. Będziemy spędzać czas pijąc wino i oddając się rozkoszom ciała. Na początek wypijmy!

Usiadł na stole z kości słoniowej i siłą posadziwszy sobie Valerię na kolanach, rozsiadł się niczym ciemnoskóry satyr z białą nimfą w ramionach. Ignorując jej przekleństwa, zupełnie nieprzystające nimfie, trzymał ją bezradną, obejmując jednym ramieniem jej kibić a drugim sięgając po puchar z winem.

— Pij! — rozkazał przytykając go do ust Valerii.

Szarpnęła głową. Trunek rozlał się mocząc jej usta i oblewając nagie piersi.

— Twój gość nie lubi takiego wina, Olmec — przemówił chłodny, sardoniczny głos.

Księżę zeszywniał i w jego płomiennych oczach pojawił się lęk. Wolno obrócił wielką głową i popatrzył na Tascelę stojącą niedbale w osłoniętych draperią drzwiach. Valeria przekręciła się w żelaznym uścisku i chłodny dreszcz przebiegł jej po krzyżu, gdy napotkała palący wzrok księżniczki. Tej nocy Valeria doznała wielu nowych wrażeń. Ledwie co nauczyła się strachu przed mężczyzną, a teraz poznała, czym jest strach przed kobietą. Olmec siedział bez ruchu. Jego śniada skóra przybrała szary odcień. Tascela stała z jedną ręką opartą na gładkim biodrze. Teraz wyciągnęła drugą rękę, pokazując małe, złote naczynie ukryte do tej pory za plecami.

— Obawiam się, że nie będzie jej smakować twoje wino. Olmec — powiedziała księżniczka — dlatego wzięłam trochę swojego, tego, które przyniosłam znad brzegów Jeziora Zuad. Rozumiesz, Olmec?

Na czole księcia wystąpiły wielkie krople potu. Uchwyt, w jakim dzierzył Valerię, rozluźnił się na tyle, że zdołała wyrwać się i dotrzeć na drugą stronę stołu. Mimo że rozsądek nakazywał jej natychmiastową ucieczkę, jakaś niepojęta fascynacja zatrzymywała ją w komnacie. Tascela podeszła do siedzącego księcia kołyszącym, płynnym krokiem, który sam w sobie był szyderstwem. Jej głos brzmiał miękko i pieszczotliwie, lecz w oczach pojawiły się groźne błyski. Szczupłymi palcami lekko uchwyciła brodę Olmeca.

— Jesteś samolubny. Olmec — mruzczała uśmiechając się. — Zatrzymałbyś naszego gościa dla siebie, mimo iż wiedziałeś, że chcę ją ugościć? Twoja wina jest ogromna. Olmec.

Na moment maska opadła jej z twarzy, oczy rozbłysły wściekłością, usta wykrzywiły się, a dłoń na brodzie księcia zacisnęła się kurczowo w zaskakującym pokazie siły, wrywając jednocześnie garść włosów. Lecz nawet ten przykład nadludzkiej siły był mniej przerażający niż piekielna furia szalejąca pod pozorami łagodności.

Olmec z rykiem zerwał się na nogi i stał kiwając się jak niedźwiedź, zaciskając i otwierając olbrzymie pięści.

— Suko! — jego dudniący głos wypełnił pokój. — Wiedzmo! Diablico! Tecuhtli powinni cię zabić pięćdziesiąt lat temu! Pilnuj się! Za dużo znosiłem! Ta biała dziewczka jest moja! Wynoś się stąd,

zanim cię zabiję!

Księżniczka zaśmiała się i rzuciła mu w twarz zlepione krwią kłaki. Jej uśmiech był bezlitosny jak brzęk krzemienia o stal.

— Kiedyś mówiłeś inaczej. Olmec — szydziły. — Kiedyś, gdy byłeś młody, przemawiałeś słowami miłości. Tak, byłeś kiedyś mym kochankiem, wiele lat temu, a ponieważ mnie kochałeś, spałeś w mych ramionach pod czarnym lotosem i oddałeś w ten sposób w moje ręce łańcuchy, które cię spętały. Doskonale wiesz, że nie możesz stawić mi czoła. Wiesz, że wystarczy mi tylko spojrzeć na ciebie i magiczna moc, której przed laty nauczył mnie stygijski kapłan, uczyni cię bezsilnym. Przypomnij sobie tę noc pod czarnym lotosem falującym nad nami, poruszonym podmuchem nie z tego świata. Znowu poczujesz nieziemskie wonie unoszące się wokół i otaczające cię jak chmura, by cię zniewolić. Nie możesz ze mną walczyć. Jesteś moim niewolnikiem tak jak tamtej nocy i będziesz nim do końca swoich dni — Olmecu z Xuchotl!

Głos Tasceli przeszedł w pomruk, brzmiący jak szmer strumienia płynącego przez rozświetlone gwiazdami ciemności. Zbliżyła się do księcia i położyła rozłożone palce o długich, ostrych paznokciach na jego szerokiej piersi. Natychmiast wzrok mu zmętniał, a wielkie dłonie opadły bezwładnie po bokach. Ze złośliwym uśmiechem okrutna Tascela uniosła naczynie i przytknęła mu do ust.

— Pij!

Olmec usłuchał bezładnie. Po pierwszym łyku jego oczy przestały być szkliste. Napęłniły się zrozumieniem, wściekłością i przeraźliwym lękiem. Otworzył usta, lecz nie wydał dźwięku. Przez chwilę chwiał się na gnących się nogach, po czym opadł na posadzkę jak zmięty łach.

Jego upadek wyrwał Valerię z odrętwienia. Obróciła się i skoczyła do drzwi, ale Tascela wyprzedziła ją z szybkością pantery skaczącej na ofiarę. Valeria uderzyła pięścią, wkładając w ten cios całą siłę ramienia. Takie uderzenie powinno rozłożyć na podłodze każdego przeciętnego mężczyznę, lecz Tascela zwinnym skrzętem tułowia uniknęła ciosu i chwyciła przegub Aquilonki. Następnie unieruchomiła lewą rękę Valerii i trzymając oba przeguby w swojej lewej ręce, spokojnie skrępowała je wyciągniętym zza pasa sznurem. Valeria myślała, że tej nocy doznała już najgorszego upokorzenia, ale wstyd z powodu sromotnej porażki z księciem był niczym w porównaniu z uczuciami, jakie miały ją po tej walce. Zawsze gardziła innymi przedstawicielkami swojej płci i napotkanie innej kobiety, która mogła obchodzić się z nią jak z dzieckiem, wstrząsnęło nią do głębi. Prawie nie stawiała oporu, gdy Tascela siłą posadziła ją na krześle i przywiązała ją do niego. Przekroczywszy obojętnie ciało Olmeca, Tascela podeszła do spiżowych drzwi, trzasnęła rygłem i rozwarła je silnym pchnięciem, odsłaniając wąski korytarz.

— Te drzwi prowadzą do komnaty — zaczęła, po raz pierwszy zwracając się do pojmanej — używanej kiedyś jako sala tortur. Kiedy schroniliśmy się w Tecuhltli, wzięliśmy większość przyrządów ze sobą, ale jedno zostało, było zbyt ciężkie by je ruszyć. Myślę, że będzie w sam raz.

W oczach Olmeca pojawił się błysk zrozumienia i strachu. Tascela podeszła do niego, schyliła się i chwyciła go za włosy.

— Jest tylko chwilowo obezwładniony — powiedziała tonem towarzyskiej konwersacji.

— Wszystko słyszy, myśli i czuje, tak, czuje naprawdę doskonale!

Wypowiedziawszy tę zgryźliwą uwagę, ruszyła ku drzwiom, z łatwością wlokąc za sobą olbrzymie cielsko księcia. Valeria otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Księżniczka weszła do korytarza i nie zatrzymując się poszła dalej, znikając ze swą ofiarą w komnacie, z której dotarł szczepek żelaza.

Valeria zakłęła cicho i szarpnęła się w więzach, zapierając się nogami o krzesło. Na darmo. Sznur, którym była skrupowana, był prawdopodobnie nie do zerwania. Tascela wróciła po chwili, a z komnaty dobiegały zduszone jęki. Zamknęła drzwi, lecz nie zaryglowała ich. Najwidoczniej przyzwyczajenie nie rządziło nią, podobnie jak inne ludzkie emocje i instynkty.

Valeria siedziała oszołomiona, obserwując kobietę, w której szczupłych dłoniach, jak sobie uświadomiła, spoczywał jej los. Tascela chwyciła złote loki Aquilonki i odchyliła jej głowę w tył zaglądając jednocześnie w twarz. Błyszczące, ciemne oczy księżniczki miały dziwny wyraz.

— Czeką cię wielki zaszczyt — powiedziała. — Odnowisz młodość Tasceli. Och, wytrzeszczasz oczy! Wyglądam młodo, lecz w me żyły wkłada się leniwy chłód podeszłego wieku, jak to czułam już tysiące razy. Jestem stara, tak stara, że nie pamiętam swojego dzieciństwa. Kiedyś, gdy byłam młodą dziewczyną, pokochał mnie stygijski kapłan i zdradził mi sekret nieśmiertelności i wiecznej młodości. Potem umarł, niektórzy mówili, że od trucizny. Ja jednak mieszkałam w moim pałacu nad brzegami jeziora Zuad i mijające lata nie tknęły mnie ani mojej urody. W końcu zapragnął mnie król Stygii, ale mój lud zbuntował się przeciw niemu i przybyliśmy tutaj. Olmec obwołał mnie księżniczką, ale chociaż w moich żyłach nie ma królewskiej krwi, jestem więcej niż księżniczką. Jestem Tascela, której przywrócisz młodość!

Valerii wyszło w gardle. Czuła, że w słowach Tasceli kryje się tajemnica bardziej przerażająca, niż mogła się spodziewać po zwyrodniałym umyśle Tecuhltlanki.

Księżniczka odwiązała Aquilonkę od krzesła i postawiła na nogi. To nie lęk przed straszną siłą drzemiącą w mięśniach Tasceli uczynił z Valerii bezradną, drżącą brankę. Sprawily to płonące hipnotycznym blaskiem oczy Tasceli.

— No, a żebyś był Kushitą! — Conan spojrział na leżącego. — Co ty tu robisz, do diabła!?

Spod knebla dobiegały zduszone dźwięki. Conan schylił się i wydarł szmatę z ust więźnia, który wrzasnął głośno ze strachu, bowiem w wyniku gwałtownego ruchu żelazna kula opadła w dół, niemal dotykając szerokiej piersi księcia.

— Na Seta, uważaj! — błagał Olmec.

— A to dlaczego? — spytał Conan. — Czy myślisz, że obchodzi mnie to, co się z tobą stanie? Chciałbym tylko mieć dość czasu, by stać tutaj i patrzeć jak ten kawał żelastwa wycisnie z ciebie flaki. Niestety, spieszę się. Gdzie jest Valeria?

— Uwolnij mnie! — ponaglał Olmec. — Wszystko powiem!

— Nie, wpierv powiedz.

— Nigdy! — książkę zawzięcie zacisnął kwadratowe szczęki.

— W porządku — Conan usiadł na ławie obok. — Sam ją znajdę, gdy z ciebie zostanie galaretka. Myślę, że mogę przyspieszyć ten proces, wkręcając ci koniec miecza w ucho

— dodał, wyciągając miecz w stronę głowy leżącego.

— Poczekaj! — z popielatoszarych warg więźnia posypały się beładne słowa. — Tascela mi ją zabrała. Zawsze byłem tylko narzędziem w rękach Tasceli.

— Tascela? — parsknął Conan i splunął. — Ty parszywy...

— Nie, nie! — dyszał Olmec. — Jest gorzej, niż myślisz. Tascela jest stara, ma setki lat! Odnawia swoją młodość i przedłuża sobie życie, składając ofiary z pięknych, młodych dziewcząt. Oto jedna z przyczyn niewielkiej liczebności naszego klanu. Tascela wydobędzie esencję życia z ciała Yalerii i zakwitnie świeżym pięknem i nową energią.

— Bramy są zamknięte? — spytał Conan, sprawdzając kciukiem ostrze swego miecza.

— Tak! Ale wiem, jak dostać się do Tecuhtli. Tylko Tascela i ja znamy tę drogę, a ona sądzi, że już się mnie pozbyła. Uwolnij mnie. Przysięgam, że pomogę ci uwolnić Valerię. Bez mojej pomocy nie dostaniesz się do Tecuhtli, bo nawet gdybyś torturami zmusił mnie do wyjawienia tajemnicy, to sam nie otworzysz drzwi. Pozwól mi iść z tobą. Podkradniemy się do Tasceli i zabijemy ją, zanim zdąży użyć swojej magii, nim na nas spojrzy. Cios nożem w plecy wszystko załatwi. Powiniennem to już dawno zrobić w ten sposób, ale bałem się, że bez jej pomocy Xotalancanie zwyciężą. Ona też potrzebowała mojej pomocy i tylko dlatego pozwoliła mi żyć tak długo. Teraz nie potrzebujemy się już wzajemnie i jedno z nas musi zginąć. Przysięgam, że kiedy zabijemy czarownicę, ty i Valeria odejdziecie w pokoju. Moi ludzie posłuchają mnie, gdy Tascela umrze.

Conan pochylił się i przeciął więzy księcia. Olmec wysunął się ostrożnie spod wielkiej kuli i wstał, potrząsając głową jak byk, mrużąc przekleństwa i obmacując poszarpaną skórę na głowie. Stojąc ramię w ramię, dwaj mężczyźni prezentowali groźny obraz prymitywnej siły. Równy wzrostem Conanowi i bardziej krępy Olmec miał w sobie coś odpychającego, coś zwierzęcego i ponurego, co niekorzystnie kontrastowało z czystymi liniami zwartej sylwetki Cymmerianina. Conan porzucił resztki swej podartej, przesiąkniętej krwią koszuli i został półnagi, ukazując imponującą muskulaturę. Jego olbrzymie barki były równie szerokie jak bary Olmeca, lecz lepiej zarysowane, a potężna, wyżej sklepiona pierś przechodziła w twardy brzuch pozbawiony miękkiej wypukłości. Conan wyglądał jak wykuty w brązie posąg. O jak barbarzyńca mógł być wzięty za istotę z zarania czasu, o tyle Olmec przypominał ponury relikw z jeszcze wcześniejszych czasów.

— Prowadź — rozkazał Conan — i trzymaj się z przodu. Nie ufam ci bardziej niż bykowi szarpanemu za ogon.

Olmec obrócił się i poszedł przodem, gładząc jedną ręką poszarpaną brodę. Nie poprowadził Conana przez spiżowe wrota, które jak mylnie przypuszczał, Tascela zamknęła, lecz do jednej z komnat na granicy Tecuhltli.

— Ten sekret był strzeżony przez pół wieku — powiedział. — Nawet nasz klan go nie zna, a Xotalancanie nigdy go nie odkryli. Sam Tecuhltli zbudował to ukryte wejście, zabijając potem niewolników, którzy je zrobili. Obawiał się, że któregoś dnia Tascela, której miłość do niego szybko zmieniła się w nienawiść, zamknie przed nim bramy Tecuhltli. Ona jednak odkryła tajemnicę i zabarykadowała ukryte drzwi, gdy wracał z nieudanego wypadu na Xotalancan. Pochwycili go i obdarli go żywcem ze skóry. Śledziłem ją kiedyś. Zobaczyłem, jak wchodzi tą drogą do Tecuhltli — tak odkryłem sekret.

Nacisnął złoty ornament w ścianie i płyta odsunęła się, odsłaniając prowadzące w górę schody z kości słoniowej.

— Te schody wbudowane w ścianę prowadzą do wieży nad dachem, a stamtąd innymi schodami można dostać się do różnych komnat. Ruszaj!

— Za tobą, przyjacielu! — powiedział ironicznie Conan, kołysząc długim mieczem.

Olmec wzruszył ramionami i wstąpił na schody. Conan natychmiast ruszył za nim. Drzwi same zamknęły się po ich przejściu. Umieszczone wysoko w górze kamienie ognia zamieniły klatkę schodową w studnię słabego, skupionego światła.

Mozolnie wspinali się po krętych stopniach, by w chwili, w której Conan przypuszczał, że znajdują się powyżej trzeciego piętra, dotrzeć do owalnego pomieszczenia o kopulastym suficie, w którym osadzono oświetlające schody kamienie ognia. Przez oprawne w złoto tafle z nietłukącego się kryształu, były to pierwsze prawdziwe okna, jakie widział w Xuchotl. Conan dostrzegł wysokie dachy, kopuły i wieże majaczące groźnie na tle rozgwieżdżonego nieba. Spoglądał na dachy Xuchotl.

Olmec nie patrzył przez okna. Ruszył pospiesznie jedną z wielu klatek schodowych, które prowadziły z wieży w dół i gdy zeszli kilka stopni, znaleźli się w wąskim, długim korytarzu. Na jego końcu czekały kolejne strome schody. Nagle Olmec przystanął. Gdzieś w dole zabrzmiał kobiecy krzyk strachu, wściekłości i wstydu, stłumiony przez grube mury, lecz mimo to wyraźny. Conan rozpoznał głos Valerii. Rozwścieczony do nieprzytomności Cymmerianin, zajęty myślami o zagrożeniu, które wyrwało taki wrzask z ust zuchwałej Valerii, zapomniał na moment o Olmecu. Przecisnął się obok księcia i ruszył w dół schodów. Instykt obudził się w nim w tej samej chwili, gdy Olmec uderzył swą wielką pięścią jak młotem. Gwałtowny i cichy cios wymierzony był w podstawę czaszki Conana. Barbarzyńca odwrócił się jednak w samą porę i przyjął uderzenie w nasadę karku. Siła ciosu złamałaby kręgi słabszego mężczyzny, lecz Conan zachwiał się tylko, upuścił miecz bezużyteczny przy walce w zwarcu i padając złapał wyciągnięte ramię Olmeca, pociągając księcia za sobą. Runęli ze schodów na łeb i szyję, jak splątany kłęb głów, nóg i rąk. Jeszcze spadając Conan odszukał byczy kark Olmeca i zacisnął na nim żelazne palce. Szyja i ramię barbarzyńcy zdrętwiały od uderzenia olbrzymiej pięści Tecuhltlanina, który uderzył jak kafar, wkładając w cios całą siłę masywnego przedramienia i potężnych bicepsów. Jednak uderzenie nie odebrało Conanowi siły. W czasie upadku trzymał gardło przeciwnika zawzięcie jak buldog. Toczyli się, tłukąc i objając

o stopnie, aż grzmotnęli na końcu korytarza w drzwi z kości słoniowej z taką siłą, że rozbili je w drzazgi i wpadli do komnaty. Zanim to nastąpiło. Olmec już nie żył. Jeszcze na schodach żelazne palce Cymmerianina zdusiły mu zdradziecki oddech i złamały kark.

Conan podniósł się, strząsając drzazgi z mocarnych ramion i ocierając krew i kurz z twarzy. Znajdował się w wielkiej Sali Tronowej, w której, poza nim, znajdowało się piętnaście osób. Jako pierwszą ujrzał Valerię.

Przed podium z tronem stał dziwny, czarny ołtarz. Wokół niego siedem czarnych świec w złotych lichtarzach wypuszczało wijące się spirale gęstego, zielonego dymu o niepokojącym zapachu. Spirale dymu łączyły się pod sufitem w chmurę, tworząc baldachim z dymu, na którym leżała zupełnie naga Valeria. Jej ciało wyglądało przerażająco białe w porównaniu z błyszczącym hebanowe kamieniem. Leżała rozciągnięta na ołtarzu, z rękoma nad głową. Nie była związana. U jednego końca ołtarza klęczał młody mężczyzna, trzymając mocno jej nadgarstki, a na drugim końcu młoda kobieta przytrzymywała ją za kostki nóg. Valeria nie mogła się podnieść, ani nawet poruszyć.

Zgromadzeni Tecuhltlanie klęczeli w półkołu, milcząco obserwując wydarzenia rozpalonymi, pełnymi żądz krwi oczami. Tascela rozpierała się na tronie z kości słoniowej. Mosiężne czary z kadzidłem snuły wokół niej wstęgi dymu. Gęste pasma owijały się wokół jej nagiego ciała niczym pieszczące palce. Nie mogła usiedzieć spokojnie. Wiła się i unosiła w zmysłowym zapamiętaniu, jakby znajdowała przyjemność w kontakcie z gładką kością słoniową. Trzask drzwi rozlatujących się pod uderzeniem dwóch spadających ciał niczego nie zmienił. Klęczący mężczyźni i kobiety spojrzeli tylko bez zainteresowania na zwłoki swojego księcia oraz na podnoszącego się z posadzki mężczyznę i z powrotem odwrócili nienasycone oczy w kierunku białej postaci, przeżającej się na czarnym ołtarzu. Tascela bezczelnie popatrzyła na Cymmerianina i z drwiącym uśmiechem rozparła się na tronie.

— Ty suko! — Conanowi pokazały się czerwone plamy przed oczyma.

Ruszył ku księżniczce, zaciskając swe pięści jak żelazne młoty. Po pierwszym kroku usłyszał metaliczny szczęk i zimne żelazo wbiło mu się w nogę. Powstrzymany w marszu, potknął się i prawie upadł. Na jego nodze zatrzasnęły się szczęki żelaznej pułapki, głęboko wbijając swoje zęby. Jedyne naprężone mięśnie łydki ocaliły kość przed strzaskaniem. Przeklęty potrzask wyskoczył bez ostrzeżenia z czerwonej posadzki. Przyglądając się uważnie. Conan ujrzał teraz doskonale zamaskowane zapadnie, w których kryły się inne pułapki.

— Głupcze! — roześmiała się Tascela. — Myślałeś, że nie spodziewam się twojego powrotu? Wszystkie drzwi w tej sali strzeżone są przez takie pułapki. Stój tam i patrz, jak dopełni się los twojej pięknej przyjaciółki. Potem zdecyduję o twej przeszłości.

Conan instynktownie sięgnął do pasa tylko po to, by pochwycić pustą pochwę. Miecz został na schodach, a sztylet w puszczy, tam gdzie smok wyrwał go ze swojej paszczy. Stalowe zęby wbite w nogę paliły jak rozżarzone węgle, lecz ból nie był tak straszny jak wściekłość kipiąca w jego duszy. Pochwycono go w pułapkę jak wilka. Gdyby miał swój miecz, to odrąbałby sobie nogę i poczołgał się po posadzce, by zabić Tascelę. Oczy Valerii powędrowały w jego kierunku z niemym błaganiem, a poczucie bezsilności powodowało, że czerwone fale szaleństwa przelewały się pod czaszką Conana. Przyklękawszy na swej wolnej nodze, usiłował wcisnąć palce między szczęki potrzasku i

rozewrzeć je. Krew trysnęła mu spod paznokci, ale stal ciasno otaczała łydkę pierścieniem o połowach tak zaciśniętych i tak dopasowanych, że między umęczonym ciałem, a zębatym żelazem nie było najmniejszej szczeliny. Widok nagiego ciała Valerii podsycił jego wściekłość.

Tascela nie zwracała na niego uwagi. Wstała ociężale z tronu, powiodła badawczym spojrzeniem po szeregach poddanych i zapytała:

— Gdzie Xamec. Zlanath i Tichic?

— Nie wrócili jeszcze z katakumb, księżniczko — odpowiedział jeden z mężczyzn.

— Podobnie jak my, znosili ciała zabitych do krypt, ale nie powrócili. Może porwał ich duch Tolkmeca?

— Milcz durniu! — rozkazała szorstko. — Duch to tylko wymysł.

Zeszła z podium, bawiąc się cienkim sztyletem o złotej rękojeści. Jej oczy płonęły piekielnym blaskiem. Zatrzymała się przed ołtarzem i przemówiła w napiętej ciszy.

— Twoje życie uczyni mnie znów młodą, biała kobieto! — powiedziała. — Oprę się na twojej piersi, położę moje usta na twoich i wolno, och, wolno zatopię ostrze w twym sercu, tak że twoje życie uciekając ze sztywniejącego ciała, wejdzie w moje i napełni je młodością i werwą.

Powoli, jak wąż zbliżający się do ofiary, pochylała się wśród snujących się dymów nad zeszywniałą z przerażenia Valerią, wbijając w nią swe płonące, czarne oczy, coraz większe i głębsze, błyszczące jak dwa księżyce wśród wirujących kłębow kadzidła.

Kłęczący zacisnęli dłonie i wstrzymali oddechy, wyczekując w napięciu krwawego finału i tylko wściekłe sapanie Conana, usiłującego wyrwać nogę z pułapki, przerywało ciszę. Oczy wszystkich patrzących skupiły się na ołtarzu i białej postaci rozciągniętej na nim. Wydawało się, że tylko grzmot piorunów mógłby złamać czar. A jednak cichy okrzyk wstrząsnął widzami i sprawił, że wszyscy odwrócili się gwałtownie.

Spojrzeni na drzwi po lewej stronie podium i zobaczyli koszmarną zjawę, na widok której włosy stawały dęba. W drzwiach stał mężczyzna o zmierzwionych, siwych włosach i postrzępionej białej brodzie spadającej mu na piersi. Łachmany tylko częściowo okrywały wychudłą postać, odsłaniając półnagie kończyny o dziwnie nienaturalnym wyglądzie. Jego skóra nie była skórą normalnego człowieka. Wydawała się łuszczyć, jakby jej posiadacz przebywał długo w warunkach całkowicie odmiennych od tych, w jakich zwykle spędza się życie. Jego oczy płonące w splątanej grzywie nie miały w sobie nic ludzkiego. Wielkie, błyszczące spodki spoglądały nieruchomo, bez śladu normalnych uczuć czy rozsądku. Z otwartych ust nie wydobywały się składne dźwięki, jedynie piskliwy chichot.

— Tolkmec — szepnęła poszarzała ze strachu Tascela, podczas gdy pozostali kulili się w' niemym przerażeniu. — Więc to nie wymysł, nie duch! Na Seta! Dwanaście lat ukrywałeś się w ciemnościach! Dwanaście lat wśród kości umarłych! Jaką okropną strawą się żywiłeś? Jakie

obląkane życie wiodłeś w ciemnościach wiecznej nocy? Teraz wiem, dlaczego Xamec. Zlanath i Tachic, nie wrócili z katakumb — i nigdy nie wrócą. Tylko dlaczego czekałeś tak długo? Szukałeś czegoś w podziemiach? Wiedziałeś, że ukryto tam jakąś tajemną broń? Znalazłeś ją w końcu?

Jedyną odpowiedzią Tolkmeca był ohydny chichot. Wpadł do komnaty, długim susem przeskakując ukryty przed drzwiami potrzask. Być może przypadkiem, a może pamiętając o pułapkach Xuchotl. Tak długo przebywał z dala od ludzkości, że nie można było go nazwać obląkanym człowiekiem — niewiele miał w sobie ludzkiego. Tylko słaba nić wspomnień wywołujących nienawiść i chęć zemsty łączyła go ze światem, z którego uciekł i utrzymywała go w pobliżu znienawidzonych ludzi. Tylko to powstrzymywało go przed zniknięciem na zawsze w czarnych korytarzach i salach podziemnego królestwa, które odkrył dawno temu.

— Szukałeś czegoś! — szepnęła Tascela kuląc się. — I znalazłeś! Pamiętasz o waśni! Po tych wszystkich latach w mroku! Pamiętasz!

Chuda ręka Tolkmeca wymachiwała teraz dziwną pałeczką koloru nefrytu, zakończoną z jednej strony jarzącą się, czerwoną gałką w kształcie jabłka granatu. Tascela uskoczyła w bok, gdy starzec uniósł ramię i z kulistego zakończenia trysnął promień szkarłatnego ognia. Chybił, lecz kobieta trzymająca nogi Valerii znalazła się na drodze promienia. Ognista linia trafiła ją między łopatki i przeszła na wylot. Dał się słyszeć ostry trzask. Promień uderzył w czarny ołtarz syjąc niebieskimi iskrami. Kobieta upadła na posadzkę, pomarszczona i zaszuszone jak mumia. Valeria przewaliła się na drugą stronę ołtarza i ruszyła na czworakach pod przeciwległą ścianę. W Sali Tronowej martwego Olmeca rozpętało się piekło.

Mężczyzna, który trzymał ręce Valerii umarł jako następny. Odwrócił się by uciec, lecz nim przebiegł pół tuzina kroków. Tolkmec ze zdumiewającą zręcznością zmienił pozycję tak, że uciekający znalazł się między nim a ołtarzem. Ponowię zabłysnął czerwony płomień i Tecuhltlanin potoczył się po podłodze, gdy błysk zakończył swą drogę, uderzając w czarny kamień, krzesząc snop błękitnych iskier.

Rozpoczęła się rzeź. Ludzie biegali po komnacie, wrzeszcząc obląkańczo, zderzając się ze sobą, potykając i padając. Wśród nich skakał i płaśał Tolkmec, szerząc śmierć i zniszczenie.

Nie mogli uciec z sali, gdyż najwidoczniej metalowe portale, podobnie jak poznaczone żyłami metalu kamienny ołtarz, tworzyły obwód tej szatańskiej siły tryskającej jak błyskawice z magicznej laski starucha. Każdy człowiek, który znalazł się między nim a ołtarzem lub drzwiami, umierał natychmiast. Tolkmec nic wybierał ofiar. Zabijał każdego, kto mu się nawinął. Jego łachmany powiewały w dzikich płasach, a odrażający chichot pobrzmiwał nad wrzawą ofiar. Tecuhltlanie padali przy ołtarzu i drzwiach, jak opadające z drzewa liście. Jeden zrozpaczony wojownik skoczył na prześladowcę wznosząc sztylet, lecz zginął, nim zdołał uderzyć. Pozostali biegali jak stado oszalałych owiec, nie myśląc o oporze i bez szans na ucieczkę.

Tascela dostała się do Conana i chroniącej się blisko niego Valerii w chwili, gdy padł ostatni z Tecuhltlan. Pochyliła się i dotknęła ornamentu na posadzce. Natychmiast żelazne szczęki uwolniły krwawiącą nogę i schowały się z powrotem. — Zabij go, jeśli zdołasz! — wydyszała księżniczka wciskając długi sztylet w dłoń Cymmerianina. — Nie znam takich czarów, by się z nim mierzyć!

Płonąc żądzą walki barbarzyńca z pomrukiem skoczył naprzód, nie zważając na okaleczoną nogę. Tolkmec zmierzał ku nim wywracając niesamowitymi oczyma, ale zawahał się, gdy dojrzał nóż błyszczący w dłoni Conana. Rozpoczęli ponure podchody. Tolkmec dążył do tego, by Conan znalazł się na jednej linii z ołtarzem lub drzwiami, a barbarzyńca starał się tego uniknąć i celnie pchnąć. Obie kobiety przyglądały się temu w napięciu, wstrzymując oddechy.

W zalegającej ciszy rozlegały się jedynie szurania i tupot szybko przemieszczających się stóp. Tolkmec już nie płaszał i nie skakał. Zorientował się, że czeka go trudniejsze zadanie niż z ludźmi, którzy umierali wrzeszcząc i uciekając. W bystrych oczach barbarzyńcy wyczytał taką samą śmiertelną groźbę, jaka kryła się w jego własnym spojrzeniu. Kluczyli tam i z powrotem, a kiedy poruszał się jeden z nich, drugi ruszał się także, jak gdyby łączyły ich niewidoczne nici. Przez cały czas Conan zbliżał się coraz bardziej do przeciwnika. Właśnie stalowe mięśnie jego nóg zaczęły się prężyć do skoku, gdy Valeria krzyknęła przeraźliwie. Przez ułamek sekundy mosiężne drzwi znalazły się na jednej linii z ciałem Cymmerianina. Z laski wystrzelił czerwony promień muskając lekko bok Conana, który zdążył się odchylić, jednocześnie rzucając nożem. Stary Tolkmec upadł z rękojęścią sztyletu sterczącą z piersi, tym razem martwy naprawdę.

Tascela skoczyła. Nie do Conana, lecz do laski błyszczącej żywym blaskiem na posadzce. Jednak Valeria rzuciła się za nią, ze sztykletem zabranym któremuś z zabitych. Ostrze, wbite całą siłą umięśnionego ramienia, przeszło księżniczkę tak, że koniec wystawał między jej piersiami. Tascela wrzasnęła i upadła martwa, a Valeria kopnęła nogą jej zwłoki.

— Musiałam to zrobić ze względu na szacunek dla ciebie! — wysapała Aquilonka, patrząc na stojącego nad bezwładnym ciałem czarownicy Conana.

— To chyba załatwia sprawę waśni — mruknął. — Co za szatańska noc! Gdzie ci ludzie trzymali jedzenie? Jestem głodny!

— Masz ranę w łydce — Valeria zerwała kawał jedwabnej draperii i związała sobie wokół bioder, a później udarła kilka mniejszych pasów, którymi sprawnie owinęła okaleczoną nogę barbarzyńcy.

— Mogę już iść — zapewnił ją. — Chodźmy stąd jak najszybciej. Na zewnątrz już świta. Mam dość tego piekielnego Xuchtl. Dobrze, że się pozabijali. Nie chcę ich przeklętych klejnotów. Może spoczywać na nich klątwa.

— Na świecie jest dość porządnych łupów dla ciebie i dla mnie — powiedziała Valria podnosząc się.

Dawny błysk ponownie pojawił się w jego oczach i tym razem nie opierała się, gdy pował ją gwałtownie w ramiona.

— Droga na wybrzeże jest długa — powiedziała w końcu, odrywając swoje usta od jego.

— No i co z tego? — zaśmiał się. — Pokonamy, kogo będzie trzeba. Zanim Stygijczycy otworzą porty na sezon handlowy, staniemy na pokładzie i pokażemy światu, co to znaczy plądrować.

PIERWSZE WYDANIA:

1. The Devil in Iron (Demon z żelaza), Weird Tales, 1934
2. Black Colossus (Czarny Kolos), Weird Tales, 1933
3. Red Nails (Czerwone ćwieki), Weird Tales, 1936